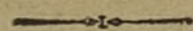


ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXIII.

ATENEUM



PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.



TOM III. — ZESZYT II.



Sierpień.



WARSZAWA,
1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 7 sierpnia 1896 r.

Rola jednostki inteligentnéj w społeczeństwie.

Do „inteligencyi" jako klasy społecznéj zaliczamy zwykle jednostki, pełniące zawody, do których przygotowanie wymaga mniéj lub więcéj rozległego wykształcenia teoretycznego.

Przypuszcza się — i nie bezzasadnie — że jednostka, która od młodych lat nawykła do obcowania z książką, (bo jak wiadomo specyalne studya w danym zawodzie poprzedza zwykle wykształcenie szkolne)—któréj sam zawód wymaga pewnego stopnia rozwoju umysłowego, polegając nie na czysto mechanicznêm zastosowaniu pewnych prawideł i biegłości rąk, jak w większéj części rzemiosł, lecz na samodzielnéj pracy umysłowéj, mniéj lub więcéj rozległéj, niekiedy nawet na twórczości (inżynierya, budownictwo i t. p.), przypuszczają więc że i wychowanie i nawyknienie i wreszcie wymagania samego zawodu utrzymywać powinny jednostkę taką na takiéj stopie wyższości umysłowéj, która usprawiedliwia zastosowanie do niéj zaszczytnego miana inteligencyi danego społeczeństwa.

Nie sam wszakże zawód, jakkolwiek skomplikowany jest, jakkolwiek trudnéj i mozolnéj wymaga nauki, stanowi o tym tytule; tylko ten właśnie stopień wykształcenia ogólnego, który przypuszcza się jako konieczna przynależność pewnych uczonych zawodów, każe nam zaliczać jednostkę do inteligencyi.

W ten sposób każdy, zaliczany do wymienionéj kategoryi, występuje w roli dwojakiéj. Po pierwsze, jako uczony fachowiec, znający i spełniający z mniejszą lub większą doskonałością to swoje przeznaczenie; będący np. dobrym lub złym lekarzem czy nauczycielem, muzykiem czy malarzem, prawnikiem czy inżynierem. Powtóre, jest wogóle człowiekiem wykształconym, t. j. wyżéj od innych uzdolnionym do pojmowania wymagań swego czasu, mniéj lub więcéj wyzutym z przesądów i zabobonów ciemnych mas, zdolnym ocenić piękność dzieł sztuki i wartość wiedzy bez względu na bezpośrednią użyteczność, obeznany z przeszłością całéj ludzkości i swego narodu, słowem, odpowiadający wszystkim tym wymaganiom, jakie stawiamy człowiekowi wykształconemu.

Pierwszą z tych właściwości nabywa jednostka inteligentna w specyalnie do tego przeznaczonych zakładach jak uniwersytety, szkoły politechniczne, konserwatorya muzyczne, szkoły malarstwa i t. p. a państwo czuwa nad tém, aby przyznanie praw do pełnienia odpowiedniego zawodu zostawało w zależności od właściwego posiędzenia przedmiotu i biegłości technicznéj. Dzieje się to przez wyznaczenie egzaminów zawodowych i udzielanie dyplomów lub patentów.

Druga, t. j. wykształcenie ogólne, jest po części wynikiem nauki w szkołach średnich ogólnych, przygotowawczych do wyższych zawodowych, po części pozostawia się własnéj pieczy danéj jednostki. Wykształcenie w szkołach średnich nie może wszakże wyczerpać tego zadania, raz dla tego, że organizacya ich czyni je raczéj przygotowawczemi do wyższych niż samodzielnemi ogniskami wykształcenia ogólnego; powtóre dla tego, że sam wiek uczniów oraz inne względy nie dopuszczają traktowania wszystkich zadań wchodzących w skład wykształcenia ogólnego. W szkole zaś zawodowéj młodzieniec jest zwykle zbyt zaabsorbowany niezliczonemi studyami swego zawodu, aby mógł kształcić się ogólnie inaczéj jak tylko dorywczo, nie mając przytém żadnéj innéj pobudki prócz wewnętrznego mniéj lub więcéj stanowczego przeświadczenia o konieczności podobnéj pracy nad sobą, która zresztą wobec groźnego widma ciągłych egzaminów usuwa się coraz daléj na drugi plan, odkłada się w daleką przyszłość.

Nic więc dziwnego, że ta właśnie cecha, dla któréj ludzi, pełniących pewne zawody nazywamy inteligencyą, t. j. ich wykształcenie ogólne, nie zawsze idzie w parze ze znajomością fachową; że będąc uczonymi rzemieślnikami, nie koniecznie są ludźmi wykształconymi.

Przyczynia się do tego najprzód ta okoliczność, że wiele zawodów uczonych, i wymagających długich studyów technicznych i złożonych kombinacyi umysłowych w swoim własnym zakresie, nie ko-

niecznie potrzebują odpowiedniego do rozwoju formalnych władz i takich wiadomości ogólnych, bez których nie ma wykształcenia.

Tak, można być dobrym muzykiem-technikiem (nie artystą, w lepszém znaczeniu tego wyrazu) lub malarzem-pejzażystą, nie posiadając wiadomości historycznych ani przyrodniczych, nie będąc oczytanym w klasykach poezyi ani w nowszéj publicystyce.

Te zaś zawody, które opiérają się na rozległych podstawach naukowych, które podczas studyów wymagały różnostronnych umiejętności pomocniczych, jak np. prawo, medycyna, inżynierya lub technologia, z czasem zamieniają się na rutynę; człowiek z wiekiem i doświadczeniem nabywa coraz więcéj wprawy technicznéj, wyrabia sobie stałe sposoby wzięcia się do rzeczy i coraz mniéj rozumuje, coraz mniéj potrzebuje odwoływać się do umiejętności pomocniczych, których też niebawem zapomina doszczętnie. Z drugiéj strony człowiek, nie pełniący żadnego z wyżéj wymienionych zawodów uczonych, np. kupiec lub rzemieślnik, może przez pracę nad sobą stanąć na stopie wykształcenia wyższéj od tak często dziś nazywanego „inteligenta,” a możemy sobie łatwo wyobrazić społeczeństwo, w którym pewien dość wysoki stopień wykształcenia stanie się właściwością każdego obywatela, niezależnie od uczonego lub nieuczonego rzemiosła czyli zawodu, jaki pełni. Dwa tylko warunki są ku temu niezbędne: najprzód pewna ilość wolnego od pracy czasu; powtóre rozległe zastosowanie środków, uprzystępniających wykształcenie i naukę dla wszystkich, jak założenie muzeów i bibliotek, wykłady popularne, teatry naukowe, wreszcie tak rozpowszechnione w Anglii, Szwecyi i Belgii uniwersytety ruchome i ludowe.

Wracając wszakże od tego ideału do naszéj smutnéj rzeczywistości, przyznać winniśmy, że pomimo téj zaznaczonéj rozbieżności obu cech stanowiących właściwość człowieka inteligentnego, wogóle rzec można, że w społeczeństwie naszém przeważną część ludzi wykształconych stanowią uczeni zawodowcy.

Z tego dwoistego charakteru ich łatwo da się określić rola inteligencyi w społeczeństwie.

Społeczeństwo jest stowarzyszeniem („kooperacyą”), mającém na celu zadośćuczynienie nie tylko potrzebom materyalnym, ale i moralnym i wogóle wytworzenie ośrodka jaknajszczęśliwszego życia dla każdego ze swoich członków.

Jednostronność ekonomicznego zapatrywania się, każe nam widzieć i w roli inteligencyi przeważnie jéj czynność ekonomiczną, t. j. spełnienie przez nią swoich obowiązków uczonego rzemieślnika, zapo-

minając o téj drugiéj właściwości jako człowieka wykształconego, lub mieszając obie funkcye, podstawiając w rozumowaniach naszych jednę zamiast drugiéj, co wytwarza szereg nieporozumień i sporów, łatwych do rozstrzygnięcia, skoro tylko obierzemy właściwe stanowisko.

Oprócz téj działalności, którą każdy członek społeczeństwa wykonywa jako zawodowiec, w warsztacie czy w laboratoryum, w klinice lub na roli, na trybunie sądowéj, czy w szkole, wywiera on mniéj lub więcéj rozległe wpływy (dodatnie lub ujemne) przez proste obcowanie z ludźmi, czy to spowodowane wymaganiami jego zawodu — np. nauczyciel jako człowiek na uczniów; inżynier na powierzonych jego dozorowi rzemieślników, lekarz na pacyentów i ich rodziny, biuralista na swoich kolegów biurowych—czy też niezależne od zawodu, a wynikające ze stosunków towarzyskich lub zetknięć przygodnych.

Wpływy te polegają na dawanym przykładzie, wygłaszanych zdaniach i sądach, przygodnie rzuconych słówkami, zachęcie i pomocy, słowem na tysiącznych, niepochwytnych nieraz oddziaływaniach, wytwarzających moralną i intelektualną atmosferę ośrodka. Są one tém potężniejsze, im większéj powagi używa dana jednostka dzięki swemu wykształceniu lub zaletom moralnym, stanowisku lub wpływom. Fachowiec uczony, pod tym względem znajduje się w okolicznościach najkorzystniejszych, gdyż i powaga jego rzeczywistego lub domniemanego wykształcenia i wysokie stanowisko, jakie zajmuje w społeczeństwie, i rozległy zakres oddziaływań potęgują wielokrotnie wpływ jego na otoczenie, kształcący lub umoralniający, uspołeczniający lub dezorganizujący.

Dla tego też słusznem jest zupełnie wymaganie od takich jednostek nie tylko wyższości intelektualnéj, ale i moralnéj i wyższego stopnia rozwoju uczuć społecznych.

Inżynier, umiejący poprawnie zaprojektować most, lub lekarz dobrze poznający chorobę, nie spełnia jeszcze całéj swéj funkcyi społecznéj. Stanowisko, które zajmuje w organizacyi ekonomicznéj społeczeństwa, jako rzemieślnik uczony, rola jaka mu przypada w stosunkach prywatnych, jako jednostce wpływowéj, nakładają na niego większe niż na przeciętnego rzemieślnika obowiązki, którym zadość uczynić potrafi tylko pracując więcéj od innych nad wykształceniem i wychowaniem swojém.

Również i tak często potrącana kwestya nadprodukcyi inteligencyi otrzymuje z zaznaczonego tu stanowiska należyte wyjaśnienie. Możemy sobie wyobrazić społeczeństwo, w którém będzie za wiele uczonych rzemieślników pewnego zawodu, np. za wiele lekarzy lub adwo-

katów (nasze jest jeszcze bardzo dalekie od tego stanu, a krzyki o nadprodukcyi płyną nieraz z kolosalnego fałszywego apetytu naszych pseudointeligentnych zawodowców), ale nie może być społeczeństwa, w którém było by za wiele wykształconych ludzi. Przeciwnie, ideałem społeczeństwa jest takie, którego wszyscy członkowie, niezależnie od swojéj funkcyi ekonomicznéj, posiadali by wysoki stopień wykształcenia umysłowego i rozwoju moralnego.

Wł. M. Kozłowski.



RUGIWOJSCY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

III.

W obszernym gabinecie hr. Rugarda echa jego kroków, tłumione przez dywan i portyery, tonęły miarowo w ciszy.

Zwykle hrabia po drugiém śniadaniu czytywał dzienniki, które usposabiały go do snu przedobiedniego, lecz dziś sen uleciał, jakkolwiek dzienniki wydały mu się nawet nudniejsze. Był podrażniony, niespokojny i machinalnie rozpoczął wędrówkę po pokoju.

Zwykle nosił głowę lekko pochyloną, obecnie pod natłokiem myśli głowa opadła niżéj, na twarzy żółtawéj, z fałdami bocznemi, malował się niepokój, troska wykrzywiała usta, ocienionemi cienkiemi blond wąsami w ironiczny uśmiéch. Ręce zazwyczaj niespokojne, założył w tył i gryząc w ustach cygaro, chodził po gabinecie, zaglądając czasami w okna, przez które przeglądał dzień senny, mdły, nudny i dżdżysty. Chmury niskie, szarawe, jednostajne w kolorze, przewalały się zwolna po nieboskłonie, sypiąc kiedy niekiedy gęstym a drobnym deszczem, który na przejętéj wilgocią glince rozléwał się leniwo w kałuże, spływał bez szelestu po jesiennych liściach, po gałęziach i korze drzew, otulając je wilgocią ze wszech stron.

— To dopiéro pogoda! — mruknął hrabia i przystąpił do biurka, na którém leżało kilka depesz otrzymanych od żony. Wziął w rękę ostatnią i czytał: „Stan jeszcze groźny, doktorzy robią nadzieję, czekaj depeszy.”

— Czekaj!... czekam téż od pięciu dni — zaśmiał się gorzko — i nie wiem, czy wuj żyje? czy umarł?...

— Jeśli wuj wyzdrowiał, a dotychczas zawsze tak bywało, to żona wkrótce powróci i rozpoczną się przygotowania do wyjazdu z Hertą zagranicę, on musi się starać o piéniądze... Rzucił depeszę na biurko i usiadł na fotelu.

— A gdyby można było znaléść dla Herty męża w kraju?—przyszło hrabiemu na myśl—uniknęłoby się dużo kłopotów i wydatków, ale kto? Przypomniał sobie znane nazwiska i przy każdém niemal uśmiechnął się wzgardliwie. Nie, w kraju nie ma nikogo, tylko w staréj Europie: w Anglii, w Niemczech, we Francyi, tam cenią czystość i dawność rodu. Tam konie mają lepszą i starożytniejszą genealogię, aniżeli tu tak zwani arystokraci... Herta znajdzie stosowną partyę... A jeśli nie znajdzie? Odrzucił tę wątpliwość bez wahania. Herta jest zbyt piękna i wysokiego rodu, żona zbyt rozumna, by mogła zajść omyłka, powstać wątpliwość. Inna rzecz posag!?

Ścisnął ramionami niecierpliwie.

Jeśli wuj umarł, tém samém kwestya upada... Gdyby został sukcesorem! Złożyłby milion jako wieczysty fundusz rodu, albo lepiéj dla wnuków swoich i prawnuków, bo i dla czegóż on sam ma się troszczyć o cały ród — tak, bezpieczniéj nawet, by tym funduszem jego potomkowie rozporządzali... Następnie, miałby najlepsze w kraju konie, pojechałby sam do Anglii, do Arabii... Na jesień i zimę pomknąłby zagranicę... i daléj snuł marzenia słodkie o uszczęśliwieniu siebie.

Lekkie stuknięcie do drzwi obudziło go, kamerdyner otworzył cicho i zajrzał.

— Czego? — zawołał hrabia.

— Depesza, panie hrabio—brzmiała pokorna odpowiedź.

— Dawaj.

Na srebrnéj tacy leżała szara koperta urzędu telegraficznego. Hrabia pochwycił ją gorączkowo, rozerwał i przeczytał. Postąpił bliżéj do okna i znów odczytywał zwolna słowa następujące: „Wuj zdrów, przyjadę kuryerem.”

Stał chwilę, namyślał się i zwracając się do sługi, rzekł:

— Wysłać konie na kuryer dzisiejszy... Kareta po panią hrabinę, fornalkę pod rzeczy.

Kamerdyner wyszedł, a hrabia stał na miejscu z depeszą w ręku. Uspokojenie po doznaném wrażeniu przychodziło zwolna. Czuł się zbyt silnym, wielkim, potężnym przed chwilą, by nagłe przebudzenie nie zrobiło mu przykrości. Zwolna złożył depeszę na biurku i zaczął jednostajną przechadzkę po gabinecie i jak gdyby potrzebował potwierdzenia wiadomości, rzekł głośno:

— Wuj zdrów... Tak, wuj zdrów...

Oczekiwane i odczuwane miliony zasnuwały się mgłą, a wraz z niemi obrazy jasnéj przyszłości, natomiast wychylała swą posępną twarz teraźniejszość. To dziś z całym szeregiem kłopotów finansowych i familijnych było dla niego męczące, przykre, wstrętne, a jednak musiał się niém zająć. Zbliżył się do biurka i wziął ostatni wykaz kasowy z podkréśloną cyfrą gotówki 2,400 rubli; jednak te piéniądze należą do wydatków gospodarskich, więc odłożył papiér i poszukał raportu o ziarnie przygotowaném na sprzedaż. Zrobił w myśli rachunek sprzedaży, jednak suma 15,000 rubli wydała mu się tak niską, że na razie rzucił raport z goryczą. Lecz jeśli żona zechce wyjechać w tym miesiącu, nie ma co zwlekać ze sprzedażą, przeciwnie — należy pośpieszyć.

Nowy rządca, Dołsunowski, załatwi tę sprawę. Nawet dobrze układają się stosunki, pocieszał się hrabia, ta sprzedaż będzie próbą ogniową jego zdolności i sprytu Przejrzał ceny targowe i przeciętna dała 80 kop. za pud pszenicy, ale pszenica z Wieszar, jego pszenica warta więcéj, rozumował hrabia, trzeba podwyższyć cenę. Właśnie miał zadzwonić na lokaja, by kazać zawołać rządcę, gdy wszedł kamerdyner.

— Czego?

— Pan doktór przyszedł.

— Prosić.

Witając się z doktorem, rzekł hrabia:

— W sam czas przyszedłeś, doktorze, chcę wypróbować twego protegowanego.

— Pan hrabia postępuje według Pisma świętego: Nie słów, lecz czynów nam trzeba—odpowiedział zagadnięty.

— To moja zasada — mówił hrabia, siadając przed biurkiem. — Nie miałem zamiaru sprzedawania zboża teraz, ale... chciałbym doświadczyć Dołsunowskiego, póki jestem swobodny. Polecę mu sprzedaż.

— Sądzę, że wywiąże się dobrze.

— Zobaczymy...

— Jeśli sprawę pokpi — mówił doktór surowo — pierwszy będę prosił pana hrabiego, by go wydalił.

Hrabia popatrzył bystro na mówiącego i szepnął:

— Tak dalece?

— Mam głęboki szacunek i wysoką cześć nietylko z powodu szlachetności i dobroci pana hrabiego, ale także ze względu na przeszłość—kończył doktór, akcentując ostatni wyraz.

Hrabia uśmiéchnął się łaskawie. Pochlebstwo osobiste, byle nie płaskie i nudne, jest zawsze miłe, ale pochlebne słowa dla rodu były mu przyjemniejsze. Milczał.

— Pragnąłem jedynie—mówił doktór cichszym głosem—umniejszyć panu hrabiemu trosk i kłopotów gospodarskich i dlatego zaproponowałem Dołsunowskiego.

Na te słowa zachmurzył się hrabia, wzmianka doktora o troskach i kłopotach zadrasnęła jego dumę. Spostrzegł to doktór i uśmiéchając się słodko dorzucił:

— Stan zdrowia pana hrabiego, jakkolwiek nie budzi obaw, wymaga spoczynku.

Tę troskliwość przyjął hrabia łaskawie i rzekł:

— Masz słuszność, doktorze, bywają chwile zdenerwowania... Wracając do rządcy, sądzisz, że umié sprzedawać?

— Był czas dłuższy u Wieńkowskiego, powinien być praktyczny.

— Ha, sprobujemy. Proszę, zadzwoń doktorze.

Doktór szybko podszedł do drzwi i nacisnął guzik. Po przyjściu lokaja rozkazał hrabia:

— Zawołać rządcę tutaj. Czekam.

Gdy zostali sami, mówił hrabia, czyszcząc scyzorykiem paznogcie:

— Powiédz mi, doktorze, jakie wady ma Dołsunowski?

— Wiem o jednéj, kardynalnéj — odpowiedział z uśmiéchem zapytany.

— Jaka?

— Ma żonę. Surowa, gniewliwa i trzyma go tak ostro, że on ani piśnie.

— Ładna?—zapytał hrabia zaciekawiony.

— Brzydka i gadatliwa, ale sprytna.

— Czy tylko tę wadę znasz, doktorze?

— Wystarczy na jednego—zaśmiał się doktór—ale jest i zaleta... Ma córkę bardzo ładną.

Hrabia zrobił ruch lekceważący i rzekł drwiąco:

— To się żeń, doktorze.

— Z taką teściową? Nigdy!

— Nie zarzekaj się... Słodycz z goryczą da się pogodzić—mówił rozweselony hrabia.

— To prawda, ale pod warunkiem, by słodycz była w ładnéj bombonierce.

— A jéj słodycz?

— Naga, bez bombonierki. Posagu żadnego, jak na nasze czasy, zbyt twardy orzech.

— Gdy byłem młodszy, gryzłem twardsze — rzekł hrabia, przypominając sobie wesołą przeszłość.

— Pan hrabia chciał, więc mógł i miał prawo... Co innego my?!

Hrabia, bawiąc się scyzorykiem, zapytał:

— A czego chcesz, doktorze, w życiu?

Doktór zawahał się, wreszcie skromnie odpowiedział:

— Być pożytecznym Bogu i ludziom — ostatnie słowo wymówił z intencyą wyraźną.

— A daléj?

— Poznać życie we wszelkich formach.

— Dzieciństwo! — zawołał hrabia. — Najczęściéj jest na dnie rozczarowanie... Celem życia jest wypełnienie obowiązków, tak *ja* pojmuję życie!

Słówko ja podkréślił i doktór zrozumiał, że dalsza dyskusya jest niepotrzebna, jednak dodał:

— Wielkie obowiązki nakłada Bóg na wielkich ludzi, a małe na małych.

— Dobrze powiedziałeś—rzekł hrabia zwolna, przypomniały mu się bowiem wymagania żony.

W téj chwili kamerdyner zawiadomił o przyjściu rządcy.

— Niech wejdzie.

W progu stanął pan Dołsunowski, wzrostu więcéj niż średniego, ubrany dość starannie, z twarzą rozjaśnioną zaszczytem powołania go do gabinetu. Szybko objął cały pokój niebieskiemi oczyma, z których lewe zézowało, zrobił nerwowy ruch ręką ku swéj ściętéj brodzie, skłonił się nisko i zamykając drzwi cicho, postąpił krok naprzód.

— Proszę bliżéj — rzekł hrabia, patrząc obojętnie przed siebie i nie odwracając się, podał dwa palce na powitanie.

Pan Dołsunowski z uniżoną skwapliwością i z głębokim ukłonem uścisnął podane palce w milczeniu.

Zamienił następnie z doktorem uśmiéch przyjazny i wyprostowawszy się czekał rozkazów.

— Mój panie Dołsunowski—przemówił hrabia—sprzedasz w tych dniach gotowe ziarno, i pszenicę, i jarzynę.

Zaczerwieniony rządca skłonił się i wyjąkał:

— Dziś ceny nieszczególne. Może późniéj...

— Nie pytam o radę — powiedział hrabia zimno. — Pszenicę po 85 kop., jarzynę po 50 kop. za jeden pud; awanse odpowiednie, by nie było późniéj z kupcem kłopotu.

— Rozumiem, panie hrabio.

— Niech się pan Dołsunowski dobrze sprawi — mówił hrabia, podkréślając słówko dobrze—doktór wié, dlaczego robię tę uwagę.

Rządca utkwił swe oczy w uśmiéchniętą twarz doktora i milczał.

Hrabia rzucił okiem na ostatni, zeszłotygodniowy raport i zapytał:

— Ile gotowéj pszenicy?

Pan Dołsunowski z nerwowym pośpiechem wyjął notatnik z bocznéj kieszeni tużurka, co spostrzegłszy hrabia rzekł ostro:

— Nie pamiętam cyfr gadanych? Raportu nie przyniósł pan Dołsunowski? Proszę dziś podać.

Zmieszany rządca wciskał nerwowo notatnik w kieszeń, patrząc z przerażeniem na doktora, który z uśmiechem jednostajnym błądził wzrokiem po pokoju.

— Stanie się według rozkazu pana hrabiego — wyjąknął, schowawszy wreszcie notatnik.

— Kupca z Wieszar nie chcę, to nędzota—mówił daléj hrabia.—Przed ostatecznem załatwieniem sprzedaży, czekam zawiadomienia.

Umilkli. W obszernym gabinecie słychać tylko było stłumione tik-tak zégara bronzowego.

— Pan Dołsunowski był dzisiaj na folwarkach?

— Na wszystkich.

— I co?

— Wszystko w porządku.

— Gdy i sprzedaż gładko pójdzie, będzie dobrze — rzucił hrabia i skinął głową na znak pożegnania.

Rządca złożył głęboki ukłon, uścisnął podane palce, uśmiéchnął się obowiązująco do doktora i cicho wysunął się z pokoju.

— Może z niego co i będzie — odezwał się hrabia po dłuższém milczeniu.

— Chwalono mi go bardzo—dodał doktór.

Hrabia skończył cygaro i ziéwając zapytał:

— Widziałeś Pawła, doktorze? Podobno leży chory.

— Nikt mnie nie zawiadomił, a w przedpokoju nie zauważyłem jego nieobecności—mówił doktór, wstając z fotela.

— Jednak ja zauważyłem, chociaż on taki mały — rzekł hrabia z lekką wymówką. — Za godzinę lub dwie przyjedzie hrabina kuryerem, zostań, doktorze, na obiedzie.

— Będę służył—bąknął doktór, żegnając hrabiego.

W oznaczonéj godzinie przypuszczalnego przyjazdu hrabiny, oczekiwali na nią w gabinecie, przy salonie jadalnym, Herta i hrabia, który niespokojny, rozdrażniony, przechadzał się, rzucając okiem raz wraz na okno, wychodzące na aleę wjazdową. Herta siedziała w fotelu spokojna, przerzucając leżące na stole album widoków włoskich.

— Sądzisz, że matka dziś przyjedzie? — zapytał ojciec, nie przerywając spaceru.

— Depesza została wysłana wczoraj, więc myślę, że dziś—odpowiedziała Herta spokojnie.

— I ja umiem tak rozumować—rzekł hrabia złośliwie.

Umilkli oboje. Po chwili hrabia, stanąwszy przy oknie, wyjął zégarek i mówił głośno:

— Kuryer przychodzi o godzinie 6 minut 30. Przypuszczam, że 10 minut wystarczy, by siąść do karety. Do nas z kolei półtoréj godziny, po oślizłéj drodze dwie godziny, więc o godzinie 8 minut 40 powinna matka być tutaj. Teraz jest pół do ósméj, zatém za 40 minut lub za godzinę i dziesięć minut skończy się oczekiwanie, krócéj lub dłużéj zależy od biegu koni. Czy tak, Herto?

— Zdaje mi się, że tak — odpowiedziała równym, spokojnym głosem.

Ten spokój córki irytował jeszcze bardziéj ojca. Był rozdrażniony nietylko oczekiwaniem na żonę, ale męczyły go różne przypuszczenia, odnoszące się do wuja Jasmunda. Jak przyjął przyjazd żony? Co mówił? Kto był u niego? Czy testament zrobiony? Jaka treść? — Te pytania przesuwały się chaotycznie, niepokoiły go, drażniły, bolały; a tymczasem Herta, taka spokojna, cicha, obojętna, przegląda ryciny.

Założył w tył ręce, głowę pochylił prawie na piersi i nierównemi krokami mierzył długość pokoju. Herta, która bokiem obserwowała ojca, widząc go tak niespokojnym, odezwała się miękkim głosem:

— Dlaczego się ojciec tak niepokoi? Mamy nie spotkało nic złego. Nie przyjedzie dziś, przyjedzie jutro.

— Zapewne. Nie dziś, to jutro—mówił zgryźliwie—nie jutro, to pojutrze lub za tydzień. Liczyć godzin nie umiecie nigdy, ale oszczędzać się w depeszy, zawsze!

Po chwili dodał:

— Powiédz sama, co szkodziłoby dodać w depeszy słówko: dziś czy jutro. Ale nie! Niech konie się męczą, niech wszyscy oczekują dzień i noc.

Herta opuściła niżéj nad książkę lekko zarumienioną twarz, przyznając milczeniem słuszność ojcu.

— Pamiętaj, Herto, gdy będziesz z matką zagranicą—zaczął ojciec gniewliwie — depesze i listy powinny być jasne i dokładne dla mnie. Dyplomatyczne półsłówka zostawcie dla innych...

— Czy kiedykolwiek z ojcem nie byłam jasną i szczerą?—zapytała Herta z wymówką.

Niepokój egoistyczny nie pozwolił mu na spokojną odpowiedź i odezwał się surowo:

— Mówię o przyszłości, nie o przeszłości.

To rozdrażnienie oczekiwania udzieliło się i Hercie. Jéj biała, niemal przezroczysta płeć twarzy przechodziła w różową, skronie pulsowały, lecz na widok chmurnego ojca przezwyciężyła się i postanowiła rozpocząć rozmowę.

— Czy ojciec nie mógłby mi powiedziéć, kiedy z mamą wyjedziemy?

— Pytasz o dzień czy miesiąc?

— Wogóle.

— Wogóle nic nie wiem, to zależy od matki — odpowiedział szorstko.

Umilkli.

— Chciałabym być nad morzem—rozpoczęła znów Herta.

— Dlaczego?

— Lubię morze i jeśli już nie widzę łanów i stepów, mam przynajmniéj morze.

— A mnie morze nudzi swą jednostajnością—mówił hrabia, stając przed Hertą.

— Ojciec żartuje... Morze tak ruchliwe, zmienne, nieskończone.

— W baśni jest ono takie, ale naprawdę...

— Gdy pierwszy raz ujrzałam morze, byłam zachwycona! — mówiła Herta szczerze.

— Złudzenie! Jechałem swego czasu z Odessy do Marsylii — zaczął hrabia, pobudzony przedmiotem rozmowy — morze było niespokojne, burzliwe, gniewała mnie ta niemoc człowieka wobec wody, ta niepewność nieustanna, to chybotanie się ciągłe, zależność od wiatru, fal i skał. Wracałem już przez Paryż, Berlin, Warszawę, obrzydło mi morze.

— Różnimy się z ojcem. Mnie pociąga tajemniczość głębin, bogactwo kolorów, zmienność fal i ta bezmierność widoku.

Ojciec uśmiéchnął się rad z zamiłowania córki i przypominając sobie los matki ich rodu, dodał żartobliwie:

— Byle cię morze nie porwało, jak ową Hertę z tradycyi naszéj.

— Nie ma obawy—odpowiedziała poważnie.—Nie jestem córką królewską.

— Ale dziedziczką ich krwi i nazwiska—dodał ojciec dumnie.

Ledwie dokończył tych słów, gdy spostrzegł światła karety, wysłanéj na dworzec.

— Matka przyjechała—to mówiąc wyjął zégarek i kończył mrucząc:—obliczyłem co do minuty, półtoréj godziny z kolei, dobre konie.

W oświeconym przedsionku kurytarzowym nastąpiło spotkanie. Mąż, całując przybyłą w rękę, rzekł z uśmiéchem:

— Punktualność jest grzecznością królowy.

Hrabina spojrzała zimném, zmęczoném okiem, uśmiéchnęła się z przymusem i zwracając się do Herty, zapytała.

— Bolo zdrów?

— Najzupełniéj.

Hrabia podał rękę żonie i odprowadził do jéj drzwi.

— Czy mogę wejść?—zapytał uprzejmie.

— Za mały kwadrans. Muszę się przebrać z podróży.

Weselszy nastrój, w który go wprowadziła rozmowa z Hertą i dobre konie, ustąpił, gdy wszedł do swego gabinetu, chmurnym myślom i przypuszczeniom. Żona była smutna, przygnębiona, więc albo jest zmęczona podróżą, co wobec wygód kolejowych trudno przypuścić; albo przywiozła wiadomości niepomyślne. Powrotna fala pesymizmu była silniejszą: kwestya spadku i przyszłości przedstawiała mu się w szarych, ciemnych, wreszcie czarnych obrazach. Oparł głowę zmęczoną myślami na ręku i wpatrzył się w kąt zasunięty cieniem. Jasne światło dwóch kandelabrów uwidoczniało ostro rysunek głowy. Miękkie, rzadkawe blond włosy, były w połowie siwawe, ręka biała, ładna, delikatna, uwydatniała silniéj pomarszczoną, zmęczoną twarz, nos wielki, przeświecając w świetle żółtawo, rzucał boczny cień. Całą twarz robiła wrażenie podobizny zdjętéj z portretu, a ulepionéj z wosku.

Lekkie pukanie do drzwi obudziło hrabiego z zadumy.

— Kto tam?

Drzwi się uchyliły, wejrzała uśmiéchnięta Łucya:

— Pani hrabina czeka.

Gdy hrabia wszedł na pokoje żony, zastał ją siedzącą na kozetce i uśmiéchniętą. Chce mi osłodzić pigułkę—pomyślał—i usiadł ciężko na fotelu, oparł się wygodnie i rzekł:

— Cóż wuj?

— Był niebezpiecznie chory, jednak atak przeminął szczęśliwie. Był rad z mego przybycia.

Ostatnie słowa tak dalece nie zgadzały się z przekonaniem popoprzednio powziętém, że mimowolnie zawołał:

— Czy się tylko nie mylisz?

— Wiem, co mówię—odpowiedziała oschle.

— Był Skotacki? — zapytał nagle hrabia, gdyż rozumował, że nieobecność jego wpłynęła tak korzystnie na wuja.

— Skądże to pytanie?—mówiła zdziwiona—jeśli z przyjaźni, to on jéj nie podziela—kończyła z uśmiechem sarkastycznym.

— Przyjaźń—zawołał gorąco—powiédz nienawiść.

— Jesteś niemożliwy z twoją namiętnością.

Umilkli. Hrabia nerwowo ściskał ręce, wreszcie rzekł:

— Czy jedziesz z Hertą?

— Otrzymałam właśnie listy, chciałabym pojechać za tydzień.

— Za tydzień—zdziwił się mąż.

— Muszę pośpieszyć, czekają nas w Wiedniu.

— Jak dla mnie, trochę zawcześnie... ale postaram się—kończył z westchnieniem.

— Wuj na stroje Herty wręczył mi pewną kwotę — mówiła spokojnie, uśmiéchając się leciutko.

— Wuj!... Mówiłaś z nim o tém?—zapytał niespokojny.

— Dowiedziawszy się o zamierzonéj podróży, wuj sam się ofiarował — a widząc podejrzliwy wzrok męża, dodała: — odmówić nie mogłam.

— Ile?—zapytał oschle.

— Pięć tysięcy... Wystarczy na pierwszą chwilę.

Te słowa żony, a zwłaszcza ton łagodny i uprzejmy uspokoiły hrabiego.

— Cóż wiecéj nowego?—zapytał weselszy.

— Wuj przyrzekł podarunek ślubny dla Herty.

— Wzruszył się starzec... Dokonałaś istnego cudu — kończył, skłaniając głowę przed żoną.

— Był przez cały czas bardzo dobry i uważający — dodała zadowolona.

— A ja się tak namartwiłem!—zawołał hrabia, przypomniawszy sobie dzisiejsze niepokoje.

— Niepotrzebnie—odpowiedziała z uśmiéchem wyższości—przecież ja tam byłam.

— Należałoby podziękować wujowi. Możeby Herta napisała?

— Już to mnie zostaw... Cóż u was nowego?

— Wszystko dobrze. Brakowało nam ciebie — mówił z dobrym uśmiéchem.

— Do Bola zgodziłam za poradą wuja nauczyciela. Miss Ellen odprawię.

Słowa o nauczycielu ubodły jego dumę ojcowską, rzekł téż porywczo:

— Do wychowania córki ja się nie mieszałem, ani téż do bon, ale synowie? Przynajmniéj należało mnie zapytać.

Twarz hrabiny spochmurniała, była jednak o tyle dyplomatką, że nie chciała narażać siebie i nauczyciela na kwaśne miny męża; i odpowiedziała spokojnie:

— Stało się to tak nagle, że nie miałam czasu zawiadomić cię. Rozmawiałam z wujem o Bolu, którego radzi kształcić w kraju, podobnie jak ty zamierzałeś, i sam zaproponował nauczyciela... musiałam przyjąć.

Spostrzegłszy, że niedostatecznie uspokoiła męża, dodała:

— Nic straconego. Nie podoba ci się, da mu się na podróż powrotną i koniec.

— No tak, zapewne... Cóż on za jeden?

— Był już w kilku domach. Widziałam go, jest o tyle, o ile możliwy.

— Dobrze. Zobaczę—mówił uspokojony.

Umilkli. Przytłumione echa dzwonu dawały znać o podaniu obiadu, z którym czekano na hrabinę.

— Chodźmy — rzekł hrabia, wstając — dziś jest doktór na obiedzie.

— Idź. Za chwilę przyjdę.

Obiad był ożywiony, niemal wesoły. Hrabia poweselał, opowiadając o zamierzoném polowaniu na Litwie. Gdy potrącono sprawę wyjazdu, przypomniał sobie dzisiejszą konferencyę z rządcą i zwracając się do doktora powiedział:

— A przypilnuj, doktorze, Dołsunowskiego — robiąc aluzyę do sprzedaży zboża.

— Kto to?—zapytała hrabina.

— Nowy rządca—odparł wesoło hrabia.

Żona skinieniem głowy i uśmiéchem podziękowała mu za tę niespodziankę.

IV.

Pan Dołsunowski po wyjściu z gabinetu powziął plan pojechania do miasta powiatowego, by wybadać ceny i znaléść kupca. Przedewszystkiém jednak myślał o raporcie. Szedł pieszo ku domowi, znając bowiem słabość hrabiego do koni unikał ich używania. Dom, w którym mieszkał, niezbyt daleko od pałacu, był to budynek niewielki, drewniany, kryty blachą, z małym gankiem na dwóch słupach i nędznemi akacyami na froncie. Za domem rozciągał się ogród z kilkunastu wisien i jabłoni, i obszernego warzywnego pola. Sam dom przedzielony był sienią na dwie równe części. Z lewéj strony był jadalny pokój, zarazem kancelarya rządcy, za jadalnią kuchnia wraz z śpiżarnią. Po prawéj był bawialny i dwie sypialnie: małżeńska i druga dwóch córek.

Zaledwie rządca otworzył drzwi od ganku, gdy równocześnie pokazała się w drzwiach jadalnego pokoju twarz jego żony. Mąż zdejmował w sieni głębokie kalosze, w tém odezwał się niecierpliwy głos żony:

— I cóż?

— Wszystko dobrze. Jutro jadę do miasta.

— Chodź-że prędzéj i gadaj — mówiła, usuwając się ze drzwi.

— Zaraz — powiedział, wchodząc do pokoju — tylko zdejmę surdut, bo szkoda.

— Masz twój na krześle. Opowiadaj-że.

— Ależ ty gorąco kąpana. Poczekaj, niech odetchnę po tém błocisku.

Mówiąc to, usiadł ciężko na krześle i głośno sapał.

Twarz pani Dołsunowskiéj ordynarna, gruba, posiadała ciemne, ruchliwe oczy, które w téj chwili patrzały badawczo na męża. Nos wielki, mięsisty, zadarty, poruszał się gdy mówiła z wielkim zapałem. Ciemne włosy, nisko opuszczone, zasłaniały do połowy czoło. Usta grube, szerokie, łatwe do uśmiéchu i grymasu, odsłaniały popsute, zżółkniałe zęby. Cała postać skłonna do otyłości, uwidoczniała energię w długich, ciężkich, niezgrabnych rękach i w ruchach nóg, któremi nawet siedząc poruszała. Szukała chluby ze swéj, jak mawiała, szczerości, naprawdę rubaszności i despotyzmu.

— Wysapałeś się w końcu? — zawołała zniecierpliwiona.

Mąż spokojnie wyjął papiérośnicę, zapalił papiérosa i rzekł:

— W gabinecie hrabiego zastałem i doktora...

— O ten to ziółko — przerwała żona — dobrze by było mieć go zawsze za sobą. No i cóż?

— Hrabia polecił mi sprzedaż pszenicy...

— Opowiadaj po kolei. Jak cię przywitał?

— Jakże? Podał mi rękę i koniec.

— O to się nie pytam, to rozumié się samo przez się, przecież ty taki dobry szlachcic, jak i on. Bo ja kpię sobie z tych tytułów zagranicznych. Ale czy był uprzejmy?

— Ależ uprzejmy...

— Prosił cię siedzićć?

— Nie.

— Cóżeś ty zrobił?

— A cóż? Nic!—odpowiedział zafrasowany.

— Widzisz. Tyle razy ci mówiłam, z takimi panami tylko ostro. Ja na twojém miejscu wzięłabym krzesło i usiadła. Ale ty... ty... — mówiła z wyrzutem.

— No, nie siadłem — rzekł zgnębiony i zaciągnął się dymem z papiérosa.

— Opowiadaj daléj, ale szczerze, nic nie opuszczaj.

— Hrabia kazał mi sprzedać pszenicę po 85 kop., jarzynę po 50 kop. za pud i wziąć dobry awans.

— Pewno mu trzeba piéniędzy?

— Nie wiem.

— Cóż daléj?

— Powiedział cōś, czego dobrze nie rozumiem.

— Powtórz, ale dosłownie.

— Zaraz. Powiedział: niech się pan Dołsunowski dobrze sprawi, doktór wié dlaczego robię tę uwagę.

— Mówiłeś z doktorem?

— Kiedyż miałem mówić? Przecież on w pałacu...

— Dla mnie te słowa jasne. Hrabia wygadał się pewnie przed doktorem, że ciebie upoważni do sprzedaży wszystkiego zboża. Doktór musiał odradzać, o, bo on sprytny! Ale hrabia postawił na swojém i wezwał doktora na świadka, że sprzedaż poleca tobie. Ale powtórzno raz jeszcze.

Mąż powtórzył.

— Zobaczysz, że tak jest, jak mówię. O! ja poznałam się już na doktorze! Zawsze jednak idź dziś do doktora, niech on się wytłómaczy, ale zrób to sprytnie. Albo nie! Zaproś go tutaj, ja z nim pogadam, będzie lepiéj.

— Jak sobie chcesz—odpowiedział obojętnie.

Po chwili zapytała:

— I nic więcéj?

— Zażądał raportu z gotowego ziarna.

— Et, głupstwo, było mu cyfrę powiedzieć i koniec.

— Chciałem, ale hrabia odpowiedział, że nie lubi cyfr gadanych.

— Patrzcie go! Niechże ci doda pisarza podręcznego! Za tę marną pensyę będziesz pracował dni i noce. W dzień gospodarstwo, w nocy rachunki, raporta. Czy słyszał kto coś podobnego?

— Raport muszę napisać, ale na prawdę nie wiem dokładnie co do puda.

— Zawsze lepiéj mniéj podać w raporcie dla bezpieczeństwa. Późniéj niedobór i biéda. A zresztą zepsuje się, zgrzeje, ktoś ukradnie, albo co, jest zawsze czém załatać.

— Może masz i racyę.

— Ty mnie słuchaj, a dobrze wyjdziesz.

— A jeśli źle?—rzekł mąż z uśmiéchem.

— Ja odpowiadam za to, co radzę. I gdybyś mnie był słuchał, nie siedzielibyśmy tu w tych ciupach, daleko od ludzi, ale...

— Muszę raport przygotować—przerwał mąż wyrzuty.—A wy już po herbacie?

— Już, ale w czajniku zostawiłam dla ciebie—to mówiąc wstała i zaraz rozległ się w kuchni jéj głos zrzędzący.

Doktór tego wieczora był niewidzialny. Na drugi dzień rano pan Dołsunowski pojechał do miasta, rozesłał faktorów i czekał kupców. Zjawili się kupcy, lecz niestety ceny oznaczonéj przez hrabiego nikt dać nie chciał. Zaledwie po długich targach dawano 80 kop. za pud pszenicy z dostawą do kolei. Co do żądanéj dostawy, rządca nie był w kłopocie. Hrabia nie mówił i słowa, czy sprzedaje z dostawą, czy bez niéj; tłómaczenie łatwe, ale ta cena!?

Dopiéro od dwóch tygodni był rządcą u hr. Rugiwojskiego. Użył próśb, protekcyi różnych osób, by otrzymać to miejsce, nie dlatego, aby pensya lub wygody gospodarskie były korzystniejsze, przeciwnie, proponowano mu lepsze warunki, ale zadawalniało to jego ambicyę, że służy u hr. Rugiwojskiego, a nie u byle jakiego właściciela. Następnie rozumował, że po śmierci hr. Jasmunda, majątek znacznie się powiększy sukcesyą i on z rządcy zostanie plenipotentem. A gdyby i sukcesya ominęła, to po wysłużeniu chociażby roku, każdy przyjmie go chętnie na rządcę, szukając chluby w słowach: „Mam rządcę Rugiwojskiego u siebie", a tego rodzaju patent posiadał wielką wartość. Inaczéj bowiem traktuje się i płaci rządcę, który służył u wielkiego pana, a inaczéj, gdy był gdzieś u zwykłego szlachcica. Pan Dołsu-

nowski rozumiał to dobrze, i ten złoty sen przyszłości, który umilał mu nietylko pracę, ale i pożycie domowe, może się nagle, jednêm niepowodzeniem, zmienić w smutną przyszłość, bez widoków polepszenia. Podejrzenie rzucone przez żonę na doktora nie tylko skiełkowało, ale i zakwitło. Kto winien, że hrabia podał tak wysoką cenę? Doktór winien. Czuł têm większy żal, że głównie doktorowi zawdzięczał tę posadę, on postawił go tak wysoko, by późniéj zepchnąć; gdyż rozumował daléj: oto pierwsze polecenie hrabiego, zostaje niewypełnione! Żądanéj ceny wyciągnąć nie można! Następstwa są widoczne. Hrabia cofnie polecenie sprzedaży, a on z rządcy w kluczu Wieszar, zejdzie do nadzorcę folwarków, jeśli nie gorzéj.

Tego rodzaju myśli i przypuszczenia skłaniały go do większéj gorliwości w poszukiwaniu kupna. Ale im gorętsze były namowy, im większe ułatwienia dostawy i oczyszczenia zboża, têm twardsze warunki stawiali kupcy i ku wieczorowi poczęli obniżać cenę dawaną rano.

Zmartwiony, zniechęcony, zły na kupców, na cenę, na hrabiego i doktora, wyjechał z miasta nocą nie załatwiwszy interesu.

— A to psie szczęście! — powtarzał co chwila, podniecał się co raz więcéj swêm niepowodzeniem w sprzedaży, aż wreszcie wyładował na furmana swoją złość.

Bryczka zaczepiła przypadkiem o słup przydrożny, więc obił furmana, sam powoził i batem na koniach czynił ulgę swéj pasyi. Noc była chmurna, deszcz rosił gęsty, p. Dołsunowski w rozpiętéj burce, bez rękawiczek, kierował końmi i znacznie uspokojony przyjechał do domu.

Żona mimo późnéj godziny czekała na niego z kolacyą. W czépku na głowie, w białym, zbrukanym kaftaniku, w spódnicy kolorowéj, siedziała w jadalnym pokoju, to drzemiąc, to cerując pończochę. Na turkot bryczki wyszła ze świécą do sieni i uśmiechając się wesoło, pomagała mężowi zdjąć przemoknięte wierzchnie ubranie.

— Ale zmokłeś! Tak ciemno i taka psia pogoda, że myślałam, że zanocujesz w mieście. Byłabym czekała tylko do pierwszéj.

— Daj mi wody do rąk — przemówił mąż.

— Zgubiłeś rękawiczki?

— Nie, ale szelma furman, tak źle wiózł, że sam wziąłem lejce i zdjąłem rękawiczki, bo szkoda.

Ta odpowiédź i ton ostry zaniepokoiły ją.

— Dam ci wodę z kuchni, bo jeszcze pobudzą się dzieci. No chodźże raz i powiédz co się stało?

Po szczegółowém opowiedzeniu niefortunnych usiłowań sprzedaży, oboje małżonkowie zgodzili się na to, że chwila jest poważna, że wprawdzie doktór zawinił, ale należy spolitykować i wezwać go na walną, jutrzejszą naradę.

Po obowiązkowéj, popołudniowéj wizycie lekarskiéj w pałacu, wolancik doktora Bielańskiego zatrzymał się przed gankiem domu państwa Dołsunowskich.

Pani wyprawiając męża na pierwsze przywitanie, mówiła do starszéj córki:

— Uważaj, aby nam nikt nie przeszkadzał, przyjdziesz Janiu wtenczas kiedy zawołam—i weszła sama do bawialnego pokoju, małego, z podłogą zaprawioną farbą i woskiem. Pod szerokiém, a niskiém oknem z kilkoma wazonikami kwiatów, ujętém w ramy białych firanek stał garnitur mebli wyściełanych, krytych zielonym rypsem. Pod ścianą, obok drzwi prowadzących do sypialni córek był fortepian, a nad nim oleodruk z krajobrazem górskim. Mdły zapach mydeł toaletowych, przedostawał się i z sypialni córek i z małéj sypialni małżeńskiéj połączonéj z bawialnią, drzwiami szerokiemi, pomalowanemi na żółto.

— Ależ pana doktora trudno złapać — mówiła pani, pokazując w uśmiechu swe zepsute zęby.

— Obowiązki pani dobrodziejko, obowiązki — odpowiedział doktór witając się uprzejmie i szukając oczyma pięknéj Jani.

— Obowiązki swoją drogą, a przyjaźń swoją. Niechże pan doktór siada—zapraszała pani—mamy wielką prośbę do pana.

— Czémże mogę służyć—mówił z ugrzecznieniem.

— Wiemy, że panu doktorowi zawdzięczamy naszą dzisiejszą pozycyę—zaczęła przymilając się—ale my sobie taka zwykła szlachta i nie znamy się na hrabskich finezyach...

— Więc?... — rzucił doktór zaciekawiony.

— Otóż mój Władzio — ciągnęła daléj spojrzawszy na milczącego męża — jest jedyny do roboty, ale nie umiał sobie wytłómaczyć słów hrabiego: „że pan doktór wié dlaczego polecił sprzedaż zboża."

— Ale to naturalne! — zawołał doktór. — Przed przyjściem pana Dołsunowskiego, mówiliśmy z hrabią o sprzedaży zboża — tu popatrzyła pani porozumiewawczo na męża — i hrabia oświadczył, że ta sprzedaż będzie dla niego próbą zdolności rządcy.

— Ja to mówiłam mężowi — rzekła tryumfująco — no powiédz, czy nie tak?

— A tak—odezwał się mąż z westchnieniem. — Cóż gdy szelmy kupcy nie dają téj ceny.

— To źle, bardzo źle—mówił doktór poważnie.

— Jeśli téj ceny nie ma, to przecież nie dołożymy hrabiemu z naszéj kieszeni—zawołała szorstko.

— Choćbym chciał, to nie mam — mówił zmartwiony rządca.

— Ostatecznie jaką cenę dają kupcy? — zapytał doktór.

— Osiemdziesiąt z dostawą — odpowiedział chmurno.

— To źle. Muszą dać ośmdziesiąt pięć.

— Dobrze panu doktorowi mówić: muszą—zaśmiała się przykro pani — ale kto ich zmusi?

— Szukać kupca. Nie tu, to tam, ale znaléźć, — mówił doktór z naciskiem — bo z hrabią nie ma żartów.

— Pokazywali mi żydzi ceduły handlowe z zagranicznych rynków — bronił się rządca — i mają racyę, że dają osiemdziesiąt, więcéj nie można.

— Niechże pan doktór coś poradzi, bo my potraciliśmy głowy— mówiła słodko się uśmiechając.

— Cóż ja mogę?—tłómaczył się doktór.—Mówię państwu szczerze, że ta sprzedaż jest próbą. Uda się zadowolić hrabiego, będzie dobrze, nie uda się, za nic nie ręczę.

— Więc co? — zapytała pani z pasyą źle ukrywaną.

— Hrabia jest bardzo dobry, ludzki, — uspokajał doktór — ale jak coś sobie uroi, nie ma sposobu zmienić.

— Ha to pojadę—rzekł z rezygnacyą rządca — będę szukał, śledził, tropił kupca, a muszę znaléźć.

— Wiele czasu pan nie ma — mówił doktór — jeszcze onegdaj przy obiedzie wspominał hrabia o szybkiéj sprzedaży.

— A to nieszczęście—zawołała żałośnie żona.

— Nieszczęście! — powtórzył mąż wzdychając.

— Hrabina ma wkrótce wyjechać z hrabianką — opowiadał spokojnie doktór. Sam hrabia pewno ich odprowadzi i pojedzie do litewskich majątków.

— A tam po co? — zapytała ciekawie.

— Na polowanie i podobno jest tam kupiec na jeden las.

— Pan doktór był na Litwie?—dopytywała się pani.

— Byłem. Kraj leśny.

— Tam pewno tanie lasy — odezwał się rządca.

— To zależy od położenia i dróg. Opowiadano mi ciekawą anegdotę: Jeden z wielkich panów sprzedał kupcowi las z poręczeniem, że będzie 1,500 sążni drew, jak poprzednio obliczył leśniczy. Zawołał leśniczego i powiedział, że musi być 1,500 sążni, sam wyjechał. Leśniczy widzi, że tylko 1,000 sążni, nie namyślając się długo, sprowadził

500 sążni z innéj kniei i warunek został dopełniony. Po latach wykryło się, ale pan pogroził tylko i leśniczy został. Ta anegdota maluje doskonale lesistość tego kraju — u nas i 10 sążni nie można by ukryć.

— Bo téż to nie lasy, ale gaje — mówił p. Dolsunowski wychowany na Polesiu.

Pani słuchała z natężeniem tego opowiadania i nagle rozjaśniła swą twarz, spojrzała tryumfująco na doktora, na męża i rzekła:

— Znudzimy pana doktora naszemi narzekaniami, zostawmy kłopoty na jutro, a teraz korzystajmy z milego towarzystwa pana doktora.

Doktór, który często rzucał okiem na drzwi wchodowe, oczekując zjawienia się córki państwa Dolsunowskich, widząc że jéj nie ma wstał:

— Żałuję, że nie mogę zostać dłużéj, ale...

— Cóż to znowu? — zawołała pani — bez herbaty, bez kolacyi, czy kto słyszał coś podobnego—i wstawszy, poszła ku drzwiom, otworzyła i krzyknęła: — Janiu! Janiu! Pan doktór chce odejść!

Zawołana weszła. W ciemnéj sukience ozdobionéj ponsowemi kokardkami, zarysowywała się ładnie na tle białéj ściany jéj wysmukła i zgrabna postać. Modne, bufiaste rękawy sukni podnosiły wcięcie figury. Świéża i delikatna cera jéj twarzy stawała się bielszą przy bujnych, ciemno-kasztanowatych włosach. Lekko zarumieniona spojrzała pytająco na doktora i rodziców.

— Słyszałaś Janiu — rzekła matka — pan doktór chce odejść, może ty uprosisz, aby został.

Dziewczyna jeszcze bardziéj zarumieniona, podając rękę na przywitanie odezwała się niepewnie:

— Proszę, niech pan doktór zostanie... herbata gotowa.

— Jeśli pani każe... — odpowiedział wpatrując się w jéj twarz.

Usiadłszy, zwróciła się do ojca:

— Proszę papy, pisarz czeka na dyspozycyę od dość dawna.

— Czemużeś nie dała znać?—zarzucił ojciec wstając.

— Nie chciałam przeszkadzać...

Żona odprowadziła męża aż do drzwi i wzdychając mówiła:

— Mój Stefek tak cały dzień zajęty, nawet wieczorem nie dają mu spokoju, to nie tak, jak pan doktór.

— Nie jest téż rozkoszą być przy chorych.

— Czy tylko przy chorych? — zapytała matka uśmiechając się.

— Ma pani słuszność, nieustanne wyjazdy zabierają więcéj czasu—odpowiadał doktór uprzejmie.

— Oj, wié pan, o czém ja mówię, nie o wyjazdach — zaśmiała się pani głośno.

— Córka najlepiéj zna matkę — mówił doktór zwracając się do panny Janiny — więc niech mi pani wytłómaczy słowa mamy.

— Zapewne mama myśli o balach, zabawach, kartach... — odpowiedziała z wahaniem.

— Tak moje dziecko. Całe twoje szczęście w niewinności — rozczulała się matka.—Czyż nie prawda panie doktorze?

— O tak, niewinność jest cnotą — uśmiéchnął się.

— Śmiéj się pan, śmiéj, a jednak dziś inne czasy — kończyła wzdychając.

— Pani dobrodziéjko — mówił doktór udając powagę — od początku świata, cnotę w twierdzy, oblegają niecnotliwi.

— Z pana doktora niebezpieczny człowiek — uśmiechała się pani dyskretnie—drwi pan ze wszystkiego.

— Byle nie jak lis z winogron — zaprotestował doktór.

— I na winogrona jest sposób — uspokajała matka,—lecz w téj chwili uchyliły się drzwi i młodsza córka zawołała: mamo! — Zaraz, zaraz, przepraszam, że opuszczam pana doktora, ale obowiązki...

I z temi słowy wyszła.

Panna Janina poprawiła się na krześle, wyprostowała i czekała słów doktora:

— Pani zna bajkę o lisie i winogronach? — zapytał z miną niewinną.

— Nie, nie znam — odpowiedziała z uśmiechem, mówiącym że zna, ale chce posłuchać doktora.

— Pozwoli pani, że opowiem — skinęła głową, patrząc mu w oczy. — Otóż był sobie lis. Lisy nie zawsze chodzą na czterech łapach, ale i na dwóch, tak jak ja. I wisiały w pewnym domu winogrona soczyste, świéże, piękne np. jak... pani!

— Ach! Co pan mówi?! — zawołała śmiejąc się wesoło.

— Przecież to bajka. Lis chciał dostać tych winogron, to rzecz naturalna, więc skakał, zachodził tędy i owędy i...

— Nie dostał — skończyła z uśmiéchem.

— A więc pani zna tę bajkę? — zapytał doktór poważnie, chociaż śmiały mu się oczy.

— Domyśliłam się — odpowiedziała wymijająco.

— I nie żałuje pani lisa?

— Nie, bo był niezręczny — mówiła i unikając wzroku doktora, wzięła ze stołu robótkę szydełkową, przygotowaną zawsze na wszelki

wypadek. Robótkę nieśmiertelną, pozwalającą na przerwy, odwrócenie oczu i uwagi, stosownie do potrzeby.

— A cóż pani rozumié przez zręczność? — pytał doktór, przysuwając bliżéj swe krzesło.

— Zręczność? Zręczność? — mówiła z wahaniem szukając określenia. — Jeżeli np. kto ładnie tańczy, dobrze jeździ konno...

W téj chwili weszła młodsza siostra, dziecko dziewięcioletnie, siadła cichutko przy stole, kładąc obok kilka kwiatów.

— Heniu! A gdzie znalazłaś te kwiaty? — zapytała siostra.

— Odszukałam w ogrodzie...

— Pani lubi kwiaty? — mówił doktór obojętnie, jakkolwiek błyszczącemi oczami patrzał na Janiny twarz, szyję, wygięcie karku białego, falowanie piersi.

— Bardzo. A pan? — zapytała nie podnosząc oczu.

— I ja lubię, ale tylko... zrywać.

— A potém niech zwiędną — dodała z wymówką i sentymentalném spojrzeniem na doktora.

— Na to jest kwiat — zaśmiał się.

— I nie żałowałby pan?

— Cóż to pomoże? — tłómaczył doktór nachylając się — kwitnie kwiat w polu, spostrzegłem i zrywam. To nawet szczęście dla kwiatka, bo by go wół zjadł.

— Nie chciałabym być tym kwiatem — mówiła spokojnie.

— A ja chciałbym być ogrodnikiem pani—powiedział szybko doktór, w którym burzyła się namiętność.

— U nas teraz tak mało kwiatów — odezwała się z żalem i opuszczając robótkę na kolana, spojrzała poważnie na doktora — to nie tak, jak dawniéj. Czy pamięta pan jaki zrobiliśmy bukiet, gdy pan był u nas wiosną w Żarnówce? — kończyła wspominając poprzednie miejsce zamieszkania.

— Pamiętam ten bukiet, ale w Żarnówce była pani weselszą, chociaż dziś może piękniejszą.

— Pan doktór zawsze z komplementami—mówiła z udanym niesmakiem, jakkolwiek słowa te zrobiły jéj przyjemność. — Dla mnie Żarnówka pozostanie zawsze najmilszém wspomnieniem.

— Zbyt pospiesznie pani sądzi — mówił doktór bawiąc się kwiatem wziętym ze stołu. — Przyjdą nowe rozkosze, upojenia, i zapomni pani o dawnych.

— Nie zapomnę — upiérała się Janina. A nowych nie chcę.

— Więc już tyle pani przeżyła?

— Przeżyłam mało, ale wiem co to nieszczęście—odpowiedziała z naiwnością dziecka, nie rozumiejącego znaczenia słów i zajęła się pilnie robótką.

Ładna jéj twarzyczka miała istotnie odcień smutku, gdyż wspomniała swą pierwszą miłość, szorstkie wymówki matki, zerwanie z młodym studentem, po którym pozostały jako jedyne pamiątki wiersze i kilka zwiędłych kwiatów. Dziś, powodowana z jednéj strony rozkazem matki, z drugiéj praktycznym rozumem, starała się być uprzejmą i względną dla doktora.

Doktór widząc jéj gorączkową pracę, czuł się dotknięty, i zwrócił się do drugiéj siostry:

— Cóż robi Henia po całych dniach?

— Uczę się. Jania przygotowuje mnie do drugiéj klasy.

A gdy panna Janina nie ustawała w swéj pracy, doktór odsunął krzesło nieznacznie, czuł bowiem, że ona pociąga go więcéj, aniżeli dozwala polityka zastosowana przez niego w tym wypadku. Szukał jedynie zabawy, gry słów, uśmiechów, uścisków bez następstw, ale chwilami uczucie, namiętność owładały nim tak silnie, że na ustach plątały mu się wyrazy miłości, wyznania, ale oświadczyny odkładał do czasu, gdy albo ona będzie bogatą, albo też on uzna za stosowne ożenić się.

Panna Janina chcąc przerwać to niemiłe milczenie, zwróciła się do doktora, odłożyła robotę i zapytała:

— A nie wróżyła panu cyganka? Była dzisiaj u nas, ale papa nie pozwolił na wróżby.

Z twarzą rozjaśnioną zawołał doktór wstając i biorąc jéj rękę.

— Ja powróżę pani i nauczę chiromancyi.

W tém weszła matka, zapraszając na herbatę.

Okrągły stół jadalny, oświetlony lampą wiszącą, był zastawiony przysmakami. Obok śledzi marynowanych, kawioru, była szynka, podgarle wędzone, rożenki śliwek suszonych, séry; a trzy butelki wina zajmowały środek obok kosza owoców i ciastek. Na stole pod oknem, odsunięto papiéry kancelaryjne i ustawiono parę butelek piwa. Po przekąsce nastąpiła gorąca kolacya, humory się poprawiły, twarze się uśmiéchały, lecz wejście służącego doktora z biletem wzywającym go do natychmiastowéj pomocy choremu, przerwało wesoły nastrój wieczoru.

Po wyjściu doktora komenderowała pani:

— Heniu, idź kończyć zadanie i spać, a ty Janiu pomóż mi posprzątać.

Mąż pijąc ostatki piwa mruknął niechętnie:

— Po co te zbytki? Wina, piwa, przekąski, kawiory, na co to wszystko?

Żona spojrzała na mówiącego i nie przerywając zajęcia powiedziała:

— Janiu! zabierz butelki ze stołu ojca i uporządkuj papiéry — zwracając się zaś do męża: — Lubię takie gadanie, więc co? mam założyć ręce i czekać aż przyjedzie jaki królewicz po Janię?... Już i tak ma ona nabitą głowę, że zajedzie po nią poszóstna kareta.. Kto jest pod ręką, tego trzeba brać, a nie latać po gwiazdach.

— A cóż to ma jedno do drugiego? — zawołał mąż. — Ja mówię o zbytku przyjęcia, a ona Bóg wié o czém!

Rozgniewana stanęła przed mężem:

— Więc ty myślisz, że ja dla własnéj chwały wyprawiam takie kolacye?!... Janiu! Weź te butelki wina i zanieś ze służącą do piwnicy.

Po wyjściu córki, zbliżyła się do męża i mówiła ciszéj, ale surowo:

— Czémże ty myślisz zwabić zięcia? Co? Jania nic nie ma, ładna buzia, zgrabna i koniec, któż ją weźmie? Ale jak go przyjmują, poją, goszczą, to się rozczuli i oświadczy, bo do was droga najlepsza tylko przez żołądek, o! znam ja was! — kończyła złośliwie.

— No, no, zobaczymy — mówił z powątpiewaniem, kiwając głową.

— Już to dobraliście się oboje — rozpoczęła wróciwszy do porządkowania. — Żeby ona była mądrą, byłaby dawno po słowie z doktorem, czy to ja oczu nie mam? Ale naczytała się romansideł i kręci nosem na doktora. Jéj w głowie książę, hrabia, żeby klęczał, przysięgał, kochał... ale z miłości chleba nie ma...

— A niech i tak będzie... daj mi świécę, muszę wpisać dzisiejszą wypłatę robotnikom.

Na to weszła córka. W milczeniu, aby nie przeszkadzać piszącemu, schowano wszystkie resztki kolacyi i obie wyszły.

W sypialni panieńskiéj, pokoiku małym, wąskim, stały naprzeciw siebie wzdłuż ścian dwa łóżka i dwie szafy na suknie i bieliznę; stolik pod oknem z książkami, kajetami i lustrem przenośném; po przeciwnéj stronie umywalnia i kilka krzeseł. Święte obrazy uzupełniały skromne umeblowanie, które swą czystością robiło wrażenie przyjemne. Gdy matka z Janią weszły, Henia układała się do snu.

— Zdejm Janiu sukienkę, bo szkoda — mówiła matka, usiadła przed lustrem by się zaczesać na noc i zapytała: — co było dzisiaj z doktorem?

— Nic mamo, jak zwykle.

— U ciebie zawsze nic... Czy ty myślisz, że papa wiecznie żyć będzie? A jak nie potrafi pracować, co będzie?

— Cóż zrobię mamo?

Na te słowa odwróciła się matka od lustra i spojrzała na córkę. Po zdjęciu wierzchniéj sukni, zrudziałe buciki, z gumami rozszerzonemi i pończochy szare zwróciły jéj uwagę:

— I ty byłaś w tych bucikach? — zawołała z wymówką — i nie wzięłaś czarnych pończoch? Czy nie mam dosyć kłopotów, jeszcze muszę ciebie ubierać?... A gdyby ci się suknia podwinęła i on zobaczył takie niechlujstwo, myślisz że go zachwycisz?

— To niech się nie zachwyca, nie będzie on, będzie drugi — odpowiedziała nadąsana rozpinając gorset ciasny.

— Nie ten, to drugi, jaka mi pani! — drwiła matka. — Taka wielka, a rozumu za grosz. Że ci Bóg urody nie poskąpił, to myślisz, że wszystko, a to trzeba korzystać z każdéj sposobności, przymilić się, uśmiechnąć, panna z taktem zawsze wié co, gdzie i jak można zrobić.

— Czyż tylko jeden doktór na świecie?—broniła się córka, ubierając się w szlafroczek domowy.

— Jeden nie jeden, ale ty żadnego miéć nie będziesz, bo w głowie roi ci się, Bóg wié co — irytowała się matka. — Ja i papa wysilamy się na twoje stroje, na przyjęcia, a ty...

— Niech się już mama nie gniewa — mówiła, całując jéj rękę — poprawię się.

— Pamiętaj, że przyrzekłaś — zaczęła matka poważnie — porzuć te romanse książkowe i patrz trzeźwo na życie. Doktór młody, przystojny, ma łaski u hrabiego, wzięty w okolicy, niejedna ci pozazdrości...

— Dobrze mamo.

— Dobranoc ci—mówiła wstając — nie siedź długo, bo będziesz blada, a nie zapomnij wytrzéć rąk gliceryną. Ręka miękka i gładka dużo znaczy.

Po wyjściu matki Jania otworzyła szafę, wyjęła z kieszeni sukni kilka schowanych ciastek, odszukała książkę starannie ukrytą i zaczęła czytać, gryząc słodkie, suche łakocie. Była to powieść E. Wernerowéj, opisująca zmienne losy dziewczyny biednéj, pięknéj, z którą wreszcie ożenił się książe młody, bogaty i zakochany. Czytając ją, podstawiała nieustannie siebie jako bohaterkę, a nieznany, kochający książę zjawi się wkrótce i to dzisiejsze życie smutne i szare, skończy się jak sen przykry. O doktorze pomyślała zaledwie przelotnie i z niechęcią, on był i jest tak daleki od jéj marzeń, snów, pragnień.

Gdy małżonkowie przeszli do swéj sypialni, pani rozbierając się rzekła do męża:

— Czegóż ty wzdychasz, jak miech kowalski.

— Alboż ty nie wiész—odpowiedział smutnym głosem.

— Nie wiem — mówiła uśmiechając się.

— Muszę jechać, dyabli wiedzą gdzie, i żeby to na co się zdało? Ale ot psu na budę. Takiéj ceny nie dadzą.

— Ach, jaki ty głupi! — zawołała śmiejąc się głośniéj. — Pocałuj mnie, a ja ci poradzę.

To mówiąc zarzuciła na szyję mężowi swe nagie, tłuste ramiona.

— Ja i bez tego pocałuję ciebie, no powiédz...

Żona usiadła na łóżku obok męża i mówiła zwolna, oznaczając na palcach każdy punkt ważniejszy.

Hrabia chce 85, żydzi dają 80 kop. Hrabia uparł się jak kozioł, chce 85, niech będzie 85. Słyszałeś co mówił doktór o tym leśniczym? Zrób i ty tak samo. Weź z jednéj kieszeni, nasyp do drugiéj, aby tylko tobie nie zostało nic w rękach. Dodaj do gotowych 15,000 pudów pszenicy, z jakie 1000 pudów, ot i cena żądana będzie.

— Nie, nie mogę — zawołał oburzony.

— Głupiś. Chcesz gryźć kamienie na bruku? Czy ja namawiam cię do kradzieży? — mówiła stając przed mężem.

— Nie, nie chcę — mówił miększym głosem. — A jak hrabia się dowié?

— Dowié? — pytała z ironią — skąd? jak? Kto daje raporta? Kto wydaje pszenicę? Kto liczy? Ty, tylko ty.

— Jednak...

— Chce hrabia pokazywać fantazye pańskie, niech za nie płaci. Czy ty na tém co zyskujesz? Czy chociażby kopiejkę?—tłomaczyła siadając znów obok męża.

— To prawda — odpowiedział, zdejmując kamizelkę.

— A widzisz. Zrób, jak ci radzę i będzie wszystko dobrze.

— A może masz i racyę? — wahał się mąż.

— Kiedy mnie posłuchałeś, czy źle wyszedłeś? — zapytała, rozwiązując spódnicę.

— Prawda! — odparł bez wahania.

— Posłuchajże, a nie będziesz żałował.

— Posłuchać?... Hm, łatwo tobie powiedzieć, ale...

— Znów zaczniesz swoje? — przerwała ostro żona.

— Ha! Niech i tak będzie — rzekł zrezygnowany.

— No, a teraz zasłużyłam na całus?—zapytała miękkim głosem.

Zamiast odpowiedzi, mąż ucałował ją serdecznie, szepcząc czułe słowa.

W kilka dni przyjechał kupiec, oglądał próbę, lecz nie dawał więcéj jak 80 kop. za pud pszenicy z dostawą. Pan Dołsunowski przeprowadził jednak plan żony doskonale. Formalna umowa brzmiała o sprzedaży 15,000 pudów pszenicy po 85 kop. za jeden pud, natomiast zobowiązał się osobistym kwitem z powodu złego oczyszczenia dodać kupcowi 950 pudów. W ten sposób rozwikłano zadzierzgnięty przez hrabiego węzeł, mający decydować o zdolności i zaufaniu rządcy.

Gdy pan Dołsunowski poprosiwszy o audyencyę meldował lekko drżącym głosem o cenie i warunkach kupca, hrabia uśmiechnął się zadowolony i przeglądając umowę mówił:

— Dobrze się sprawiłeś panie Dołsunowski, nie zapomnę. Najwyższa cena, jak widzę z dzienników, jest 80 kop., ale wiedziałem, że za pszenicę z Wieszar, za moją pszenicę dadzą kupcy drożéj. Jest w tém jednak trochę zasługi i pana. Będę o tém pamiętał—kończył z uśmiechem łaskawym.

Wyszedłszy od hrabiego z umową podpisaną, pospieszał rządca do domu. Oczekująca go na ganku żona zawołała do zbliżającego się męża:

— A co?

Mąż zdejmując kapelusz i potrząsając umową krzyknął:

— Wygrana!

V.

Śniegi topniały.

Tykicz przepływający, głębokiém, kamienném łożyskiem u podnóża Wieszar spoczywał jeszcze otulony lodem. Tylko wody żółtawe z potoków przygodnych szumiąc, wpadały do rzeki i rozlewając się szeroko po lodach płynęły leniwie.

Prądy cieplejsze przedzierały się przez śniegi i stepy to silniéj, to słabiéj budząc naturę z odrętwienia zimowego. Posępne ptastwo zimy: wrony, kruki, kawki, gawrony opuszczały z głośną wrzawą siedziby ludzkie, wynosząc się w gaje i lasy. Wróble, dzierlatki, trznadle świegotały żywo, grzały się na strzechach i opłotkach w przemijających promieniach słońca i upatrywały gniazda. Zwłaszcza zachody słońca piękne, spokojne, rzucały purpurowe odblaski na resztki śniegów na tającą ziemię, na gałęzie drzew żółciejących już na końcu. Park spał jeszcze, tylko świerki, jodły, sosny czerniły się na tle śniegu

i gęstych gałęzi liściastych drzew, gałęzi nagich, wiotkich, uderzających z głuchym łoskotem o siebie za powiewem silniejszego wiatru.

W pałacu cisza i pustki. Hrabia od miesiąca cierpiał na lekkie bóle reumatyczne, przywiezione z polowania. Po całych dniach przesiadywał w gabinecie, zabawiając się rozmową z kamerdynerem, z doktorem lub wysłuchiwał raportów gospodarskich. Znudzony samotnością, żona bowiem z córką nie wróciły jeszcze z podróży, i jednostajnością życia, wpadł na koncept, który wydał mu się tak zabawnym, że hrabia uśmiechał się sam do siebie. Ofiarą miał być karzeł.

Rano, gdy kamerdyner którego obowiązkiem było także golenie hrabiego, zaczął swoim zwyczajem opowiadać o plotkach i nowinkach pałacu, folwarków i miasteczka, hrabia przerwał:

— Słuchaj Erneście, namów Zosię pokojówkę, by uważała kiedy ja wyjdę na obiad. Niech pójdzie do karla, ale do jego kryjówki za niedźwiedziem, i przymila się do niego; resztę sam zrobię.

Usłyszawszy te słowa Ernest zaczął się śmiać cichutko i tak długo, że hrabia rzekł:

— Czegóż się śmiejesz błaźnie?

— Bo będzie komedya...

Hrabia zadowolony uśmiechnął się.

Przed obiadem wyjaśnił doktorowi swój plan i obaj zeszli do karła, który zły i chmurny siedząc na ławeczce odwracał się plecyma i krzyczał na zalecającą się dziewczynę:

— Idź do dyabła, czego się mnie czepiłaś?

Hrabia z marsem na czole wystąpił z za portyery i zawołał groźnie:

— To ty Pawle tak się prowadzisz? Tu, w pałacu, pod moim bokiem romansujesz bez wstydu?

Karzeł zerwał się z ławki, stanął obok dziewczyny sięgając jéj ledwie do pasa, oszołomiony, zawstydzony, milczał.

Hrabia zwracając się do dziewczyny zapytał:

— Dlaczego tu przyszłaś Zosiu?

Ta zoryentowała się natychmiast i odpowiedziała płaczliwym głosem:

— Paweł obiecał ożenić się ze mną, a teraz i nie chce i łaje.

Karzeł oburzony, drżący z gniewu, odsunął się od niéj gwałtownie, i zaciskając małe pięście bełkotał bezsilny:

— Ja? Ja? żenić... Tfu, niedoczekanie twoje.

— Pawle ostrożnie z przekleństwami — ostrzegł hrabia. — Sam twój gniew dowodzi, że Zosia mówi prawdę. To trudno, musisz się ożenić, było nie bałamucić dziewczyny.

— Niech się pan hrabia nie irytuje — uspokajał doktór. Paweł się ożeni, dziś jeszcze pośle pan hrabia na zapowiedzi.

— Ależ to okropne,—oburzał się hrabia—myślałem, że przynajmniéj ten jeden porządny, a on w moim przedpokoju robi bezeceństwa.

Zosia z miną zasmuconą ocierała oczy, a karzeł wobec tych pozorów, mówił ze łzami w oczach, całując rękę i kolana hrabiego:

— To nie moja wina! To nie moja wina!

— Trudno—zawyrokował hrabia—teraz musisz się żenić, rozpusty nie ścierpię w pałacu. Hej Ernest! — krzyknął głośniéj i rzekł do wchodzącego: — Przygotować konnego posłańca do proboszcza! To powiedziawszy poszedł z doktorem do sali jadalnéj, zostawiając karła w rozpaczy.

Dwa dni bawił się hrabia obawą karła, jego przysięgami i złością.

Ale minęła i ta przyjemność, i znów zaczęły się dawniejsze nudy, przerywane listami i dziennikami. Codziennie około godziny 5-éj z południa otrzymywał hrabia przesyłkę pocztową i téj chwili wyczekiwał z lekką niecierpliwością. Z początku pisywała hrabina listy, tchnące nadzieją i żartowała z niewłaściwych dla Herty pretendentów. Stopniowo ton wiadomości przesyłanych posępniał, gorzkniał, wreszcie ograniczyły się listy na zawiadomieniach o odbytych lub zamierzonych balach i wycieczkach. Hertę na razie bawił nowy świat, nowi ludzie, świetne zabawy; późniéj humor matki i jéj pokrzyżowane plany popsuły wesołość i swobodę listów. Zmiana miejsc pobytu przez Wiedeń, Wenecyę, Rzym, ta pogoń na upatrzonego nastrajały ją smutnie, tęskniła do domu, do Wieszar, do ojca.

Dzisiejsza poczta, prócz zwykłych dzienników, przyniosła tylko jeden list w zwykłéj, szaréj kopercie. Hrabia czytał: „Panie hrabio! Dziękując szczerze za udzielane mi stypendyum, mam zaszczyt donieść, że w tym miesiącu składam ostateczny egzamin na wydziale agronomicznym. Mając nadzieję otrzymania posady, wystarczającéj na pokrycie mych potrzeb, uważam dalsze korzystanie ze stypendyum za krzywdzenie biednych uczniów, potrzebujących pomocy. Z głęboką wdzięcznością i szacunkiem Stanisław Wosiński".

I tytuł i ton listu zadziwił go i rozśmieszył. Polecił lokajowi zawołać buchaltera, by zasięgnąć bliższych wiadomości o nieznanym korespondencie.

Jeszcze ojciec hr. Rugarda, obciążył Wieszary obowiązkiem wypłacania dwóch stypendyów rocznie po 300 rubli dla synów szlachty ubogiéj. Każdorazowy właściciel Wieszar rozporządzał tą dotacyą własnowolnie. I hr. Rugard od czasu do czasu, gdy zawakowało sty-

pendyum udzielał potrzebującym. Nowe nazwisko wchodziło wówczas do księgi wydatków stałych i kasyer co cztery miesiące wysyłał odpowiednią sumę. Nazwisk wychowańców tego funduszu hrabia nie pamiętał, nie interesował się niemi, wystarczała mu pozycya w budżecie rocznym.

— Pan hrabia rozkaże — odezwał się buchalter, blady, pochylony, ze szpakowatym zarostem.

— Co za jeden Stanisław Wosiński?

— Stypendysta pana hrabiego.

— Wiem. Jego nauki?

Buchalter popatrzył wyblakłemi oczami na hrabiego, na razie nie zrozumiał pytania, postanowił tedy opowiedzieć historyę wychowańca:

— Po nagłéj śmierci rodziców Wosińskiego, dzierżawców folwarku pana hrabiego, został ten jedynak będący podówczas w pierwszéj klasie gimnazyum. Pan hrabia raczył mu udzielić stypendyum i chłopak się pokierował.

— Uczył się dobrze?

— Dobrze.

— Kiedy wysyła się stypendyum?

— 1 kwietnia, 1 sierpnia, 1 grudnia każdego roku po sto rubli.

— Kwietniowéj sumy nie wysyłać Wosińskiemu. Ogłosić wakans na to stypendyum.

— Słucham.

Hrabia skinął głową. W chwili gdy buchalter wychodził, lokaj zameldował doktora.

— Zabawny list otrzymałem doktorze. Czytaj.

Doktór odczytał w milczeniu i kładąc list na biurku, rzekł z uśmiechem:

— Znam tego Wosińskiego, list podobny do niego. Był przed dwoma laty w sąsiedztwie na wakacyach.

— Dlaczego nie stawił się w pałacu?—zapytał hrabia tonem niezadowolenia.

— Pan hrabia był nieobecny.

— I mówisz doktorze, że on podobny do listu?

— Tak jest. Młody, zdaje się, dobry chłopak.

— List dziecinny, ale podobał mi się... Co myślisz doktorze, ma chłopiec gdzieś praktykować, możeby go wziąć do Wieszar? Zrobię go pomocnikiem rządcy.

Doktór dbając o dobrą opinię swego protegowanego, korzystał z téj sposobności i rzekł:

— Zależy to od woli pana hrabiego, ale sądzę, że Dołsunowski pomocy nie potrzebuje, jest zdrów i powinien sam pracować.

Hrabia po krótkim namyśle mówił:

— Masz słuszność, doktorze, podwładnych wygodami psuć nie trzeba... Ale mam inny plan. Jestem dość zmęczony, trochę niedomagam, wezmę go na sekretarza i kontrolera.

Doktorowi projekt ten również się nie podobał. Dotychczas w pałacu on był jedynym łącznikiem hrabiostwa z otaczającym światem, czuł swój wpływ i znaczenie i pragnął je rozszerzyć i ustalić, a w przyszłym sekretarzu widział współzawodnika, więc rzekł zwolna:

— Zdrowie pana hrabiego wymaga wyręczenia w pracy, ale nie wiem, czy Wosiński będzie odpowiedni?

— Dlaczego?

— Jak każdy młody, jest zarozumiały i... i...

— Co?

— I np. będzie się kwasił, że jada przy drugim stole, że jest wykluczony z towarzystwa...

Hrabia się nachmurzył i odezwał się sucho:

— Zapominasz, doktorze, że to nasz wychowaniec, dobry szlachcic, a taki zawsze znajdzie miejsce przy naszym stole.

Spostrzegł się doktór, że postawił sprawę niewłaściwie, więc uśmiéchając się powiedział:

— Mówiąc to, miałem na myśli panią hrabinę...

Ale hrabia był w usposobieniu wspaniałomyślném i sprzeciwianie się doktora drażniło go, przerwał tedy ostro:

— Hrabina i ja jesteśmy jednych przekonań.

— A więc *mea culpa*, zawiniłem—zawołał doktór.

— Wy, panowie z inteligencyi, nie znacie nas, wyobrażacie sobie arystokracyę jako zamknięte koło. My zaś cenimy wszystkich ludzi, którzy żyją uczciwie, zgodnie z przeznaczeniem Opatrzności.

— Jednak nie cała arystokracya jest tego zdania. Są pewne zacieśnienia, uprzedzenia... — mówił doktór, spostrzegłszy chęć hrabiego prowadzenia téj rozmowy.

— Ależ, doktorze, przecież zacieśnieniem lub uprzedzeniem nie można nazwać łączenia się równych rodów. Nawet ów osławiony Darwin oparł swą teoryę na dziedziczności. Pilnujemy rasy koni, jakże chcesz, byśmy nie przestrzegali czystości naszéj rasy!?

— Pan hrabia w zasadzie ma słuszność, ale...

— Chcesz mówić o odświéżaniu krwi. Spojrzyj na portrety w naszéj bibliotece. Znajdziesz tam i czystą krew francuską, i angielską

i niemiecką. Naszą zasadą, którąśmy się zawsze kierowali i kierujemy jest: Odświeżając krew rodu, zachowujemy czystość rasy.

— Tak radzi i nauka — mówił doktór, szukając frazesu, zamiast odpowiedzi.

— Wy dopiéro dziś doszliście do tego, cośmy wiedzieli i praktykowali przed wiekami, słusznie téż przodujemy — kończąc, podniósł głowę i spojrzał dumnie przed siebie.

— Przekonania pana hrabiego są oparte na faktach, ale inni powołują się na urojone dowody.

— To samo i zawsze czynią demokraci, gonią za utopiami. Właśnie czytałem w dzienniku angielskim odpowiedź, daną jednemu z tych piśmideł demagogicznych.

Cień uśmiechu przebiegł po twarzy doktora, gdy poznał przyczynę téj gorącéj dyskusyi i nie zmieniając tonu, rzekł:

— W Anglii wre gorąca walka pomiędzy patrycyuszami i plebejuszami, jak w starożytnym Rzymie.

— Dobrze, że wspomniałeś, doktorze, o Rzymie — mówił hrabia spokojnie. — Hrabina bawi tam obecnie i obiecuje wrócić w kwietniu, chciałbym zrobić niespodziankę i wyjechać na spotkanie. Czy mogę podróżować?

— Przy pewnych ostrożnościach, niezbyt daleko...

— Nie daléj, jak do Warszawy.

— O, można! Myślałem, że daléj.

W téj chwili rozległ się dzwonek, zwołujący na obiad.

— Proszę doktora na obiad, a te proszki zażywać jeszcze?

— Tak jest. Zwiększę nawet dozę w przewidywaniu podróży.

— Chodźmy!—rzekł hrabia, wstając wolno z fotela.

Wziął obok stojącą laskę i lekko kulejąc skierował się ku drzwiom.

W sali jadalnéj zastali już nauczyciela z Bolem i panią Turowską, jak zawsze, z przymuszonym uśmiechem, którego ślady zaryły się już zmarszczkami.

Nauczyciel w średnim wieku, szczupły, z włosami długiemi, szpakowatemi, z krótkim zarostem na twarzy, w okularach na zapadniętym nosie, w chwili wejścia hrabiego, zgiął się niemal w pół, tak, że włosy opadły promieniowato i zapytał nieśmiało, głosem bezdźwięcznym:

— Jakże dziś zdrowie pana hrabiego?

— Dziękuję—odparł hrabia sucho, nie patrząc w tę stronę — zapytaj pan doktora, on wié lepiéj.

— Pan hrabia raczy żartować — mówił nauczyciel, prostując się zwolna—kto może wiedziéć lepiéj od pana hrabiego.

Lekkie zniecierpliwienie odbiło się na twarzy hrabiego i zwracając się do synka, zapytał:

— Czego uczyłeś się dzisiaj?

— Łaciny—odparł rezolutnie.

— Przygotowujemy się do gimnazyum, postępy są znaczne — rzekł nauczyciel, poprawiając wypieszczoną ręką długie włosy.

Hrabia nic nie mówiąc usiadł; po zupie zjedzonéj w milczeniu, zapytał:

— Cóżeś, doktorze, taki zamyślony?

— Ostatnia rozmowa z panem hrabią nasunęła mi myśl porównania Anglii z Francyą.

— I do czego doszedłeś, doktorze?

— Francuzi idą szybko naprzód.

— Tém pewniejszy upadek—mówił hrabia poważnie.—Ta republika wobec prawych sukcesorów tronu ostać się nie może.

— A jednak arcybiskup Lavigerie... — oponował doktór nieśmiało.

— Wśród stu jeden — odpowiedział hrabia. — Nie lubię zresztą mieszać kościoła z państwem.

Nauczyciel, który oczekiwał chwili możności wtrącenia swych słów, powiedział z namaszczeniem mistrza:

— Kościół nad państwem, to zasada dziejów.

Hrabia skinął głową i mówił daléj:

— Zbyt szanuję kościół, by go zniżać do walki z radykałami. On powinien stać wielki, święty, nietykalny.

— To jedyna opoka i nadzieja wśród naszéj ziemskiéj pielgrzymki — odezwał się znów nauczyciel głosem biadającego kaznodziei, chcąc zaznaczyć nietylko swą prawomyślność, ale i zgodność z zapatrywaniami hrabiego.

Równocześnie westchnęła i pani Turowska, wymówiwszy:

— Bóg nasza opieka!

Po chwili hrabia zaczął:

— Sam naród pozna wkrótce różnicę, pomiędzy tronem a anarchią. Byłem pierwszy raz w Paryżu za czasów Napoleona III-go. Jakaż to wesołość, swoboda panowała wówczas, chociaż na tronie siedział tylko jakiś Napoleon. Byłem i za czasów republiki, nie ten sam Paryż! Smutny, posępny, w gorączce oczekiwania.

— Znam Paryż napoleoński tylko z opisów Zoli, ale...

— Doktorze, żaden opis nie zastąpi rzeczywistości—rzekł hrabia sentencyonalnie.

— A zwłaszcza Zoli—dorzucił nauczyciel z pogardą.

— Pan czytał?—zapytał doktór.

— Nie czytuję powieści, szkoda czasu — odpowiedział poważnie zapytany nauczyciel. — Ale z obowiązku przeczytałem jedną. Język ciężki, niewłaściwy, brzydki, a przytém te brudy zmysłowe.

— Czego kto szuka, to i znajduje—powiedział doktór ironicznie.

— Nie lubię tych nowych autorów — rzekł hrabia z grymasem obrzydzenia.

Nauczyciel przybierając ton moralizatorski i uczony, przyczesując palcami włosy nad uchem, rzekł:

— W literaturze należy szukać ideałów wiary i nadziei, nie zaś brudów, których i na śmietnikach pełno. — I korzystając z milczenia, mówił daléj: — Byłem z hr. Burtyńskim w Paryżu. Pewnego dnia przynosi hrabiemu jakiś komisant ze sklepu kupione sprawunki. Wchodzi i tak bez zająknienia mówi do hrabiego, jak do równego sobie: *Bon jour Monsieur!* Zgromiłem go porządnie — kończył z wyrazem oburzenia.

— A pan Burtyński? —zapytał hrabia z ironią.

— Zarzekł się Paryża—zawołał głośniéj nauczyciel, rad ze swéj wymowy.

— Rozumiem—drwił hrabia —ów komisant zbyt żywo przypominał dziadka po kądzieli. Słuszne zniechęcenie.

— Sądzę—odezwał się doktór—że tylko dorobkiewicze oburzają się na formy.

— Pewno oburzyłby się hr. Chlewański — zaśmiał się hrabia. — Nie byłeś tam, doktorze?

— Pan Chowański wyjechał przed dwoma dniami z całym dworem do Warszawy.

— Łapie zięcia — rzekł hrabia zjadliwie. — Cóż nowego w okolicy.

— Byłem w Żarnach, z syna ogromna uciecha.

I daléj potoczyła się gawęda o sąsiadach, żywo interesująca zebranych.

Po obiedzie, będąc w gabinecie, spostrzegł hrabia list Wosińskiego, leżący na biurku. Gdy zawołany buchalter się zjawił, rozkazał hrabia:

— Proszę do Wosińskiego napisać list, by po skończeniu egzaminów tu przyjechał. Pięćdziesiąt rubli dać z kasy na podróż.

— Słucham pana hrabiego — odpowiedział pokornym głosem buchalter.

Hrabia czuł się zmęczony, ziewnął raz i drugi, wreszcie zadzwonił i pozwolił się rozebrać kamerdynerowi. Po odmówieniu pacierzy,

przed srebrnym ołtarzykiem polowym, pamiątką dawnych czasów, przeciągnął się wygodnie na łóżku miękkiém i utonął w marzeniach.

Z tła smutnych obrazów występowały wyraźnie twarzyczki kobiét, zwłaszcza woltyżerka poznana w Wiedniu stała mu przed oczyma tak uporczywie, że westchnął za minioną rozkoszą. Ale wkrótce kobiéty te zasuwały się w czarne cienie, natomiast zarysowały się żywo piękne, ogniste konie. Całemi tabunami przesuwały się przed hrabią, aż wreszcie zmęczony, uśmiechając się do pysznego, złoto-gniadego anglo-araba—usnął spokojnie hr. Rugard Rugiwojski.

VI.

W drugiéj połowie kwietnia wróciła hrabina z córką do Wieszar. Jakkolwiek była zmartwiona podróżą bezskuteczną i zaniepokojona przyszłém zamążpójściem Herty, nie dawała nikomu poznać swéj troski. Zawsze równie dumna, pewna siebie i rozkazująca, pozwalała sobie okazywać swój niepokój jedynie w chwilach samotności. Wówczas spokojną jéj twarz i gładkie czoło opanowywały zmarszczki, często wzdychała i wyszukiwała przyczyn niepowodzenia.

Przedewszystkiém winien był mąż. Od czasu osiedlenia się stałego w Wieszarach zrywał kolejno wszystkie stosunki towarzyskie. Zaledwie raz, dwa razy do roku pojechał z nią do krewnych. A i w tych wizytach ani cienia chęci podtrzymania stosunków. Prawda i to, rozumowała daléj, że tu tak zwana arystokracya nie dorównywa mu rodem, przeszłością, a chełpi się bogactwem; ale, mój Boże, trzeba ludzi brać takimi, jakimi są i mając dzieci, niepodobna pędzić życia klasztornego, otaczać się jedynie zgrają podwładnych i sług.

Drugą przyczynę upatrywała w wuju Jasmundzie. Jest już taki stary, niedołężny; dlaczego milczy zawzięcie o spadku. Gdyby powiedział publicznie o sukcesyi, spoglądanoby na Hertę innem okiem, widzianoby nietylko Rugiwojską, ale i pannę milionową.

Wreszcie i sama Herta winna. Obojętna na hołdy, tęskniąca do domu, często smutna, zachwycająca się niewłaściwie płaszczyznami, morzem, zraża do siebie.

I westchnienia mnożyły się. Kilka tygodni spędzonych w Rzymie wzmocniły jéj pobożność. Więc w takich chwilach żalu i zwątpienia szukała ulgi w modlitwie. Zawiesiła nad swym klęcznikiem obraz, pobłogosławiony dla niéj przez Ojca świętego i w skupieniu odmawiała modlitwy.

O ile jednak matka niechętnie zbliżała się do Wieszar, córka

okazywała niemal dziecinne zadowolnienie. Po kilku dniach Herta w czasie drugiego śniadania rzekła z uśmiechem przymilenia do ojca:

— Dziś zapraszam do siebie ojca i Bola, uporządkowałam moje zbiory z podróży.

— Zbiory?—odezwała się matka ironicznie — zobaczysz, Rugardzie, te bogactwa...

— Ach, mamo!—zawołała Herta pośpiesznie—proszę nic nie mówić, chcę zrobić ojcu niespodziankę.

— Domyślam się—rzekł hrabia—pewno albumy, szkice...

— Zobaczy ojciec, zobaczy...—uśmiéchała się Herta.

Po śniadaniu ojciec i Bolo, poprzedzani przez Hertę, poszli do jéj gabinetu. Jasne, południowe słońce rozświéciło mroczne schody, wiodące na piętro i z bocznych framug wyraźniéj występowały rzeźbione popiersia dawnych Rugiwojskich. Z ciemnych obić zagłębień, rzeźby białe robiły wrażenie jakichś duchów, pilnujących wejścia do pokojów hrabiny i jéj dzieci. Dopiéro górny korytarz, oświecony szeregiem okien, zaciérał przykre wrażenie półcienia schodów. Jednostajny wygląd szerokiego kurytarza, ciągnącego się niemal przez całą długość pałacu, urozmaicały grupy palm i innych liściastych roślin, a liczne obrazy, ilustrujące pamiętne zdarzenia rodzinne, jak również portrety skoligaconych osób, unaoczniały sławę i wielkość Rugiwojskich. Na obrazach wojska, dowodzone przez Rugiwojskich, staczały boje z różnemi narodami w różnych epokach historycznych.

Nawet kobiéty rodu brały czynny udział w walkach. Na szerokim, szarym murze twierdzy, tuż przy trupie dowódcy, stoi jedna z Rugiwojskich i obejmuje dowództwo nad żołnierzami, których pancerze i misiurki są krwią obryzgane. W innym obrazie kobiéta wobec Turków, wdzierających się do zamku, podpala prochy. W trzecim — kobiéta na koniu przemawia do zbrojnéj drużyny, wskazując na Tatarów i pożary.

Tylko wojny, rzezie, pogonie malowane jaskrawo, z naiwnym realizmem krwi czerwonéj, głów odciętych, ciał pokaléczonych stanowiły motyw sławy rodu. Na tych obrazach kształtowały się zamiłowania, fantazye, ideały młodych pokoleń Rugiwojskich; i w téj chwili ojciec pytał Bola o treść obrazów i był zadowolniony z wiadomości syna.

Po krwawych scenach bitew, po obrazach posępnych, gabinet Herty, jasny, pełen zapachu świéżych kwiatów, z ładnemi meblami w stylu *roccoco*, miękkiemi w dotknięciu, z biurkiem zajmującém róg pokoju, robił wrażenie promieni słonecznych po dniu chmurnym i słotnym.

— Jakie piękne muszle!—zawołał Bolo z podziwem.

Herta uśmiechnięta, wskazując ojcu biurko, rzekła:

— To moje bogactwo!

Stały na biurku szeregi dziwacznych muszli morskich. Jedne gładkie i świécące, z naróściami lub ostrzami na wszystkie strony; drugie matowe, inne nakrapiane, z odblyskami pereł, szafirów, topazów i rubinów. Martwe odblyski bogactw morza. W głębi, po za rzędami muszli stały lichtarze, lampa, kałamarz, przycisk i inne drobiazgi, wyrobione przez nadbrzeżnych mieszkańców z wyłowionych muszli.

— Ładne zabawki—odezwał się ojciec po chwili.

Te słowa niezadowolniły Herty i chcąc uzyskać gorętsze pochwały, przeszła szybko do swego buduaru i wyniosła dwa obrazki olejne, przedstawiające morze spokojne przy wschodzie słońca i wzburzone przy zachodzie. Ustawiwszy je do światła, zapytała z żywością:

— Czy i to tylko ładne?

Obrazki były naprawdę marne, robione tuzinami na wielki odbyt; ale w szerokich, złoconych ramach, w efektowném oświetleniu mogły się podobać. Hrabia uśmiechnął się i rzekł poważnie:

— Bardzo ładne, podobają mi się.

Słowa te ucieszyły Hertę i mówiła:

— To jedna dopiéro niespodzianka, ale mam i drugą, jeśli ojcie chce posłuchać, to siądźmy.

Usiedli na kozetce, pozwalając Bolowi bawić się muszlami.

— Wié ojciec, że dotychczas nie mamy obrazu pierwszéj Herty. Będąc teraz nad morzem, szkicowałam widoki i znalazłam tło odpowiednie. Jest i zamek, i chata rybacka, i wokoło morze. W trzech obrazach będzie cała historya Herty, gdy płynęła w kolébce, gdy uzdrowiła króla, i gdy wraca do morza. Ja zrobię szkice, a ojciec każe namalować. Dobrze?

Hrabia słuchał uśmiéchnięty, zadowolniony i odpowiedział:

— Zobaczymy, ale powiédz mi, dlaczego zajmujesz się tak tą dawną tradycyą, są inne, świéższe.

— Dlaczego?... Podoba mi się bardzo Herta i... morze.

Hrabia spojrzał na zégarek, wstał i rzekł:

— Jeśli cię to bawi, więc się baw — i zwracając się do syna — chodź Bolu, czas na lekcyę jazdy konnéj.

Po wyjściu ojca Herta usiadła, patrząc kolejno to na błyskotliwą grę muszli oświeconych promieniami słońca, to na obrazki olejne i myślała o morzu.

Próżnia jéj życia, brak zajęcia, skłonność do marzeń, wszystko to zbiegło się razem, by Herta uczyniła sobie z morza pewien kult uczucia. Była przekonaną, że to upodobanie było wynikiem dziedziczności i jak się chełpiła rysami rodowemi, tak samo czuła się dumną ze swego zamiłowania do morza.

W pewnéj epoce życia młodzieńczego, tak dziewcząt, jak i chłopców, w chwili dojrzałości uczuć, następuje niemal konieczna dążność wytworzenia i ukochania ideału, zawsze miłością bezinteresowną, by chociaż bezwiednie dać ujście energii życia.

Tym ideałem, ukochanym, wypieszczonym w marzeniach było dla niéj morze, połączone baśnią z jéj rodem. Wychowana i pielęgnowana w domu jak kwiat oranżeryjny, zasklepiona w wielkości rodu, wciśnięta w zaczarowane koło tytułów i majątków, znalazła Herta w swém zamiłowaniu jedyne okienko, pozwalające jéj spojrzéć szerzéj, odetchnąć świeżym powiewem przyrody surowéj, wolnéj, tajemniczéj. Miała wreszcie gotową kanwę, na któréj swobodnie mogła wysnuwać swe marzenia, tęsknoty, pożądania zakryte przed nią i przed ludźmi falami morza, których muzyka i dotknięcie upajały ją tak niewinnie, tak słodko, tak rozkosznie.

W kilka dni późniéj, Herta, ubrana jak zwykle w białą suknię, rysowała przy swém biurku tak zawzięcie, że na twarz jéj matową wystąpiły lekkie rumieńce; oczy zazwyczaj tak łagodne i marzące błyszczały gorączkowo; zacisnąwszy usta, przesuwała ołówkiem, gdy do jéj pokoju, sąsiadującego z pokojami matki weszła hrabina.

— Co rysujesz, Herto?

— Widok morski, mamo — odpowiedziała i mimowolnie zakryła ręką kołyskę, która się unosiła na falach.

Matka zbliżyła się i spojrzała na rysunek. Twarz spochmurniała, usta złożyły się do uśmiechu ironicznego i nie odrywając oczu z papiéru zarysowanego, mówiła zwolna:

— Będąc w twoim wieku, marzyłam również, ale o biédnych, nieszczęśliwych, by nieść im pomoc i pociechę, jak to czyniły wszystkie z naszego rodu. A córka moja rysuje kołyskę! — zaśmiała się sucho.

— Ależ to z baśni, mamo — odezwala się Herta cichym głosem, patrząc na matkę.

— Baśń!—powtórzyła z ironią hrabina. — Czy sądzisz, że każdy jest obowiązany wiedziéć twoje myśli. A jeśli ten rysunek wpadnie w ręce niewłaściwe?

— Ach, mamo!—zawołała Herta, bladnąc.

— Ten twój sport morza, jest zupełnie, ale to zupełnie niewłaści-

wy. Zwracałam ci już uwagę w czasie ostatniéj naszéj podróży na te zachwyty z powodu płaszczyzn morza.

— Ależ one mi się podobają, to jest prawdą — odpowiedziała śmieléj.

— Wiem o tém, lecz i to wiem, że piękne widoki są tylko tłem, na którém występuje człowiek. Dobrze, że w Miramare byli przeważnie Włosi, którzy ci wtórowali w twoich uniesieniach nad morzem, ale jeśli Opatrzność każe ci zamieszkać w Alpach, Pireneach, Wogezach? Góry nie podobają się tobie?

— Nie lubię gór...

— Oszczędź mi tych słów, godnych pensyonarki. Wszystko lubię, bo wszystko Bóg stworzył. Czas już, byś wyrosła z tych śmiesznych przesądów. Rysunek ten podrzyj; chcesz rysować? i owszem: zwaliska, kościoły, malownicze grupy parku, to są przedmioty stosowne.

— Zajmij się kwiatami, oranżeryą, mogłabyś mi wreszcie pomódz do skończenia stuły, bo moje *votum* i ciebie obchodzi.

— Dobrze, mamo.

— Nie jesteś pierwszą lepszą hrabianką, byś pozwalała sobie na egzaltacyę. Jesteś Rugiwojską, a to obowiązuje. Zrozumiałaś?

— Tak jest—odpowiedziała.

— Sądzę, że napomnienia te będą ostatnie.

— Postaram się, mamo—odpowiedziała pokornie.

Hrabina wyszła, rzuciwszy jeszcze raz surowe spojrzenie na córkę. Po wyjściu matki Herta wydarła z albumu świéżo narysowaną kartę, przedarła ją i położyła na biurku. Po chwili wzrok jéj padł na obrazek wschodu słońca. Podparła ładną, białą ręką głowę; myśl jéj pobiegła ku Adryatykowi. Równolegle z przyjemném przypomnieniem odezwała się surowa krytyka matki. Czy słowa matki były sprawiedliwe, słuszne? — zapytywała siebie i odpowiedź była przecząca. Bo i czém zapełnić dzień cały? Książki? Czyż wolno jéj czytać, co zechce? Każda książka musi wpierw przejść przez ręce matki, a i te, co otrzymuje, czyta z zastrzeżeniem pewnych stronic. Obrzydły jéj książki, nie lubi czytać. Konie? Tylko że konno wolno jéj jeździć jedynie z ojcem, a w powozie z matką. Łzy cisnęły się jéj do oczu z żalu nad swą niewolą. I miała tę jedyną przyjemność, to morze i tego nie wolno. To przypomnienie morza, widok podartego rysunku, tak dalece ją rozżaliły, że kilka łez spłynęło jéj z oczu.

Lecz w téjże chwili obudziła się w niéj duma i wstręt do płaczu, wpajany od dzieciństwa, jako oznaka słabości i wezwanie do ulitowania się. Ona, Rugiwojska, miałaby płakać! Czy nie dosyć łaski Boga, że jest Rugiwojską!

Szybko osuszyła oczy, złożyła album, wstała, wzięła przygotowaną pasterkę i wyszła.

To panowanie nad sobą kosztowało ją jednak zbyt wiele i nie czuła się dosyć silną, by czas dłuższy okazywać spokój; szukała téż w parku miejsc oddalonych od oczu ludzkich.

Park w Wieszarach zniżał się tarasami lesistemi, pięknemi ku rzece. Wczesna wiosna rozwinęła pąkowie drzew w młode liście, przeświécające żółtawo w promieniach słońca. Wśród drzew nie było jeszcze głębokich cieniów, lecz siatka delikatna, złożona z promieni jasnych, przedziérających się przez gałęzie i liście, i plam ciemniejszych, ruchomych pod ciepłym powiewem wiatru. Powietrze, przesycone wonią wiosny, rozkwitłych konwalii i fiołków, zapachem żywicznym drzew iglastych, promienne blaskami słońca, oddziałało kojąco na nerwy Herty.

Smukła, zgrabna, w sukni białéj, trzymając pasterkę w ręku szła w głąb parku, zbiérając spotykane przy drodze fiołki. Przykrość doznana i żal odczuty przemieniały się w smutek łagodny.

Zmęczona długą przechadzką usiadła w altanie chińskiéj. Kapelusz położyła na stole i oparłszy się o poręcz wygodnéj kanapki, patrzyła.

Z prawéj strony widniała rzeka, u któréj zakrętu wznosiły się domki miasteczka. Ich dachy blaszane, jaskrawo-zielone lub czerwone, z kominami odrapanemi, ze ścianami żółto malowanemi, stanowiły ostry, niemiły ton w krajobrazie.

Odwróciła wzrok i spojrzała na olbrzymie łany pszenicy i żyta, szmaragdowe w téj chwili w promieniach słońca. Wzrok nie dosięgał ich granic, tonących w dali niebieszczejącéj.

Ten ton niebieskawy, odcinający się lekką linią od krańców powietrznego półkola, czynił złudzenie morza, które gdzieś tam uderzało rytmicznie o brzegi. Oczy Herty zmęczone zielenią, opromienioną słońcem, padły na tę dal siniejącą. Zbyt świéżo miała w pamięci obraz morza, by analogia nie wydała się jéj bliską. I oddała się marzeniom o błękitnych falach Adryatyku. Równocześnie przesuwały się obrazy z niedawnéj podróży, a wraz z niemi i spotykane osoby. I ten książę włoski ze skrzeczącym, bezdźwięcznym głosem; i hrabia niemiecki oszczędzający liry na przewoźnikach i ten Anglik wiecznie pledem okryty, przesunęli się jak w kalejdoskopie z wrażeniem niesmaku. Ci ludzie psuli jéj tylko widoki morza swemi frazesami i pochlebstwami. To wspomnienie obudziło cały szereg wrażeń pokrewnych. Tak, to ona, Herta Rugiwojska, była obwożona, pokazywana, zachwalana... Dreszcz wstrętu, jak gdyby dotknęła się istotnie czegoś obrzydliwego,

wstrząsnął nią i doznała takiéj fizycznéj przykrości, że chcąc jéj uniknąć wstała, by ruchem zagłuszyć wspomnienia niemiłe.

Idąc aleją grabową, spostrzegła Bola z nauczycielem. Ten siedział rozparty wygodnie na ławce, gdy chłopiec podpatrywał ptaki fruwające lub odpoczywające na drzewach. Spostrzegłszy Hertę, zerwał się, złożył głęboki ukłon i czekał przemówienia.

— Bolu! Proszę cię, nazbiéraj mi fijołków — rzekła Herta.

— Panna hrabianka jest amatorką kwiatów? — wypowiedział nauczyciel, kręcąc w ręku kapelusz. — Oto bukiecik, który uzbiérałem z Bolem rano, pozwoli pani sobie ofiarować? — to mówiąc, podał wydelikaconą, potniejącą ręką fijołki.

Herta czuła antypatyę do niego, a w téj chwili pomyślała z gniewem: ten człowiek obrzydzi mi nawet fijołki, ale mimo to przyjęła bukiecik.

— Dziękuję. Bolu! nie zrywaj, dość mam fijołków — i szła daléj ku pałacowi.

Nauczyciel patrzył na nią, dopóki widniała jéj biała sukienka wśród drzew. Pokazał w uśmiechu czarne, spróchniałe zęby, mlasnął językiem i zamruczał:

— Ładna!... hm... hm... Kto téż ją dostanie?

Wkrótce, rozległ się głos dzwonu, zwołujący na obiad.

VII.

Wraz z hrabią wszedł do salonu jadalnego p. Stanisław Wosiński, człowiek młody, przystojny, wysmukły. Ze śmiałością właściwą młodym ludziom, obawiającym się uchybić przeczuwanym formom towarzyskim: śmiałością, pokrywającą wielką niepewność, skłonił się zebranym, uścisnął kordyalnie rękę nauczyciela i Bola, i patrzył niespokojnie czarnemi, wyrazistemi oczyma.

Hrabia ruchem ręki wskazał mu krzesło i rozpoczął rozmowę z żoną. Po chwili zwrócił się do młodzieńca:

— Stanisławie, w Krakowie ciepło?

— Zupełna wiosna — odpowiedział dźwięcznym głosem.

— Jechałeś na Warszawę?

— Nie. Na Podwołoczyska.

Na tém skończyła się rozmowa. Młodzieniec miał dosyć czasu, by przypatrzyć się szczegółowo sali jadalnéj, oświeconéj dwoma oknami i parapetowemi drzwiami, wychodzącemi na werendę.

Wprost niego wisiał wielki zégar w szafce czworokątnéj, ozdobionéj płaskorzeźbami. Królował u szczytu Saturn, obok Gei i Jowisza. Niżéj zabawiały się Dyana, Afrodyta z nieodstępném bóstwem miłości, a z boku tuliła się Minerwa. Od gzymsu aż do wysokości zégara wisiały przy ścianie w kilku rzędach talérze porcelanowe sewrskie i staro-saskie. Pod ścianami stały cztery szafki, odkryte, ładnie rzeźbione z kolekcyą kielichów i roztruchanów kryształowych z grawirowanemi napisami. Przeważnie były to puhary weselne Rugiwojskich, jakkolwiek nie brakło między niemi kielichów pamiątkowych, z których piły osoby koronowane. Z sufitu, na którym wymalowany był Chrystus błogosławiący, zwieszał się piękny, bronzowy świecznik. Łańcuch przytrzymujący go, był ozdobiony jajami strusiemi, zwieszającemi się na jedwabnych sznurach w kształcie odwróconéj piramidy, szczytem ku dołowi, tak, że ozdoba ta tworzyła niejako harmonijne uzupełnienie wielkiego na dwanaście świéc kandelabra. Wprost drzwi parapetowych wisiał obraz, przedstawiający ucztę Bachusa w towarzystwie nimf i satyrów. Obraz stary, spękany, zatarty, nie odnawiany rozmyślnie przez hrabiego celem ukrycia śliskiéj treści, ale téż i nieusunięty przez poszanowanie tradycyi.

Kamerdyner Ernest, wielki, barczysty z długiemi bokobrodami stał poważnie za krzesłem hrabiego i tylko mruganiem oczu, lekkiém skinieniem głowy dawał rozporządzenia lokajom usługującym.

Zręczna, cicha usługa, wielki salon, którego każdy sprzęt mówił o przeszłości i zbytku, zadziwił p. Wosińskiego, jak sposób jedzenia potraw.

Tak był zapatrzony i zaciekawiony nowém otoczeniem, że dopiéro na powtórne zapytanie nauczyciela, zwrócone do niego, zdołał odpowiedzieć.

Po obiedzie hrabia z żoną i córką przeszedł do gabinetu na kawę i po chwili zapytał żony.

— Jak go z n a j d u j e s z?

— Młody, nieobyty. Wątpię, czy będzie co z niego — odpowiedziała obojętnie.

— Właśnie dobrze, że młody—mówił hrabia z żywością.—Tylko młodym, niedoświadczonym można zaufać. Co zobaczy, to powié. Zręcznie pytany, wyśpiéwa wszystko.

— Może—odpowiedziała niedbale. — Zresztą zobaczysz, sprobujesz. On ma jedną dobrą stronę.

— Jaką?

Hrabina, uśmiéchając się dobrotliwie, rzekła:

— Że cię interesuje i bawi.

— Interesuje mnie rzeczywiście, jako nasz wychowaniec, i chciałbym, by u nas przebył praktykę gospodarczą i wykierował się na dobrego oficyalistę.

— Trochę ostrożności nie zawadzi—dorzuciła hrabina.

— O! naturalnie, będę go kontrolował wszędzie.

— Jeśli ojciec konno pojedzie, to weźmie i mnie — odezwała się Herta.

Hrabia chciał już surowo odmówić, ale gdy spojrzał na córkę, wydała mu się tak wykwintną damą, że z galanteryą odpowiedział:

— Bardzo chętnie, byle pogoda sprzyjała.

Matkę podrażnił ton i ustępstwo, uśmiéchnęła się z politowaniem i rzekła:

— Całe życie nie jest zabawą. Wczoraj łódką, dziś powozem, jutro konno. Psujesz ją.

— Chyba nie ja bywam z nią na balach, koncertach, rautach — odparł wesoło—one psują, nie koń.

— Więc jutro pojedziemy, dobrze?—nalegała Herta.

— Jutro? — mówił z namysłem — Jutro?... A dobrze, każę mu skontrolować folwark Krasne.

Dalsza rozmowa dotyczyła wyboru konia i godziny wyjazdu.

Po dwóch tygodniach próbnych, pan Wosiński, został przeniesiony na stały etat. Na folwarkach zaczęto się obawiać „panicza", wglądającego sumiennie w gospodarkę tokową i polową. Hrabia był kontent ze swego wyboru, głośno go chwalił i wyraźnie zaznaczał różnicę pomiędzy nim a innymi oficyalistami. Hrabina z małemi zastrzeżeniami zgadzała się z mężem, ujął ją bowiem p. Wosiński sumienną pracą i unikaniem ich towarzystwa, spotykając się jedynie przy stole. Herta zrazu nie zwróciła nań uwagi, późniéj bawiło ją widoczne jego zażenowanie, ilekroć zwróciła się do niego lub spotkała w kurytarzu albo parku. Ta jego lękliwość wywoływała tém większą pewność siebie u Herty, uważającéj się i tak już za starszą wobec młodzika dwudziestocztero-letniego.

Doktór, widząc rosnące względy hrabiostwa dla p. Wosińskiego, słysząc częsty tytuł „wychowanka", powodowany polityką zgody, postanowił zaprzyjaźnić się z młodzieńcem, który osamotniony, pożądał również towarzystwa.

— Widziałeś pan kościół pałacowy? — zapytał doktór p. Wosińskiego, wyszedłszy z nim po śniadaniu do parku.

— Dotychczas nie.

— A więc chodźmy.

Z głównéj cienistéj alei skręcili na lewo w szeroką ulicę ze strzyżonym żywopłotem grabowym. W głębi na odsłoniętym placyku widniał kościołek, kryty czerwoną dachówką.

— Hrabia — mówił doktór — jest rozmiłowany w budownictwie i zna się na tém. Dawniéj była tu mala kaplica, dziś stoi kościołek stylowy.

Gdy stanęli przed kościołem, doktór szerokim ruchem ręki wskazał budynek i rzekł:

— Prawda, jaki ładny.

Kościolek biały, z czerwonym dachem, odskakiwał od tła zielonych, starych drzew, których wierzchołki skąpane w słońcu przewyższały go znacznie. Dlugi, prostokątny, z niewielką wieżyczką, był podobny do gąsienicy jaskrawéj wśród wspaniałéj, liściastéj zieleni. Główne drzwi wchodowe, ujęte w pilastry żłobkowane z kapitelami, przeciążonemi ornamentyką barokową i suto zdobionym gzymsem, czyniły kościołek ciężkim, niezgrabnym, płaskim. W szczytowéj ścianie jaśniał herb Rugiwojskich: złota lwica na łódce i napis: „O Panie! Przed twym kościołem przyjdę uderzyć pokornie czołem."

Doktór i pan Wosiński nie spostrzegali, sądząc po słowach zachwytu, żadnéj wady, kościołek podobał im się bardzo. Zdawałoby się, że duch hrabiego, promieniejący z tarczy herbowéj, otoczył to swoje dzieło czcią i opieką, i nie dozwalał na żadną krytykę ludzi związanych z pałacem.

Doktór oprowadzał towarzysza dokoła kościołka po placyku, zdobnym w kosze kwiatów i wskazując ulicę krętą, wysadzoną bukszpanami, mówił:

— Ta ulica prowadzi do altany chińskiéj, bardzo ładnéj. Jest ona miejscem ulubioném hrabiny. Możemy przejść tędy.. — A po chwili dodał: — Kościół kosztował dużo, ale stajnie i przebudowa skrzydła pałacowego dwa razy tyle. Na te budynki wydał hrabia około 20,000 rubli.

— Dwadzieścia tysięcy! — zdziwił się p. Wosińskt. — Ależ to ogromna suma!

Doktór przystanął na chwilę, zapalając papiérosa i zaśmiał się:

— Dla nas! Zapewne. Ale dla hrabiego drobnostka.

— Ileż dobrego możnaby za te piéniądze zrobić!—mówił zwolna młodzieniec.

— Dobrego? Dla siebie czy dla drugich? — zapytał, patrząc w oczy.

— Dla siebie? — tonem lekkiego oburzenia odpowiedział p. Wo-

siński. — Nie jestem przyzwyczajony do wygód i nie potrzebuję ich. Miałem na myśli lud.

— I coby pan zrobił?—pytał doktór, złośliwie się uśmiéchając.— Jałmużny? zapomogi? szkoły?

— Nie! Stworzyłbym fermę wzorową, chłopską... i miałbym również środki, by pomódz i zachęcić sąsiadów.

— Ideały! — zaśmiał się doktór lekceważąco. — Ma pan tu sposobność zrobienia fermy wzorowéj dla obywateli, sprobój pan.

— Przedewszystkiém nie wolno mi i nie mogę bawić się w eksperymenta, gdyż jestem tylko dozorcą ekonomów — kończył z lekką goryczą.

— Może być, że dozorowanie nie jest bardzo miłe, ale opłaca się łaską hrabiego—odezwał się doktór uspokajająco.

— Istotnie hrabia jest dla mnie dobry, ale...

— Chcesz pan powiedziéć, że służba to rzecz ciężka. Jest nią w istocie, jeśli się robi bez przekonania, że się jest pożytecznym.

— Ja tego nie czuję dotychczas— odpowiedział chmurno.

Doktór spojrzał bacznie, leciutko się uśmiechnął i mówił tonem zwierzenia:

— To źle. Tu, widzi pan, zbiegają się nici tysiąca interesów, setek ludzi, trzeba się zoryentować i pomagać potrzebującym. Jedno objaśnienie, rada, dobre słowo dużo robią, bo hrabia nie może znać wszystkich ludzi.

— Ale ci, którcmi się otoczył, nie należą do wyborowych — odrzekł ironicznie.

— Nie są ideałami, ale to porządni ludzie—bronił doktór.

— Porządni?!—zawołał zdziwiony i stanął na środku ulicy.—Już nie mówię o służbie pałacowéj, niewolniczéj wobec hrabiego i tych, których on darzy łaskami, a brutalnéj i bezczelnéj dla reszty; ale ci inni. Pani Turowska wyczekująca skinienia; nauczyciel przymilający i łaszący się jak pies przy zastawionym stole; i cała ta rzesza podwładnych, którzy są wniebowzięci, gdy uśmiechnie się hrabia. To nie ludzie, ale... niewolnicy.

— Jaki pan młody! — zaśmiał się doktór i szedł spokojnie daléj.—Jaki młody! Pałac hrabiowski działa na ludzi zawsze upajająco i tylko silni, rozumni, nie ulegają bałwochwalstwu. Jestem tu dłużéj, wiem więcéj, a jednak nie gorszę się tymi ludźmi; chociaż wyznaję, że gdyby mię raz tak potraktowano, wiedziałbym co zrobić...

— Porzuciłby pan pałac—przerwał ostro p. Wosiński.

— Porzuciłbym, chociaż z żalem. Bo widzi pan, gdy hrabia odziedziczy miliony wuja, wiem, że część spadku przeznaczy na cele

ogólne. I wówczas trzeba zagrać, by dał na kasę naukową, na stypendya, wydawnictwa, szkoły. Gdy ktoś dostaje dziesiątek lub więcéj milionów bez pracy i zachodu, łatwiéj go namówić na ofiarę znaczniejszą.

— Czy hrabia mówił co o tém?—zapytał p. Wosiński, zatrzymując doktora.

— Wyraźnie nie mówił, ale pomyśl pan, niech tylko piętnaście milionów odziedziczy, czy jest taki człowiek na świecie, nie mówię o skąpcach, by nie dał cokolwiek na cele zacne i uczciwe.

— Tak, ma pan słuszność... Hrabia jest dobry i nie taki dumny, jak hrabina i córka.

Doktór popatrzył uważnie na mówiącego i stanąwszy tuż przed koszem rozkwitłych heliotropów, zaczął tonem serdecznym:

— Stosunkowo są one dla pana jeszcze bardzo uprzejme. Pan nie zna tego świata. Pani Rugiwojska i jéj córka widzą tylko swoje towarzystwo i po za niém nie chcą i nie wolno im znać, widziéć, słyszéć kogokolwiek.

— To już chyba przesada—zaprzeczył zagadnięty—nie są przecież królewnemi zaklętemi, ani ich trzymają pod kluczem. Żyją, podróżują, czytają i wiedzą, że na hrabiach nie kończy się świat.

— Tak pan sądzi?—drwił lekko doktór, zapalając papiérosa. — Ja biorę rzecz praktycznie. Zgodzi się pan, że ten park otaczający pałac jest zarazem granicą piękna w swym rodzaju, po za nim praca, kłopoty, proza życia. Takim parkiem, złożonym z ludzi majętnych i utytułowanych, są zawsze otoczone i hrabina i hrabianka. A pan chce, by one opuszczały go dobrowolnie?

— Ależ to zasklepienie, zamurowanie się żywcem—mówił p. Wosiński, zrywając machinalnie liście z pobliskiego kasztana i mnąc je w ręku.

— Wszak znasz pan nasze miasteczko? — zapytał doktór i nie czekając odpowiedzi, mówił daléj: — Prawda, jakie brudne, nędzne, cuchnące, a spojrzyj pan, jak *tu* ładnie! I pan chcesz, by ktoś rzucał park dla miasteczka? Ten piękny park, pełen drzew i kwiatów!

I zrobił ręką ruch, wskazując otaczający ich krajobraz.

Na chwilę umilkli, rozglądając się wokoło. Wiosna była w pełnym rozwoju. Po obu stronach wysypanéj piaskiem ulicy, za żywopłotem niskim, bukszpanowym, rozciągały się trawniki, równe, świéże, porosłe wiotką, delikatną trawą, wśród któréj osiadły gniazdami ciemniejsze liście fijołków i ich wonne kwiaty, jak wyspy w morzu zieleni. Niskie stokrotki z rozchylonemi białemi płatkami patrzały ciekawie

w jasny błękit nieba, a z małych, mokrych zagłębień, pod osłoną gęstszego cienia wysyłały wytworną woń drobne dzwoneczki konwalii. Kwiaty żółte mniszka, samotne na swéj łodydze wydrążonéj chyliły się zadumane i wraz z jastrunami, jaskrami i sasankami dzierzgały złotem świéżą zieleń trawników. Czeremcha, rozkwitła gdzieś w oddali, przysyłała swój zapach przenikliwy, który się mieszał z ostrą wonią rozwijających się liści, z balsamicznym oddechem jodeł, świérków, sosen i modrzewi. Ptastwo rozśpiéwane nawoływało się po gałęziach liśćmi okrytych, a roje owadów i motyli zjawiały się w promieniach słonecznych, by niknąć w słodkich kielichach kwiatów.

Pan Wosiński, patrząc, myślał o odpowiedzi, nie chciał tak łatwo pogodzić się z tém wyodrębnieniem zupełném rodziny Rugiwojskich, wreszcie przerwał milczenie:

— To tylko porównanie, ale nie dowód. Ludzie są sobie równi.

— Ha, ha, ha!—śmiał się doktór—to dobre tylko w teoryi. Równi?... Więc dobrze, osadź pan tę samą, piękną Hertę w domostwie małém, brudném; zmień suknię jéj białą na perkal pstry i brudny; czy podobałaby się panu?

— Byłaby zawsze piękną—odpowiedział szczerze.

— No, nie dla mnie!—mówił doktór spokojniéj. — Ja wolę ją na tle tego parku. Gdy widzę ją wśród kwiatów, drzew, krzewów, zachwycam się, jak pięknym obrazem.

I zwolna, w milczeniu szli ku altanie chińskiéj. Słowa doktora poruszyły głęboko p. Wosińskiego. Bawiąc się zerwanym heliotropem rozmyślał o swym stosunku do pałacu. Wzmianka doktora o miasteczku nasunęła mu wspomnienia lat szkolnych. Było to życie bardzo skromne, urozmaicone niedostatkiem dłuższym lub krótszym. I nagle, z chwilą przybycia do Wieszar zmieniło się niemal w zbytkowne. Pałac, usługa, konie wyjazdowe, poczucie pewnéj siły i znaczenia, niskie ukłony podwładnych, nietylko umożliwiały, ale i podniecały go w kierunku marzycielsko-uczuciowym.

Pierwszy raz w życiu spotykał codziennie kobiétę młodą, piękną i wykwintną. Początkowo zachwycał się bezinteresownie wdziękiem, postacią, melodyjnym głosem Herty; w krótkim czasie podziw ten wytworzył miłość młodzieńczą. Tego rodzaju miłość ubiéra ukochaną osobę tak, jak malarz manekina, stosownie do nastroju ducha, uczucia i potrzeby. Zazwyczaj bywają to szaty wspaniałe; od słońca pożycza się blasków, od kwiatów woni, od lilii czystości, od świętych cnót, a wszystko bywa opromienione i przepojone miłością. Pan Wosiński był nadto młody i entuzyastyczny, by wśród tego życia pałacowego,

przy nieuniknioném spotykaniu się z Hertą, nie wytworzył z niéj sobie ideału miłości, który wprawdzie miał mało wspólnego z rzeczywistością, ale tém piękniéj i wspanialéj żył w jego wyobraźni. Zwolna pozwolił sobie w swych marzeniach nietylko na dotknięcie jéj ręki, ale na wyznanie swéj miłości w słowach gorących.

Herta, jakkolwiek spostrzegła to uwielbienie, nawet nie przeczuwała jego miłości. On był dla niéj czémś tak małém, nikłém, drobném, że zaledwie przez wzgląd na ojca mogła go spostrzedz. Pan Wosiński, jeśli jasno nie zdawał sobie sprawy z tego stosunku, odczuwał go jednak w przykry sposób i to mu podyktowało słowa o jéj dumie.

Doktór, nucąc z cicha jakąś piosenkę, patrzył na swego towarzysza z uśmiéchem wyższości gracza, posiadającego w ręku wszystkie atuty; a gdy na skręcie ukazała się altana, zatrzymał się, mówiąc:

— Patrz pan!

Na tle rozłożystych buków rysowały się wyraźnie niezwykłe kształty budynku. Dach płaski, odwinięty, ozdobiony w narożnikach fantazyjnemi postaciami smoków i płazów, błyszczącemi w słońcu lakierowaniem jaskrawém, osłaniał ośmiokątną altanę z ruchomemi ścianami. Słupy i stałe ramy skrzyły się dziwacznemi obrazkami chińskiemi: mandaryni, wojownicy, kobiéty, dzieci, widoki miast, ulic, rzek spławnych, drzew i kwiatów nieznanych mieszały się z karykaturami humorystyki chińskiéj, robiącemi wrażenie widziadeł gorączkowych. Wewnątrz, wzdłuż ścian altany były ustawione niskie, szerokie kanapki wyściełane, z oparciami poduszkowemi, kryte materyą półjedwabną, zdobną w rysunek poplątany arabesek chińskich.

Liczne wokoło altany, kosze kwiatów: pierwiosnków chińskich, heliotropów, gladiolusów, białych narcyzów przesycały swą wonią zmieszaną powietrze, a wysokie i gęste drzewa osłaniały i wyodrębniały z całości parku tę wygnankę z dalekiego wschodu Azyi.

— Siądźmy tu na chwilę—rzekł doktór.—Dobrze jest pomarzyć czasem.

Pan Wosiński spojrzał trochę zdziwiony i zapytał:

— Więc i pan marzy?

— Lubię fantazyę, jak czarną kawę po obiedzie. Zwłaszcza podoba mi się ta chińszczyzna. Gdybym był bogaty...

— Miałby pan taką altanę — przerwał z uśmiechem pan Wosiński.

— I kochankę młodą, piękną, ponętną—mówił doktór daléj, wyciągając się na kanapie.

— Wierzę, że będzie pan bogatym, więc jako człowiek praktyczny, chyba pan już ją upatrzył.

— Może.

Umilkli. Cisza parku przerywana jedynie śpiewem ptaków, brzęczeniem owadów; upajający zapach, zaciszna altana, usposabiały do marzeń i wynurzeń.

Doktór myślał w téj chwili o pięknéj Jani. Przypominał sobie jéj spojrzenia, zgrabne ruchy, wygięcia kibici. Gdyby tylko zapragnął, zostałaby jego żoną...

Pan Wosiński, zapatrzony w kwiaty ułożone umiejętnie przez ogrodnika, odtwarzał w swéj wyobraźni twarz, ruchy, postawę, głos Herty. Marzył o jakimś czynie bohatérskim, o sławie, o spadku olbrzymim, któryby umożliwił zbliżenie się do hrabianki.

— Widziałeś pan pannę Janinę?—mówił doktór zcicha.

— Raz tylko, przypadkiem.

— Podobała się panu?—pytał ciekawie.

— Ładna—odpowiedział obojętnie.

— To mało. Ona jest bardzo ładna — ożywiał się doktór. — Posiada cały urok młodości i ma temperament. Czasem miewa omdlałość marzycielską, ale częściéj takie błyski w oczach, takie ruchy ożywione, nerwowe, że czuć w niéj wulkan, nie krew w niéj płynie, lecz lawa gorąca. To nie te sztywne, zimne panny — kończył z uśmiechem ironicznym.

— Ja wolę usposobienia ciche, spokojne, głębokie. Rwące strumienie giną i rozpływają się bez śladu, a wody głębokie płyną cicho, poważnie, bezpiecznie...—mówił rozmarzony.

Doktór, oparłszy głowę na ręku, przerwał te słowa, udając ten sam ton marzycielski.

— I tylko przelotnie odbijają cień przechodnia, zawsze błękitny lub zielonawy, zawsze zimny.—Porzucając zaś udanie, mówił żywo: — Na głębokie wody nawet łódką wypłynąć niebezpiecznie, a potok... zaledwie nogi mi zamoczy.

— Wolę utonąć, aniżeli nabawić się kataru — odpowiedział z uśmiechem pan Wosiński.

— Tylko nie zapominaj pan, że katar łatwo przechodzi, a żyć warto... I pomyśléć, że tylko trochę pieniędzy, a możnaby się urządzić tak dobrze, tak wygodnie...

— Czyż teraz źle panu? Altana, cisza, zapach kwiatów...

W téj chwili wszedł pośpiesznie lokaj do altany i przemówił:

— Pan hrabia czeka na panów w ujeżdżalni.

Przebudzenie z marzeń było dość niespodziane. Doktór wstał, przeciągnął się i krzywiąc się rzekł:

— A co, panie Wosiński, czy mi i teraz dobrze?

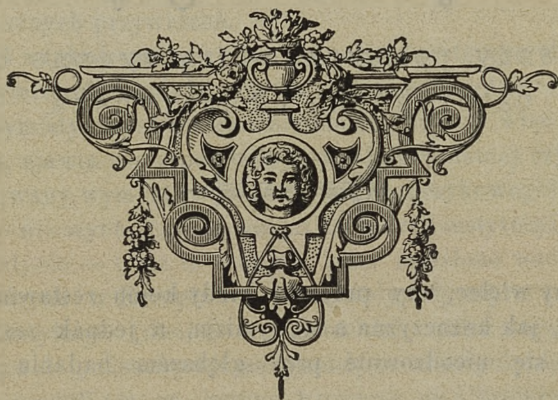
Po krótkiéj chwili zwrócił się do lokaja:

— Czy w ujeżdżalni jest sam pan hrabia?

— Wszyscy z pałacu. Dziś będzie przegląd koni — odrzekł lokaj.

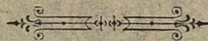
— Idź naprzód—rozkazał doktór—powiédz, że idziemy.

(*D. c. n.*) *Artur Gruszecki.*



Kozaczyzna a Legitymizm.

Dwie legendy polityczno-historyczne Ukrainy: batoryańska i baturyńska.



Wątpimy wielce, czy przyszło kiedy komu zestawiać tak obce sobie pojęcia, jak kozaczyzna a legitymizm, a jednak zestawienie takie nasuwa się nieodzownie przy głębszém badaniu przeszłości Ukrainy.

Względnie do innych warstw społeczeństwa, kozaczyzna, która niepostrzeżenie prawie stała się w połowie wieku XVII-go jéj wielowładną panią, była wytworem zbyt nowym, zbyt świeżym, powstała niby w biały dzień historyi, w jéj oczach niby — nie osłonięta mgłą starożytności, bez tradycyi, bez legendy.

Leży to przecie, widać, w naturze ludzkiéj powszechnie — jednostek, rodów, plemion i narodów, a nawet doszłych do wszechwładzy lub tylko dobijających się o takową warstw społecznych — odsuwać swój rodowód, ile można, daléj w głąb' czasów, stwarzać sobie fikcyjną przeszłość poważną, czepiając się lada pozoru jakiegoś podobieństwa. Odbywa się to widomie do dziś dnia, a słabość ta nie daje się niczém powstrzymać, nawet śmiesznością, wywoływaną wszelakim zakusem wpojenia innym własnych, świadomie zmyślonych, przywidzeń.

Lecz co więcéj, łączy się z tém częstokroć, zwykle nawet, jakiś rzeczywisty interes, jakaś praktyczna potrzeba. Tém zaś bezwzględniéj wysuwana naprzód, o ile podsycana, niemylną rachubą, że wszelakie zmyślenie, byle tylko uporczywém powtarzaniem jakkolwiek ustalić się dało, stać się może z czasem, przy sprzyjających okolicznościach, naprawdę wcale nie wątłą podstawą poważnego wyzysku. Bezsilne tu pospolicie protesta, głośne nawet, świadomych istoty rzeczy. Doświadczenie bowiem wieków, jak i napewno każdego z żyjących, namacalnie uczy, iż z fikcyą wytwarzaną, mimo śmiesznych nawet niejednéj z nich początków, powoli świat się oswaja i przyjmuje ją na seryo ostatecznie. Mniejsza już — u naś np. o tak liczne fikcyjne szlacheckie rodowody, mniejsza o tylu obecnie hrabiów „polskich" nawet; ale uznajemy dziś jeszcze Habsburgów po ich wygaśnięciu, Prusaków po tych wytępieniu, królestwo Saksonii — po za obrębem dziedzin Sasów. Uznajemy — konwenansowo niejako — tyle innych fikcyi poważnych oraz luźnych przywidzeń.

Że zaś z takowemi łączy się pospolicie pretensya téż do pewnych praw rzeczywistych, nadających im znaczenie istotne, o co téż w fikcyach legitymistycznych np. głównie chodzi, ile razy więc potrzeba tego się okazuje, zjawia się odpowiadający takowéj, mniéj czy więcéj udatnie upozorowany wymysł (w rodzaju np. Fryderykowego).

Stąd—nie wychodząc nawet po za zakres instytucyi i warstw społecznych jedynie — tyleż to znanych jako zmyślone nadań i przywilejów, do których w Europie wogóle odwoływały się w swych walkach przeróżne instytucye (duchowne i świeckie), różne warstwy (szlachta, miasta), jako do podstawy niewzruszonéj praw swych nietykalnych.

Nie pozostali téż za innymi kozacy na Ukrainie! Oczywiście rozumiemy tu t. zw. z czasem „rejestrowych" — stale osiadłych, bo o tych tylko w zakresie kwestyi prawowitości poważna może być mowa.

Ciemna jest wprawdzie, mimo wszystkiego, geneza ukraińskiego kozactwa, tyle się wié przecież (p. „Źródła dziej.", t. XXII), że to nam na razie wystarczy.

Kozactwo ukraińskie, niżowe, nazwą zaporozkiego z czasem się szczycące, warstwa kozacka, społeczeństwo kozackie na Ukrainie, powstało i rozwijało się zupełnie samorzutnie. Mniejsza o pierwotny zaczyn onego; turski, tatarski, o obce w niém żywioły, podobnie jak wśród kozactwa północno-litewskiego i podobnie jak tamto, do służby wojennéj pod posłuszeństwem zamku, za prawo używalności pewnych działków ziemi czy „wchodów" myśliwskich, u kolébki swéj, zapewne zobowiązane. Nabrało ono przecie mocy dzięki sprzyjającym mu, na

południu w. księstwa litewskiego okolicznościom—bez urzędowego poparcia lub wyraźnéj sankcyi jakiéjkolwiekbądź władzy zwierzchniczéj, jeśli nie z Wilna, to z Kijowa, a choćby z Czerkas przynajmniéj. Wprawdzie już za Zygmunta I-go, starosta hospodarski czerkaski, p. Ostafi Daszkowicz, radził uorganizować je porządniéj militarnie, w myśl czego nakazywano je nawet (po raz pierwszy w r. 1541 „sprawcy" wwdztwa kijow. kn. Andrz. Koszyrskiemu) „rejestrować"; ale wiadomo, jak to tam na owém „ugraniczu" Rzpltéj wszelkie zamierzenie dalekiém było od wykonania. I „kozactwo", które to miano tatarskie przybrało powoli bez sromu, ba, następnie z dumą nawet, cała warstwa „wolnego", wojennego, siedzącego na swych „chutorach" po włościach hospodarskich, ludu, jaka się była w ciągu wieku XVI-go wytworzyła na Ukrainie—naprawdę spotężniało, dzięki własnéj przedewszystkiém, wśród sprzyjających warunków, samorzutności.

Zdawałoby się tedy, iż zdobywszy moc faktyczną, jaką kozactwo ukrainne już nawet w epoce unii lubelskiéj w znacznéj mierze posiadało, mogło ono, w dalszym swym pochodzie ku zdobyciu urzędowego uznania pełni praw obywatelskich, ziemiańskich, szlacheckich, poprzestać na odwoływaniu się do téj mocy swéj własnéj jedynie, nie uciekając się do żadnych fikcyi jakichś praw swych „starodawnych". Bo faktycznie zdobyło ono sobie tylko — i dopiéro przy pierwszéj jego „ordynacyi", już po unii 1572 r., nakazanéj hetmanowi koronnemu Jerz. Jazłowieckiemu, przyznanie wolnego wyboru swego „starszego", zależnego od hetmana kor., oraz samorządu i samosądu w swém własném kole; poczém w lat kilka nadał mu król Stefan na siedzibę główną etc. Trechtymirów, bliżéj Kijowa—i już nic nadto.

Nie uciekało się też kozactwo długo do żadnych fikcyi prawnych, tém bardziéj, o ile że, nie mocą wcale nadań i przywilejów powstałe i wzrosłe, było ono po wszystkie czasy, z zasady niemal, wrogiem otwartym wszelkiego aktykowanego legalizmu i niszczyło wszelkie piśmienne ślady (nawet obojętnych dla siebie) nadań, przy każdéj okoliczności, poczynając, ile pamiętamy, od zniszczenia dokumentów i nadań królewskich monasteru meżyhorskiego, podczas swawolnego na to miejsce czczone najazdu w r. 1591.

Podobnie też pierwszy groźniejszy wybuch kozactwa pod p. Krzysztofem Kosińskim w r. 1593 rozpoczął się, jak wiadomo, od zniszczenia (przezeń) urzędowych aktów, przy niespodzianym napadzie na Białącerkiew. Całe też przytém zachowanie się kozaków świadczyło, iż występując do walki z kniaziami, a przez nich pośrednio i z władzą najwyższą, w poczuciu niedostateczności sił własnych z jednéj strony, a przy zuchwale śmiałym na swój czas zamyśle uorganizowania wo-

jenno-kozackiego Ukrainy pod przysądem władzy zwierzchniczéj wojska zaporozkiego—ze strony drugiej, gotowi oni byli wejść w sojusz z Krymem i odwołać się o poparcie do Moskwy, zresztą rzucili się, nie czekając, do broni; ale—i w czasie układów następnych z kniaziami—jeszcze do swych domniemanych „praw starożytnych" i czegoś podobnego nie odwoływali się zgoła.

Nie odwoływali się też do takowych ani Łoboda, ani Nalewajko 1596 r., których hetman Żółkiewski zmuszony był ścigać aż w dzikich polach dalekiego Zadnieprza — za Sułą, na Sołonicy. Nie podnoszono przedmiotu tego podobnież na „komisyi" olszanieckiéj w roku 1617-ym.

Dopiéro po raz pierwszy chyba na komisyi rastawieckiéj, w roku 1619 występują kozacy z odwoływaniem się do jakichś „wolności", zapewnionych im (jakoby) przywilejami „najjaśn. królów, ich ś. p. panów" i od jakich królów, tego oni dowodniéj nie wykazywali, a zapewnie i komisarze, nie biorąc tego na seryo, nie dopytywali téż o to.

Poczém na komisyi kurukowskiéj z Koniecpolskim w 1625 roku nie wspominano chyba „praw starożytnych", jak i na perejasławskiéj w r. 1630.

Niebawem jednak odwoływanie się do praw owych przybrało wyraźniejszy charakter. Przypisać zaś to niewątpliwie należy wzmagającemu się wśród kozaków wpływowi duchowieństwa błahoczestywego, które, szukając w nich poparcia w walce z przeciwnikami, zapomniawszy dawnych krzywd własnych, od Niżowców tak dotkliwie doznawanych, gotowe im było gorliwie służyć teraz, wskazówkami kazuistyki, w jakowéj zawsze kler wszelkich wyznań tyle celował.

To też w uniwersale Pawluka, którym ten wybraniec niżowych malkontentów wzywa (po polsku) w r. 1637, z Zaporoża do wzięcia się za broń nawet spokojnych rejestrowców, uderza już, występująca niemal w całéj pełni, tyle rozpasana niebawem, śmiałość kłamstwa konwencyjnego—co się zowie, w żywe oczy. Uprowadziwszy podstępnie na Zaporoże, stojącą w Czerkasach, wojska niżowego „armatę", odwołuje się on najprzód w owym uniwersale do wspomnienia „starynnych dobrych mołojców", że tak miało być zawsze za ich „sławnéj pamięci przodków kozackich", iż armata stała tam właśnie, i stamtąd a nie z włości wychodzili oni na krwawą służbę króla i Rzpltéj, „nigdy nie leżąc na włościach i nie robiąc krzywdy poddanym królewskim, jak i w dobrach szlacheckich". Więc słuszna, że armatę wrócono tam, gdzie ona stać powinna i gdzie przebywali i zawsze przebywać winni z wojskiem hetmani jkr. mci zaporozcy. Co więcéj, w pamięci każdego przecie (zostaje) kurukowska komisya, podług któréj

„panowie żołnierze” nie mieli ani nogą przekraczać, po za Kijów i Białącerkiew, a tymczasem wskazano jednak na utrzymanie armaty, tylko Czerkasy, Czehryn i Kryłów, gdzie nie było z kogo brać zasiłku, a zresztą i tego potém wojsko zapor. pozbawiono etc. Co wszystko, wobec znanych surowych nakazów kurukowskiéj komisyi, było grubém zmyśleniem tylko, było fałszem wierutnym. Po takim przecie wstępie, wkroczywszy już na „włoście”, uniwersałem swym z Moszen rozsyłanym, wzywał Pawluk bracią do walki już nietylko za „złote wolności kozackie”, lecz nawet (co występuje po raz pierwszy i pod tchnieniem nawianém kozactwu oczywiście ze strony) „za chrześciańską wiarę”.

Odzywał się też i Hunia z za okopów na Starcu (u ujścia Suły) w r. 1638, w piśmie do hetmana Mikołaja Potockiego, że mimo wszystko nie przestaną kozacy dochodzić „praw i wolności nadanych im zdawna przez ś. p. królów polskich”.

Naprawdę przecież, hasło „prawa dawne” — „starożytne” mogło nabrać faktycznego znaczenia od czasu, jak po wzięciu ostatecznem w kluby kozaków, nadaremnie usiłujących postawić na swojém pod Kumejkami (Borowicą), Żowninem i na Starcu w r. 1637—39, odebrane im zostało nawet to, co oni dotąd faktycznie, istotnie, nie zaś fikcyjnie tylko, posiadali. Co byli zdobyli sobie mocą samorzutnego rozpotężnienia i ulegalizowali, jeśli tak powiedzićć wolno, jako rzecz i sprawę własną, przez używalność dłuższą bardziéj, niż przez jakieś wyraźne królewskie, nie już nadania, lecz przyzwolenia (milczące) choćby. Kiedy odebrano im swobodę organizacyi własnéj, ze starszyzną wybieralną etc. i skrępowano na dobre wszystkiém tém, co im komisya na Masłowym stawie 1639 r. była narzuciła. Otóż teraz dopiéro po raz pierwszy naprawdę, podnoszone na nowo, hasło przywrócenia „praw dawnych”, t. j. faktycznie już posiadanych, a objętych swobód, wyrażało treść bardziéj dotykalnie określoną. Zresztą, mniéj już mogło chodzić o udowodnienie prawowitości źródła tych praw: wołano o przywrócenie faktycznie posiadanych. Takie też tylko rozumiano napewno, dając, wśród tajemnych przygotowań się do wojny tureckiéj w r. 1647-ym, posłom wojska niżowego (między którymi miał być i Chmielnicki) sekretne, w imieniu samego Władysława IV-go, przyrzeczenie (jeśli tylko ono miało istotnie miejsce) przywrócenia praw dawnych.

Chmielnicki, który w walce swéj z ukrainnymi panami, a przez nich i z całą Rzpltą następnie, chwytał się wszelkich możliwych do wyzyskania dróg i środków, nie pomijał też, w charakterze „kozackiego batka”, jako znany zresztą mistrz obłudy i wybiegów swego rodzaju legitymizmu. W pierwszym swym uniwersale, zaraz po Żółtych Wo-

dach, znanym p. t. „Rejestr krzywd kozackich” — jeśli to nie falsyfikat oczywiście, dotyka on wprawdzie jeszcze tylko krzywd swych osobistych. Lecz już po zadanéj hetmanom pod Korsuniem klęsce, w instrukcyi posłom swym na sejm, po roztoczeniu wszelkich zażaleń i skarg, zamyka je pokorną prośbą od wojska zaporozkiego, by mu zostawiono (przywrócono) „wszystkie wojskowe wolności przez ś. p. królów polskich nadane i przywilejami stwierdzone” etc. Co to zaś za przywileje być miały, owe „wolności” stwierdzające — tego, jak naturalnie, instrukcya nie wskazywała. Jak naturalnie, powiadamy, bo téż nie wyszło się w tym zakresie z ogólników i w t. zw. „Przywileju ruskiego narodu”, jaki został wydanym 1649 r. w następstwie układów zborowskich. Zaznaczono tam jedynie, że „jkr. mć, przychylając się do prośby wojska zaporozkiego, wszystkie dawne przywileje, których gdziekolwiek w księgach *extant munimenta*, przywraca i dawne wolności, w tych przywilejach nadane wojsku zaporozkiemu, przyznaje i potwierdza”. Musiała przecie formułka ta wystarczyć, gdy samych tych „*munimentów*” nikt napewno „w księgach” i za żadną cenę by nie wyśledził!

Rzecz zrozumiała bowiem: gdy nie było faktycznie, po za zapewnieniem w swoim czasie wojskowego samorządu i darem Trechtymirowa, żadnych szczególnych, wyraźnych nadań królewskich, wypadało z konieczności poprzestawać tak w petycyach wojska zaporozkiego, jak i w aktach komisyi wyznaczanych dla spraw kozackich, na gołosłownych jedynie orzeczeniach swobód, praw starożytnych etc.

A pamiętajmy przytém, że Rzplta z zasady już nie była skorą do wiązania się jakiemiś formalnemi aktami względem kozaków, robiąc im ustępstwa prędzéj co do istoty rzeczy, niż co do trybu onych aktykowania. Oto nawet znane artykuły zborowskie, wymuszone na niéj grozą okoliczności i zawierające już określone, faktyczne ustępstwa kozakom, donioślejsze od wszelkich gołosłownych odwoływań się do starożytnych wolności etc., przyobleczone w urzędowy tytuł „Deklaracyi łaski (jedynie) wojsku zaporozkiemu”. Tak władze Rzpltéj, w rozpaczliwéj nawet sytuacyi, mocno stoją przy utrzymaniu pozoru (choćby) swéj powagi, nie dozwalającéj krępowania się, co do formy (przedewszystkiém), przymusowém zobowiązaniem.

W ostatecznym czego wyniku, wszelkie opiéranie praw kozactwa o jakiés wyraźne przywileje władz Rzpltéj, nie miało podstawy rzeczywistéj.

Wobec władzy najwyższéj występowali kozacy ukraińscy, rejestrowi, w całym przeciągu pozostawania pod zwierzchnictwem Rzpltéj, jako jéj poddani: jako klasa społeczna, używająca pewnych praw

i swobód odrębnych, drogą samorzutnego przedewszystkiém wzmagania się nabytych, lecz nie posiadająca téj pełni praw obywatelskich, jaką zapewniały szlachcie *pacta conventa*. Usiłowali oni odrębne owe swobody, wolności swoje rozszerzyć choćby z uszczerbkiem praw klas innych, a nawet z wyraźną szkodą Rzpltéj, co wywoływało nieustanne starcia i niepokoje. Ale chociaż często chwytali za broń, probując zerwać więzy krępujące ich ruchy, korzyli się zawsze przed majestatem królewskim, nie podając nigdy w wątpliwość jego przyrodzonéj nad sobą władzy. Rzplta zaś, zabiegając swawoli, wyznaczała komisye swe rozjemcze, wcale nie dla układania jakichś paktów z kozakami, lecz dla ich dalszéj „ordynacyi" — dla rozejrzenia słuszności ich zażaleń i nakreślenia wskazówek, jakich nadal w swém postępowaniu trzymać się mieli. O żadnych tu paktach wiążących zobopólnie obiedwie strony mowy być nie mogło. Wśród ewolucyi wewnętrznego życia Rzpltéj, występowała niejednokrotnie a poważnie sprawa „narodu ruskiego", ale za przedstawicieli onego prawowitych uważano kniaziów i ziemian jedynie, oraz wyższe duchowieństwo, bez różnicy—zuniowane czy nie, zresztą mieszczan nawet, ale kozaków nigdy. Było to wojsko — i tyle; jako takie tylko było pociągane do przysięgi wierności i jako takiemu tylko poręczono przysięgą komisarzy dotrzymanie przyznawanych im swobód. Ależ i kozacy sami nie mieli do tego uroszczeń: obchodziły ich sprawy ich wojskowe, a nie sprawa ruska: religijna czy narodowa. Dopiéro przyciśnięte ostatecznie, kując dla siebie broń wszędy gdzie się dało, poślubiło kozactwo sprawę narodowo-religijną, nie wzdragając się jednocześnie sojuszu i pobratymstwa z Tatarami. Dopiéro téż po raz pierwszy ustępstwa zrobione w Zborowie kozakom otrzymały tytuł „Przywileju narodu ruskiego". Chmielnicki pierwszy począł marzyć o dostojeństwie „księcia ruskiego", księcia odrębnéj Ukrainy, a syn jego został istotnie utytułowanym przez sułtana „księciem Sarmacyi". Przedstawicielstwo, jeśli nie całego „narodu ruskiego", nie całéj nawet Rusi południowéj, to Ukrainy szerokiéj, przypadło odtąd dopiéro wyłączniéj kozactwu, zawisło nadal od jego prowodyrów. Oni też decydują już nietylko o sprawie niżowego wojska, lecz i o autonomii całéj byłego księstwa kijowskiego krainy.

Stąd też i stawienie się kozaczyzny („Czerkasów") względem Moskwy, w chwili poddania się pod jéj zwierzchnictwo, mogło być i było wcale innném, niż względem Rzpltéj do tego czasu. Podnosząc w przewodniczącym zastępie swoim, w kole starszyzny, okrzyk „wolimy cara wostocznego", niezależnie wcale od zmiennych widoków samego „baťka Chmiela", wyzwoliwszy się z pod przemocy „lachów" własnych

i Lachów wogóle, poddawała się ona carowi z całą Ukrainą, w rozumieniu własném, dobrowolnie; zatém nie bezwarunkowo, lecz na mocy wzajemnych zobowiązań, przyjętych obustronnie paktów.

Wręcz przeciwne temu zapatrywanie się drugiéj strony, rzeczy tu jeszcze nie przesądza. Zresztą sam przebieg faktyczny procesu poddania się pod nowe zwierzchnictwo uzasadnieniu przekonania, czy choćby domniemania tylko, poddających się—ujmy nie robi.

Wprawdzie w Perejasławiu przy akcie poddania się w r. 1654 posłowie carscy (Buturlin) zręcznie wywinęli się od przysięgi na razie, a zatwierdzenia artykułów ułożonych następnie w Moskwie przez posłów kozackich (Teterę) z djakami „Poselskiego prykazu” ma formę „ukazową”, ale cały szereg aktów ubocznych, a niemniejszego znaczenia, jak pisma carskie do Chmielnickiego i starszyzny etc., upoważniał kozaczyznę do przekonania, iż związała się ona z carem wzajemnemi paktami.

Tém niemniéj owo poddanie się Moskwie, dokonane w warunkach przez masę kozaczyzny nieprzewidzianych, przy niejasności, niestanowczości określenia wzajemnego nadal stosunku stron, nie mogło nie ukrywać w sobie zarzewia poważnych nadal nieporozumień. W Moskwie, w istocie rzeczy, chciano uważać poddanie się to za całkowite i bezwarunkowe — przysięgę w Perejasławiu przyjęto, nie związawszy się jako żywo żadném, w imieniu cara, upragnionych swobód kozackich zaprzysiężeniem, nawet artykułami (perejasławsko-moskiewskiemi), jakie następnie kozakom przyznane zostały (14 + 18 = 32). Ci zaś rozumieli, iż to warunki umowy, wynikające wprost z dobrowolnego carowi poddania się; a które to warunki usiłowali oni podać jako odwiecznie im należące, przez najwyższą władzę Rzpltéj zaprzysięgane, a potém niesłusznie potargane swobody i prawa. Rozumieli zaś, w swém przekonaniu, z tém większém uzasadnieniem, ile że poddawano tu nietylko wojsko, lecz całe społeczeństwo ukrainne, Ukrainę całą. Wśród poddającéj ją zaś starszyzny kozackiéj, jeśli nie część znaczniejsza, to bardzo znaczna była to szlachta, przesiąknięta, jako taka, od kolébki ideałami, których wyrazem była elekcya i *pacta conventa*, a które to ideały podzielali niewątpliwie i wychowańcy szkół mohylańskich z warstw nienobilitowanych.

Zwrot ponowny tedy ku Rzpltéj w kole przewodniczączém był prawie do przewidzenia—i w 4 lata po perejasławskiéj zawartą została w r. 1658 ugoda hadziacka, wynosząca Ukrainę na odrębne w łonie Rzpltéj, równe litewskiemu „w. księstwo ruskie”. Wprawdzie, nie dała się wcielić w życie owa kombinacya polityczna, lecz przybyły z nią legityzmowi kozackiemu nowe podstawy: warunki téj ugody

chciano też mieć potém za obowiązujące do pewnego stopnia, albo raczéj w odnośnym zakresie i carską władzę zwierzchniczą.

Burza kozacka rozkołysała na południu wszystkie żywioły, porywając je zarazem w stronę wspólnego, całą już Ukrainą, wyodrębnienia się. Okazało się też wprędce, że interesa, że hasła kozactwa były tylko dźwignią wstępną powszechnego wybuchu. Rewolucya ukrainna, rozpasana przez Chmielnickiego, sięgła głębiéj i szerzéj niż dotychczasowe aspiracye kozactwa, jako wojenno-społecznego Ukrainy stanu. Mniejsza już o, w niwecz obrócone, osobiste, z późniejszéj daty, widoki samego „bat'ka" Bohdana; omyliła ona rachuby szlacheckiego zastępu jego bliższego otoczenia, co niby szczerze był poślubił kozacką sprawę i pociągnął ku sobie starszyznę na razie, powstałą z pomiędzy ludzi „pospolitych". Roztopiła ona „starynne" niżowe kozactwo w niedającéj się ograniczyć liczebnie masie czerni i przybłędów wszelkiego rodzaju, która to masa, okozaczona doraźnie, wzięła niebawem górę nadewszystkiém i siłą swą żywiołową, pchnęła sprawę Ukrainy tam, kędy zawrócić ani się śniło, początkowo starszyznie z bat'kiem.

Nie dla tłumów przecie wziął się on za broń ze swymi przyjaciołmi, nie dla tłumów szlachta przystawała do kozactwa, nie dla tłumów też walczyła starszyzna wogóle. Ale z drugiéj strony, nie można też zaprzeczyć spoczywającéj, nietylko bezwiednie, na dnie ruchu rewolucyjnego, myśli wyodrębnienia Ukrainy. Wyraziła się więc ona w akcie perejasławskim, bardziéj jeszcze świadomie w układzie chadziackim.

Przy warunkach owego układu rozwój życia nowopowstającego, wobec Korony i Litwy, równego im we wszystkiém, „ruskiego" w. księstwa prowadził kozactwo w ostatecznym wyniku do takiéj ewolucyi, przez jaką przechodziło bojarstwo dawne przy zamkach sąsiednich Barze czy Chmielniku, a nawet Owruczu. Hierarchia błahoczestywa wracała do swego dominującego stanowiska; ale też i „pany" do swych zajętych przez kozactwo dóbr. A to ostatnie wytrącało mu z rąk całą zdobycz krwawą, więc zawrócono mocniéj jeszcze ku północy.

Ideały przecie unii hadziackiéj, tak szeroce zakreślone przez najświatlejszych przedstawicieli owoczesnéj inteligencyi Ukrainy — szlachtę, w obozie kozackim i duchowieństwo greckie niezjednoczone, wcale się nie rozwiały; owszem, ze sfer wyższych przenikały powoli coraz głębiéj.

Rozejm andrusowski, którym zakończyły się w r. 1667-ym 13-letnie zapasy z Moskwą o Ukrainę, ograniczył terytoryum kozactwa (podd. carowi) jedynie do Zadnieprza. Zadnieprze jedynie stało się

dziedziną wojska j. car. wieliczestwa, które przybrało odtąd nazwę „małorosyjskiego", gdy dziedzina ta jego, wobec wielkiego carstwa moskiewskiego, co już mianem Rosyi szczycić się poczyna, zostaje Małą Rosyą, „Małorosyą". Autonomia, jaką zakreślały układy hadziackie dla całéj Ukrainy razem z Zaporożem, zacieśnia się teraz do lewobrzeżnéj względem Dniepru jéj połaci, z wyłączeniem działu zaporozkiego. Choć autonomia—na wstępie—faktyczna, istotna: organizacya kraju ściśle wojskowa, naczelna władza hetmanów (niby) wybieralna, statut litewski etc. Wojsko, kozactwo, spotężniałe liczebnie — instytucya na wskroś demokratyczna — ma zostać wyłącznym panem i gospodarzem kraju, starszyzna onego trzymać tylko czasowo urzędy od wyborów zależne, razem z przywiązanemi do nich dobrami rangowemi etc.

I zdawało się narazie za Dnieprem, iż nie napróżno przecie wylane zostały owe, nie już potoki, lecz powodzie krwi w zapasach z „lachami" o wolę kozacką, nie napróżno przestwory całe kraju okrył całun „ruiny", nie próżném było zerwanie z tradycyą, pobratymstwo tatarskie etc. Wykwitła z popielisk staréj Ukrainy autonomiczna Małorosya wszystko to opłacała.

Stąd i cały legitymizm kozacki zastrzągł odtąd na Zadnieprzu wyłączniéj. Tém mocniéj zaś ugruntował się w przeświadczeniu, ile że szybko i niedostrzeżenie prawie przybrał on cechę, nie przeważniéj społeczną jak dotąd, lecz do pewnego stopnia odrębnie nacyonalną niejako—z „zaporozkiego" (obydwóch brzegów Dniepru) stał się „małorosyjskim".

Prowadziła ku temu skądinąd i zmieniająca się na Zadnieprzu postać rzeczy wogóle.

Po uciszeniu się burz wojennych rozpoczął się tam zwrot jakby ku tym samym porządkom społecznym, w walce z któremi tyle krwi przelano. Wyzbyto się wprawdzie Lachów, lecz ich miejsce zastąpiła niebawem warstwa, klasa nowych „panów", kontyngensu dla któréj dostarczyła, oprócz ocalałéj za Dnieprem dawnéj szlachty, wszelakiego pochodzenia starszyzna, wzbogacona różnemi drogami kosztem wojska. Starszyznie owéj i jéj rodom szlacheckim czy nobilitowanym faktycznie, pozostawiony przy życiu statut litewski, zapewniał też same prawa szlachty polskiéj, przeciw którym niby kozactwo z przed „ruiny" tak się było srożyło, tyle żądne w istocie rzeczy onych zdobycia. Tak usadowiona, upewniona w utrzymaniu swego nabytku, starszyzna wojska j. car. w. małorosyjskiego, nie żądała początkowo już nic więcéj, jak tylko zachowania nadal bez ujmy tego, do posia-

dania czego już była przyszła. To była główna sprężyna jéj małorosyjskiéj prawomyślności, jéj poważnego legitymizmu.

Z innéj strony wszakże—oderwane od reszty Ukrainy, pozostałéj przy Rptéj, Zadnieprze stawszy się Małą Rosyą, poddaném zostało tém łatwiéj teraz procesowi asymilacyi z ogniskowém jądrem moskiewskiego carstwa — Rosyi Wielkiéj, które wprędce silną dłonią Piotra I-go na wszech-rosyjskie cesarstwo przetworzone zostało. Proces zaś ów asymilacyi, prowadził téż za sobą coraz to ściślejsze ograniczanie, jeśli nie zaprzysięganéj to faktycznéj w założeniu autonomii.

Że w nacisku podobnego procesu asymilacyjnego widziała starszyzna małorosyjska łamanie paktów — było rzeczą naturalną. Nie było w zapatrywaniu się co do tego różnicy, między wychowańcami szkół jezuickich czy aryańskich a uczniami mohylańskiéj akademii — ideały wszystkich wykształceńszych śród kozactwa, całéj ukrainnéj inteligencyi były republikańskie, szlachecko-polskie.

Poczęły się ożywiać przypomnienia ponętnych dla starszyzny warunków ugody hadziackiéj—równe Koronie i Litwie a odrębne w. księstwo ruskie całą już Ukrainę obejmujące i przedstawiające malkontentom widoki szersze niż zacieśniona do Zadnieprza Małorosya, razem z tém — niezawisła po dawnemu kijowska metropolia etc. etc. I zatęskniono ku powrotowi w objęcia Rpltéj. Tém zaś bezpieczniéj, że teraz już, wydziedziczona całkowicie, po rozejmie andrusowskim, szlachta polska o dawne swe dobra upominać by się nie chciała, nie mogła.

Dla osiągnięcia tego celu najpewniejszą drogą dla społeczeństwa wojennego była droga zbrojnego czynu. Mazepa przecież z wojskową, sobie oddaną starszyzną, gotując się do otwartego ostatecznie wystąpienia z bronią w ręku, potrzebowali oczywiście, dla tém pewniejszego skutku swych zamierzeń, wpoić w umysły i tłumu też kozaczego wogóle, że łamane prawa wojska małorosyjskiego, zagwarantowane umową perejasławską, tém więcej winny być przez całe wojsko strzeżone, i że to zabytek święty starożytnych towarzystwa zaporozkiego swobód, przez przychylnych kozakom ś. p. królów polskich nadanych. Przy dawnych wybuchach przeciw panom i Rpltéj, poprzestawano, jakieśmy to widzieli, na odwoływaniu się gołosowném; nikt bowiem najprzód nie brał tego na seryo, a potém—wystarczało motywów żywych, doraźnych względnie Lachów. Ale teraz—nie dosyć tego: dla dodania motywom podobnym, rzeczywistym, większéj mocy, uważano za środek najskuteczniejszy—bardziéj nieskrępowane wysunięcie w grę motywów fikcyjnych, mających pozór uzasadnienia naprawdę dziejowego.

Przy powszechnéj zaś ciemnocie ówczesnego społeczeństwa kozackiego i braku historycznego wykształcenia, nie było to nawet trudném. Żywioły pożądanéj fikcyi unosiły się jakby w powietrzu, do dawnych przybywały nowe, wypadało je tylko skupić i stworzony w ten sposób *epos* kazuistyczny przyoblec poważną szatą legitymizmu.

Punkt oparcia sam się nastręczał —leżał pod ręką. Przedstawiała takowy stolica sama (od r. 1670) Małorosyi—Baturyn, nazwa któréj przypominała, czczonego tyle przez kozaków, króla-bohatera, a co więcéj—tak groźnego przeciwnika Moskwy. I poczęła się tedy jakby mimowoli, niepostrzeżenie osnuwać koło tego miasta przędza, z któréj utkano następnie całą legendę polityczno-historyczną, dwoistą nawet, baturyńsko-batoryańską, splatającą się daléj nierozerwalnie ze szczerą wiarą w obowiązującą powagę artykułów perejasławskich.

Obrócenie w niwecz, skutkiem Piotrowego zwycięstwa 1709 r. pod Połtawą, zamierzeń stronników Mazepy oraz zaszłe w następstwie tego przeobrażenie porządków małorosyjskich, nie unicestwiły przecież wcale legendy owéj zasiewu. Przeciwnie. Zmuszona do zamilknięcia, znalazła tém gościnniejsze przyjęcie w latopisach opiewaczy „starożytnéj sławy kozackiéj”, gdzie stała się teraz ona główną podwaliną jakby całego rusztowania, na którém miała spocząć, robiona *ad usum* bałamuconego tłumu hramotnego, historya kozactwa i Ukrainy. Rozwijała się zaś legenda owa dwoista i ustalała tém bardziéj, ile że po utracie wszelkich nadziei dochodzenia zbrojnego, mogła się ona stać, przy okoliczności (fikcyjną) podstawą upominań się, czy przypominań się tylko, na drodze legalnéj. Zresztą potrzebna ona była może — dla podniesienia poczucia prawowitości niewygasłych aspiracyi etc. w obliczu stopniowego łamania i łamania się dawnych porządków.

Nie odrazu przecie i w kroniczkach małorosyjskich zjawia się legenda owa, baturyńsko-batoryańska w całéj swéj pełni.

Najprzód dostrzegać się daje faktycznie strona jéj wyłączniéj batorowska, batoryańska. Zrozumiałe to wielce. Jeszcze w czasie początkowych swych walk zawziętych z kniaziami i panami, kozacy, odwołując się do „ś. p. królów polskich, ich panów”, co mieli wojsko nizowe obdarzyć kwestyonowanemi przez tamtych wolnościami, kogoż bardziéj mogli mieć na myśli jeśli nie króla Stefana? Nie Zygmuntów Jagielonów przecie; choć pierwszy z nich nakazał „zregestrowanie” wstępne a drugi zalecił porządniejszą „ordynacyę.” Stefan zaś Batory, sam wojownik w wielkich planach politycznych, których wykonanie wymagało poprzedniego podniesienia wogóle sił militarnych, ocenił

głębiéj dopiéro znaczenie i możliwą użyteczność kozaków i dla podniesienia istotnego ich wojska, chcąc je, jak powiada Piasecki, w tryb porządniejszy wprowadzić, nadał mu zamek Trechtymirów z przyległościami... gdzieby obrad swoich i rządu wojskowego stolicę oraz arsenał i skład wojennych rynsztunków założyć mogło... co zapewniając mu urzędownie stałą, niejako ostoję, uwalniało je zarazem nadal z pod krępującéj faktycznéj kontroli starostów (w rodzaju Ost. Daszkowicza etc.) czerkaskich. Był to rzeczywiście punkt zwrotny w historyi rozwoju kozactwa. Po śmierci téż sprężystego monarchy, kozacy tak szybko urośli w groźną siłę, że już potrafili z bronią w ręku mierzyć się ze swymi kniaziami-starostami, osłaniającymi widoki swe własne dobrem Rpltéj. A gdy, nie poprzestając na doraźnéj sile faktycznéj, przychodziło legitymować samą prawowitość tych praw domniemanych, za podeptanie których niby chwytano za oręż, przychodziło powoływać się na jakieś sankcye królewskie—do kogoż łatwiéj było odwołać się jak nie do Batorego? On nadał istotnie Trechtymirów—dla czegożby nie mógł zrobić innych obdarowań? Nie dość na tém, czyjegoż imienia pamięć mogła być głębiéj, szczerzéj, mimo wszystko, czczoną przez lud wojenny, jeśli nie króla-wojownika, króla-bohatera? A panom samym—jakiém że imieniem można było więcéj imponować, jak Batorego! On więc to sam, mówiono, nie kto inny, wielki król, dał „braci zaporozkiéj" ową organizacyę wojenną, jaką posiadali faktycznie; obdarzył ich temi prawami, których nie podobna było już im odjąć; uposażył w te chutory, którémi byli już zawładnęli etc. etc. — jednem słowem, on dźwignął kozactwo! Daléj, zwątpiwszy o możności zdobycia sobie przyznania pełni praw obywatelskich, przeciw legitymizmowi szlacheckiemu wystawia się już tedy własny legitymizm kozacki, a im zawzięciéj niszczy się, przy każdéj okoliczności, pargaminy ziemian etc., tém śmieléj o swoich przywilejach starożytnych się głosi. Mniejsza iż przywilejów tych wcale nie okazywano, samo głoszenie tego stronie zainteresowanéj (*cui prodest*) wystarcza. Owo też gołosłowne, anonimowe odwoływanie się do ś. p. królów polskich stosuje się widocznie do Batorego przedewszystkiém. I powoli, niepostrzeżenie, osnuwa się na tém, z biegiem czasu cała legenda batoryańska. Była ona w umysłach gotową już zupełnie chyba, zanim pan setnik czehryński, podjąwszy 1648 na panów ziem ruskich, nie tylko kozactwo lecz i całe masy ludu ukrainnego, zaczął w swych znanych uniwersałach po swojemu komentować dzieje kozackie. Oczywiście nie ma na to wszystko, t. j. co do genezy saméj legendy batoryańskiéj, dowodów dotykalnych, lecz przestaje to ulegać wątpliwości przy poglądzie wstecznym na przeszłość.

Zdaje się też wielce prawdopodobném, iż legenda ta, nie brana na seryo przez szlachtę nie kozakującą, nabrała dopiéro poważniejszego znaczenia, gdy przyszło „braci zaporozkiéj" traktować z diakami carskimi o wieczny sojusz—jak sobie pochlebiała — z państwem moskiewskiém. Stawili też, pewnie na oczy dyplomaci kozaccy zaciętym diakom, nie umiejącym się otrząść od zakorzenionego na Moskwie zapatrywania się na Nizowców wogóle, że to zawsze tylko „zbóje Czerkasy" — iż mają przecie do czynienia z narodem, posiadającym swe prawa i przywileje „starożytne," zapewnione im przez sławnych królów, takich nawet jak Batory. Była to oczywiście gra dyplomatyczna ale obustronnie uznawana za potrzebną — przed i po przysiędze nawet perejasławskiéj 1654 r. I téj taktyki trzymali się daléj i późniejsi też autonomiści małorosyjscy.

Na wyosobnioném Zadnieprzu przecie, legenda batoryańska przedstawiała się nie dosyć, widać, ugruntowaną jeszcze, co do saméj zasady. Wypadło ją tedy z biegiem czasu wesprzéć inną, pomocniczą. Gdy tedy po zawarciu traktatu andrusowskiego został r. 1669, z woli carskiéj przeznaczonym na stałą odtąd stolicę hetmanów małorosyjskich Baturyn, wyrasta naraz legenda „baturyńska". Już to nie wystarcza, że sławny król Stefan pierwszy kozaków polityczno-wojennie uorganizował, że usamowolniony przezeń mądrze naród kozacki osypał przywilejami, nadaniami etc. etc. On to właśnie, przezorny dyplomata, a sam bohater, otwarty czciciel bohaterów nizowych, kazał zaraz w pierwszym roku panowania swego wznieść nad Sejmem osobną dla ich hetmanów rezydencyę, a co więcéj, w dowód wysokiego uznania, udzielił jéj własnéj swéj nazwy. Nie mocą też jakiegoś nowego nakazu, lecz w myśl wielkiego planu wielkiego króla, Baturyn jest Małéj Rosyi stolicą: na stolicę narodu kozackiego został on od wieku przeznaczonym; tu miał być też i trybunał najwyższy odrębny!

Kto był inicyatorem téj legendy, pytać próżno: najprędzéj scholastyczni wychowańcy mohylańskiéj w Kijowie akademii, a może i sam—hetman z czasem, (od 1687) p. Jan Mazepa Koledyński, który właśnie w Baturynie knuł i swoje, daleko sięgające plany. Wobec ogólnéj legendy batoryańskiéj, unoszącéj się niby w powietrzu ponad Ukrainą, Baturyn nasuwał się, jakby na dopełnienie jéj, powszechnie widać, kiedy już Kochowski (w Climact. III) królowi Stefanowi przypisuje jego założenie.

Po zburzeniu Baturyna etc. legenda owa z nim związana i tém silniéj jeszcze spleciona z batoryańską, przeszła, jakiesmy to już natrącali, z życia samego w dziedzinę rocznikarską latopisów miejscowych.

Splecione tak z sobą legendy owe nie odrazu przecie występują w kroniczkach małorosyjskich w całéj swéj pełni. Tak „Samowidec," wydany przez Kulisza nie wiele jeszcze co dodaje do Piaseckiego, powiadając, że „przy Stef. Batorym kozacy w lepszy porządek zostali wdrożeni... Dał on im, oprócz ich starodawnego składowego grodu Czehryna (który nb. za jego czasów nie istniał jako miasto) jeszcze Trechtymirów z monasterem, dla zimowych leży..." O Baturynie wcale nie ma mowy. „J. R. Latopisiec" Biełozerskiego wprawdzie dopełnia już podanie powyższe, dodając: „...a dla rezydencyi hetmańskiéj wzniósł (król Stefan), nad rz. Sejmem miasto nowe, i nazwał je od swego przezwiska Batoryn, który dziś zowie się Baturynem..."; ale powiedziawszy to, cofa się niejako jeszcze, robiąc omówienie, że „miasto to (właściwie) nie dla rezydencyi hetmańskiéj założone, lecz król dla siebie je osadził, jako swą majętność, ponieważ w owym czasie w Małorosyi, na téj stronie Dniepru, jeszcze nie było kozaków, ani hetmana, a ono (m. Baturyn) stało się rezydencyą hetmańską tylko... w 1670 r." Dopiéro (długo zagadkowy) autor, tyle rozgłośnéj w swoim czasie „Historyi Rusów", nieśmiałe owe natrącenia rozwinął w całéj pełni.

Były to już czasy Ces. Katarzyny II-éj, czasy pamiętnéj pod jéj imieniem „komisyi" reorganizacyjnéj, (od 1767) która pom. in. miała też za zadanie przystosować i do Małorosyi, gdzie już władza hetmańska została zniesiona, ogólno-państwowe porządki rosyjskie. Że wobec tego autonomiści małorosyjscy, nie tylko stronnicy ukryci separatyzmu ze szkoły Mazepy, lecz i najprawomyślniejsi, pragnęli, usiłowali ratować z dawnych porządków ile się tylko dało—rzecz zrozumiała. Chodziło tu o zbyt ważne interesa, przedewszystkiém zaś o utrzymanie nietykalne polityczno-społecznego stanowiska, jakie sobie, w ciągu zwierzchnictwa już rosyjskiego, zdobył zastęp rodów starszyzny kozackiéj—(warstwa, klasa, klika), który to zastęp stanowił teraz miejscową arystokracyę ziemiańską—szlachtę niby, „dworzaństwo". Stanowisko to zachować by się pewniéj dało w razie utrzymania przy życiu ile można więcéj z dotychczasowéj autonomii. Bronić się zaś było podobnem jedynie tylko na drodze otwartéj, legalnéj, odwołując się do prawowitości; co już prowadziło wprost do posługującéj się historyą kazuistyki. W komisyi owéj „katarzyńskiéj" zasiadali i delegaci małorosyjscy (G. A. Poletyka); na nich więc zaciężył obowiązek ujmowania się za swoje, szermując historycznym legitymizmem kozackim. Gdzie brakło tedy faktów, uciekano się widać do zmyśleń, nie miało to praktycznego skutku, ale pozostał obfity materyał do historycznéj fantasmagoryi, która z czasem przybrała postać, wspomnianéj już „Historyi Rusów".

Utwór ten fantazyjno-historyczny z charakterem politycznego pamfletu, długo wydawany (dla większéj powagi) za dzieło arcyb. Jerzego Koniskiego, powstał właśnie, zdaniem obecnych badaczy przeszłości Zadnieprza (Łazarewskiego, Horlenka i Wasylenka po nich) w domu Poletyków. Z tych ojciec G. A., delegat wspominanéj komisyi za ces. Katarzyny, najenergiczniejszy w niéj obrońca autonomii Małorosyi i najświatlejszy człowiek wśród swoich, zmarły 1784 r. miał przygotować materyał; syn zaś W. G. najprawdopodobniéj nadał dziełu, jako „Historyi Rusów," postać ostateczną (p. „Kij. Star." z 1894 r. n-ra 11 i 12 — „Do dziejów maloruskiéj historyografii"). Utwór to nawskroś politycznéj natury. Gdy autonomia Małorosyi została faktycznie zniesiona, pozostawało tedy wpoić w umysły przyszłych pokoleń żywsze przeświadczenie przynajmniéj, tak o minionéj chwale „sławnego" wojska zaporoskiegò i wogóle całego narodu Rusów (nie Małorosyan), jak tém więcéj jeszcze może o uzasadnieniu jego praw i aspiracyi na ciągłości historycznéj opartém. Wcale też tu pomysłowo wzniesione widzimy zawiłe rusztowanie ciągłości owéj. Domniemany układ perejasławski i wszystko, co z niego bezpośrednio i pośrednio wypływało, oparte tu na wspaniałéj substrukcyi, do dźwignięcia któréj dostarczyły budulcu, nie tylko przewodnicza myśl paktów hadziackich, przesunięta fikcyjnie w głębszą przeszłość, lecz splecione z nią bardziéj jeszcze dowolnie legendy batoryańska z baturyńską. Występują one w „Historyi Rusów" na tle fantastycznego pierwotnych dziejów Rusi południowéj eposu (szczegółów którego nie mamy potrzeby tu dotykać), w poważnéj szacie pozytywnych faktów, na wyraźnych dokumentach opartych, a przyświadczających, że król Stefan ostatecznie obdarował kozaków formalnym aktem nadawczym, w którym zaznaczywszy najprzód zasadniczą „jedność i równość" szlachty ruskiéj ze szlachtą polską i litewską, nakazuje „odprawować sprawy według przystojności" takowych „trybunałowi ruskiemu" — w nowozałożoném mieście naszém (król.) Baturynie, a jak potrzeba wskaże, to i w Czerkasach; też i hetmanowi ruskiemu rezydować w tém mieście, a w Cerkasach mieć namiestnika swego..." Jednćm słowem on już (król Stefan) zapewnił Ukrainie, w zasadzie to, co jéj miała przynieść z czasem umowa hadziacka dopiéro. Wobec czego, wobec owéj niewzruszonéj ostoi historycznéj legitymizmu kozackiego, małorosyjskiego *resp.*, całe następne dzieje Ukrainy i „Rusów", w autonomii swéj upewnionych, były już tylko tyle dyplomatycznćm ile orężnćm, prawowaniem się o nietykalność owéj autonomii — najprzód z Polską, a po zerwaniu z nią i z Litwą troistego od czasów Jagiełowych jeszcze sojuszu i przy-

jęciu dobrowolném paktów perejasławskich — z carstwem moskiewskiem i cesarską Rosyą.

Nie był to przecie, jak wyrokuje o owéj „Historyi Rusów” p. Karpow w polemice swéj z Kuliszem, „najzłośliwszy paszkwil polityczny,” chociaż zgodzimy się z nim chętnie, „iż utwór ten wysoce publicystyczny” obliczony był na zupełne nieuctwo publiczności i literatury rosyjskiéj.” Do czegobyśmy ze swéj strony dodali jeszcze, że dla tém łatwiejszego zapewnienia sobie, iż tak powiemy, *veniam legendi* — bardziéj niż dla podtrzymania małorosyjskiego animuszu, nastrzępiono pamflet ten wszelkiemi rekryminacyami i przeciw Lachom wysuwając naprzód, wśród faktów rzeczywistych, wszystkie téż bajdy, niedorzeczne a krwawe, wymyślone, ukute jako broń w czasie walk namiętnych, co poprzedziły „ruinę.” I istotnie, mimo charakter swój publicystyczny a może dla tego właśnie charakteru, „Historya” ta, jako domniemany upominek narodowi arcyb. Koniskiego, wplatając wszystko — i bajdy i legendy — w misternie wyfantazyowany epos „sławnéj” przeszłości kozackiéj i małorosyjskiego legitymizmu, stała się nie tylko dla prostaczego na Zadnieprzu społeczeństwa ostatniéj ćwierci w. XVIII-go źródłem polityczno-dziejowéj onego świadomości. Podstawy legitymizmu owego, razem z batoryańską legendą, znalazły wiarę i daléj.

Pomysły téż i wymysły „Historyi Rusów” stały się następnie i w pierwszéj połowie bież. już wieku treścią zasadniczą ożywczą wszystkich dalszych opracowań historycznych za Dnieprem, przeszłości Ukrainy dotyczących. Najmniéj może jeszcze dał się niémi unieść Bantysz Kamieński w swéj „Historyi Małéj Rosyi” (1822—30 r.); lecz tyle popularna długo, co i utwór Poletyków, „Hist. Małorosyi” N. Markiewicza (1842—43 r.) jest w istocie swéj powtórzeniem prawie tylko treści tamtego.

Niezależnie też od stopnia akcentowania faktycznych podstaw legitymizmu, czy to kozackiego wogóle czy małorosyjskiego wyłączniéj, legendy same, batoryańska z baturyńską, przechodzą koleją, bez żadnéj już krytyki, na podstawie jedynie owego zmyślonego nadania króla Stefana z dzieła do dzieła — nawet do poważnych wydawnictw. Arcyb. Filaret (Humilewski) w swym „Opis. Czernich. epar.” legendy owe nawet daléj rozwinął i szczegółami własnego pomysłu przyozdobił. Baturyn, powiada on, został założony w r. 1576 na gruncie należącym do króla; „dla zasiedlenia nowego miasta swego, Batory wywoływał ochotników i dawał na urządzenie się po kożuchu i dukacie”. Szczegół zresztą wzięty z „J. R. Latopisu” (Błzr.) i przystosowany tu do-

wolnie, gdy tam mowa o pospolitym (wtedy jakoby) żołdzie kozackim jedynie.

Co zaś do samego Baturyna, faktycznie, tyle tylko możemy powiedzieć nakoniec, że nic go z królem Batorym, oprócz przypadkowéj współbrzmienności nazw, nie wiąże. Przedewszystkiém Baturyn za Batorego, jako miasto, nie istniał wcale! Za panowania króla tego cała Czerniehowszczyzna z Posejmiem należała już oddawna, już od czasów Kazimierza Jagielończyka do carstwa moskiewskiego; rozległy zaś przestwor rozciągający się na wschód osadzonych już rubieży starostwa ostrzskiego (do województwa kijowskiego należącego) ku utraconemu podobnież Putywlowi, pomiędzy Desną i Sejmem a wierzchowiskami Supoju i Suły, chociaż uznawany nominalnie za dziedzinę Rpltéj, był jeszcze wciąż jedném wielkiem „polem jałowém", w całém znaczeniu pustynią. „Uchodnicy" chyba tylko, „sewrucy" siewierscy „brodzili" po niéj, nikt zaś osiadać tam się nie ważył. Jedynym punktem obronnym Rpltéj był tu Ostrz, bliższy Kijowa, gdy na przeciwległym krańcu pustyni rozsiadły Putywl na Sejmie i strzegący moskiewskiéj tam granicy, nie dopuszczał sadowienia się osad kijowskich w pobliżu. Baturyn tedy, bliższy Putywla niż Ostrza, mógł powstać dopiéro po przywróceniu Czerniehowszczyzny, a więc za Zygmunta III-go, po rozejmie dywilińskim 1619 dopiéro, sama zaś nazwa Baturyn, jako miano uroczyska, mogła istniéć (i istniala najpewniéj) jeszcze przed Batorym; nadana owéj miejscowości, choćby od jakiegoś Batura — uchodnika, sewruka, krwi turańskiéj, jakich nie brakowało na Zadnieprzu (p. „Etniczna postać Ukrainy" etc. w Kwart. hist. z 1893). Miano też owo turańskie dość pospolite i prawdopodobnie pokrewnego nazwie „Batory" pochodzenia. Jako osada (miasteczko) powstał zaś Baturyn dopiéro 1625 r., założony „z polecenia króli" przez Macieja Stachórskiego, osadcy Aleks. Piasoczyńskiego, starosty nowogrodzkiego, do którego z urzędu należało osadnictwo nowozdobytych pustyń, (p. Edw. Rul. „Jan Stach." w Dzien. Warsz. 1855 nr 257—262). W czasie wojny z Moskwą 1633 r. Baturyn, już obwarowany widocznie, został zdobytym przez Szeina i zwrócony dopiéro mocą traktatu polanowskiego (Pietrusz. Swod. Let. I — 476 — 481). Zburzono go wtedy niewątpliwie, bo oto (u Swdz.): Wład. IV r. 1634, 30 maja, w obozie pod Szemlowem (między Białą a Polanówką w Smoleńszczyźnie), jakby ponownie „pozwala" Aleks. Piasoczyńskiemu, kaszt. kamien. ułanow. i nowogrodz. stscie, pomiędzy innemi spustoszałemi miejscami w nowogr. ststwie, założyć osadę i „na uroczysku i horodyszczu Baturynie, nad rz. Siemią, w powiecie nowogrodzkim, które zdawna do tego zamku nowogrodzkiego należało..." W r. 1647 Baturyn razem z są-

siednim Konotopem należy już do kanclerza J. Ossolińskiego, który nawet korzysta z pretekstu odwiedzenia nowonabytych dóbr, dla swéj wycieczki dyplomatycznéj na Ukrainę. Po jego zaś śmierci w 1650 r., ogarnięty już wylewem kozackim, przypadł on z prawa, z ręką jednéj z jego córek, na rzecz Lubomirskich. Po odpadnięciu faktyczném od Rptléj Zadnieprza, choć wśród walk jeszcze o nie, miasto to, leżące jakby pośrodku między głównemi połaciami — czerniehowską i kijowską (resp. perejasławską) a tak bliskie zarazem carskiéj (putywlskiéj) granicy, zyskało odrazu na znaczeniu. W r. 1663 tu właśnie ponawiają kozacy układy swe z posłami moskiewskimi. Po zawarciu zaś w r. 1667 traktatu andrusowskiego, niebawem, bo 1669 już roku, zostaje ono zatwierdzoném przez cara Aleksego Michajłowicza na rezydencyę hetmanów małorosyjskich, o czém autor „Historyi Rusów," przypisujący to Batoremu, razem ze swymi naśladowcami, lepiéj pewnie wiedzieli od nas.

Nie dziwimy się przecież, że podobna roztoczonéj w owéj „Historyi Rusów" etc. fantasmagorya historyczna, mogła zapanować na czas w społeczeństwie i piśmiennictwie małorosyjskiém, ale co nie do uwierzenia prawie, że u nas, w biały dzień, przy jasném świetle faktów źródłowo znanych a trzeźwém wypowiadaniu się badaczy poważniejszych, poczęto ją z czasem również przyjmować na seryo, co gorzéj — nie uwolniono się od zanieconego przez nią obłędu całkowicie jeszcze do dziś dnia niemal. Nie stosujemy tego oczywiście do dwóch owych legend, batoryańskiéj z baturyńską, jedynie; lecz do całokształtu, gdyby tak powiedzieć było można, tak zw. „historyi"—Kozaków Zaporoża, Ukrainy, Małorosyi — mniejsza już zresztą o chwiejne same przez się jéj tytuły. Naprawdę, byłoby to nawet nie do uwierzenia zupełnie, gdybyśmy zapomnieli wziąć w rachubę tego, jak sentymentalnie nastroił nas romantyzm, porywając z jednéj strony ku pustym, pod tchnieniem poetyckiéj „szkoły ukraińskiéj," ekstazom, z drugiéj zaś — nastrajając do jakiegoś biernego, naiwnego pokutnictwa za błędy przodków. Co razem wzięte, przy braku trzeźwéj historycznéj krytyki w przeważnéj masie wykształconego społeczeństwa, prowadziło nieświadomie prawie do dobrodusznego poddawania się obcym przywidzeniom!

Odbiło się to nawet i na specyalnych, dotyczących Ukrainy wyłącznie, jeśli nie pracach, bo to nazwa za poważna, to przeróbkach historycznych u nas, jeszcze i na początku drugiéj połowy bież. stulecia. Wtedy, kiedy to powszechniéj niby poczuto potrzebę bardziéj trzeźwego zrozumienia istoty ukrainnych w oddalonéj przeszłości stosunków; lecz zamiast wzięcia się do samodzielnego zbadania krytycznego

odnośnych źródeł — co robiło niewielu tylko badaczy poważniejszych, zaczęto lekkomyślnie przejmować cudze bajdy tendencyjne.

Pierwszy co się dopuścił, w najlepszéj wierze, podobnéj naiwności był Michał Gliszczyński. Najprzód, dla wskazania niby urzędowéj podstawy praw kozaczyzny i wypływającego stąd jéj legitymizmu, podał on w r. 1851 w „Bibl. Warsz.", najpoważniéj w świecie, domniemane (apokryficzne) akta nadawcze Zygm. I-go, Zyg. Aug. i Stef. Batorego, „któremi przyznali (oni) kozakom zaporozkim na własność ziemie, jakie w chwili wydanych przywilejów posiadali." Następnie zaś w r. 1852 wydał i dzieło osobne pod tyt. „Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporoża" (podług Skalkowskiego) oraz „Hetmani małorosyjscy i kozacy do czasów unii."

Dzieło to samo przez się, jako echo jedynie cudzych pomysłów i przywidzeń, nie zasługuje właściwie na traktowanie na seryo. Ale dlatego téż właśnie dotknięcie bliższe powtarzanych przezeń bałamutnych pojęć i zmyślonych faktów, tém żywiéj oświetlić może, co do samych szczegółów, bardziéj ogólnie tylko potrącany przez nas dotąd, zakres i charakter historycznych podstaw mniemanego legitymizmu kozaczyzny. Co więcéj, wskazać może jedną z dróg, jakiemi wkradały się i pomiędzy nas zdawkowe, zdrowego nieraz zmysłu pozbawione pojęcia i sądy o własnéj przeszłości, do dziś może wśród nas pokutujące.

Otóż z dwóch działów zaznaczonych w tytule powyżéj wymienionego dzieła Gliszczyńskiego, pierwszy obszerniejszy, lecz ubocznego dla nas znaczenia, przedstawia zapożyczone u Skalkowskiego („Hist. Nowéj Siczy"—1846) zapatrywanie się na Zaporoże, w epoce (właściwie) po wyosobnieniu się onego z łona Ukrainy, po traktacie andrusowskim etc.; mniejsza już iż sam Skal. charakterystykę owéj epoki rad rozciąga na całą przeszłość kozactwa ukraińskiego wogóle. Chociaż i tu już, we wstępie zaznacza Glisz. pryzmat i własnego do pewnego stopnia rzeczy widzenia. Spotykamy więc oto jakby jego własne tezy:

„Początkiem i pierwowzorem wszystkich kozaków byli zaporozcy kozacy... Z Zaporoża wypłynęła emanacya na Ukrainę, Don, potém Dunaj, Wołgę, Ural i t. d., a jako już emanacya, musiała jakiś typ metropolii zachować..." Zaporoże było samo w sobie oddzielną i niezależną jednostką, przyznającą zwierzchnictwo Polski, a potém Rosyi, ale zawsze na własnych prawach stojącą. „Ukraińscy kozacy byli prawda emanacyą z Zaporoża, ale z różnym już charakterem i widocznym na ich urządzenia wpływem i zależnością od Polski. Zaporoże przeciwnie miało wszystko swoje rodzime..." Nie właściwie (téż)

p. Maciejowski w „Hist. Praw. Słow.” (t. II, 313) wyraża się — hetmani zaporozcy, — bo takich hetmanów nigdy nie było... jak i hetmanów kozackich... Nazwisko i godność hetmana rozciągały się więcej do Małorosyi niż do kozactwa i więcéj do kozaków ukraińskich, a wcale nie do zaporozkich; bo tam najwyższym dowódcą, niezależnym od nikogo i rządcą ziem zaporozkich był ataman koszowy...” Oczywiście, ziem zajętych przez właściwych, różnych od rejestrowych i ukraińskich wogóle, „kozaków zaporozkich, na Zaporożu w Siczy siedzących i zachowujących w czystości obyczaje i zwyczaje kozackie.” Polacy XVI i XVII wieku znali bardzo dobrze (nie tak jak późniejsi historycy rosyjscy) różnicę (między zaporozcami a ukraińcami), kiedy zaporozców przezwali kozakami czyli niżowcami, a Małorosyą wojskiem ukraińskiém, a z pogardą chłopstwem ukrainném”. Towarzystwo zaporozkie było właściwie — któżby o tém wątpił — podobnymże wojennym zakonem, jak znane zachodnie, mającym za główne zadanie walkę rycerską z wrogami krzyża św. etc. Wiadomo téż, iż „Kazimierz W., zawładnąwszy Czerwoną Rusią, zrównał zaraz tamtejszych Greko-Rosyan z katolikami we wszystkich prawach i przywilejach”. Nie uchroniło to przecież kozaków, w dalszym czasie od ucisku religijnego, jakiego dopuszczali się Jezuici — upewnia nas autor — wyższy, jak daje nam zrozumiéć, nad „jezuicki sposób widzenia”. I t. p. i t. p. plątanina luźna, dowolna, rzeczy i czasów już wszędy!

Ale to wszystko nic, w porównaniu z treścią drugiego działu powyższéj M. Gliszczyńskiego pracy, noszącego tytuł „Hetmani małorosyjscy i kozacy do czasów unii”. Tu już w samym tytule co wyraz prawie to *curiosum*: przed unią, czy to polityczną 1569 r., czy religijną 1595 r. małorosyjscy hetmani! Zresztą mniejsza o tytuł. Całe roztoczenie przedmiotu jest tylko niewolniczym do niewytłómaczenia odgłosem aspiracyi znanego pisarzy małorosyjskich historycznego legitymizmu, tyle niewolniczym co naiwnym.

Dowiaduje się tu czytelnik nasz, chyba po raz pierwszy, wielu, wielu bardzo ciekawych rzeczy. Najprzód oto np. że kiedy Jagiełło połączył Litwę i oczywiście „Małorosyę” z Polską, wtedy ustanowiono dla każdego z trzech połączonych narodów oddzielnego hetmana: koronnego, litewskiego i małorosyjskiego. Ten ostatni z prawem namiestnika królewskiego mieszkał w Czerkasach na Dnieprze. Tym sposobem wyróżniły się w tym związku trzy różne pierwiastki: polski, litewski i małorosyjski, każdy z inną mową, obyczajami i zwyczajami”. Co zarazem daje i samemu też autorowi powód do sentymentalnego wylewu swych uczuć i myśli podniosłych na temat, że jednak *fatum* historyczne chciało, iż tak mądre założenie zostało w biegu cza-

su zniweczoném. Gdy nadto wzmocnił to był jeszcze przywiléj zasadniczy dla Małorosyi, zapewniający jéj równe prawa z Litwą i Polską, nadany 1409 r. 13 kwiet. przez Jagiełłę za zasługi hetmana Wenceslawa Swiętoldowicza, który z 37,000 wojska odznaczył się pod Dynaburgiem i Grunwaldem, a potém za 43,000 Małorosyan brał udział w wojnie warneńskiéj. Przywiléj zatwierdzony r. 1435 d. 7 marca przez Władysława Warneńczyka, a następnie zaprzysiężony przez Kaz. Jag. i jego synów. Kazimierz Jagiellończyk przecie nadwerężył prawa i przywileje Małorosyi, usuwając Olelkowiczów i wytwarzając w niéj wwdztwa: ruskie, bełzkie, podolskie, kijowskie etc.

Dzieje pierwotne saméj kozaczyzny podane u Gliszczyńskiego, podług recepty małorosyjskiéj podobnież. Pierwszym tedy hetmanem małorosyjskim (pomijając owego Swiętoldowicza za Jagiełły) jest Przecław Lanckoroński (do 1512 r.), a pierwszym koszowym na Zaporożu Eustachy Daszkowicz (nb. znani nam dobrze ststowie zamków królewskich: jeden koronny, a drugi litewski). Po których, jak naturalna, idzie nieprzerwany chronologicznie szereg następujących po sobie „hetmanów". Z pomiędzy nich kn. Dymitr Wiśniowiecki (1512—1514) „cały poświęcił się urządzeniu wewnętrznemu Małorosyi i odbudował miasta, zamki...", uczczony stąd mianem „ojca ojczyzny". Kn. Eustachy Rożyński (1514 — 34) uorganizował wojsko małorosyjskie: ustanowił 20 pułków, każdy po 2,000 ludzi etc. Wszyscy wpisani w rejestr i pobierający w czasie wojny żołd ze „skarbu" małorosyjskiego etc. Nadto 5 pułków „ochoczo-konnych", zwanych „hultaje". Co wszystko zatwierdził Zygmunt I-szy. Tak zorganizowane w „hetmańszczyznie" wojsko dało niebawem, podczas najazdów tatarskich, dowody swéj waleczności. W następstwie czego „widząc i poważając (ową) waleczność Małorosyan, skłonność ich do wojen, wielu odtąd Polaków zaczęło zaciągać się do małorosyjskich pułków i z dumą nazywać się kozakami". Za hetmaństwa Wężyka Chmielnickiego (1534—1569) występuje 1556 r. na Chortycy, niby koszowy (tylko), ponownie kn. Dymitr Wiśniowiecki (nb. który już przed r. 1514 został był „ojcem ojczyzny"). Ów to hetman wyrobił na sejmie warszawskim w roku 1563 przywiléj Zygmunta Augusta, mocą którego szlachta litewska i ruska porównane zostały w prawach z polską. Za jegoż hetmaństwa, na sejmie w Lublinie 1569 r. połączono nazawsze „Małorosyę" z Polską. Po śmierci Wężyka 1566 r. „wybrano z wojewodów" ks. Michała Wiśniowieckiego, po którego ustąpieniu został hetmanem 1570 r. Grz. Swirgowski. Za jego następcy Teodora Bohdana (1575 — 79) były zlote czasy dla Małorosyi, jak „mówi (świadczy się autor) arcyprzewie-

lebny Koniski"; on téż z Batorym „rozpoczynają drugi okres Małorosyi i kozactwa.

Z imieniem Batorego związana też oczywiście znana legenda. Zygmunt III-ci zaś „zaczął swe rządy od prześladowania kozaków". „Aby przeszkodzić zaporozkim i małorosyjskim kozakom" w niepokojeniu Turków, poddano ich 1589 r. pod władzę hetmanów koronnych etc. „Ale to było tylko początkiem nieszczęść Małorosyi i kozaków"; rozsrożyły się one bardziéj skutkiem „rozdwojenia religijnego". Co razem wzięte, sprowadzając dotkliwy ucisk, popchnęło kozaków do buntów, szereg których rozpoczął Kosiński.

A przeplecione to wszystko u Gliszczyńskiego całym zastępem jeszcze bajd i zmyśleń podobnie niedorzecznych, odniesionych do „Małorosyi" i „małorosyjskich" kozaków głównie, o istnieniu których nikt w owéj epoce jeszcze się nie domyślał, późniejszych nowotworów nie przeczuwał.

Ale widocznie nie było nam tego jeszcze dosyć: w parę lat po Gliszczyńskim wystąpił 1854 r. Jan Nepomucen Czarnowski z dwutomowém nawet dziełem p. t. „Ukraina i Zaporoże, czyli historya kozaków od pojawienia się ich w dziejach do czasu ostatecznego przyłączenia ich do Rosyi". Stanowi ono jakby dopełnienie tylko, a zarazem szersze rozwinięcie przeróbki tamtego i podobnież nie zawiera w sobie żadnego samoistnego poglądu. Za źródła tu służą jedynie „znakomite", jak autor nas wtajemnicza, prace Bantysza-Kamieńskiego, Markiewicza i Skalkowskiego. Z góry tedy już wiemy, po tém wszystkiém czegośmy już wyżéj dotykali, jaką mogła być myśl przewodnia i jakie być mogło na podobnych podstawach osnute, samo roztoczenie przedmiotu w tego rodzaju kompilacyjnéj elukubracyi.

Jest téż to istotnie tenże sam, znany nam już dobrze, pseudo-historyczny epos, wymarzony przez legistów czy legitymistów kozakofilstwa przedostatniéj doby, ogarniający już i całą epokę „sławy kozackiéj" po unii. Ale wielce by się zawiódł, ktoby przypuszczał, że to wiązanka rycerskich, a choćby nawet pirackich, hajdamackich, rapsodów tylko. Pomiędzy podstawowe, zasadnicze legendy kozackiego, małorosyjskiego legitymizmu, naiwny w swéj poczciwości autor, idąc za przykładem swych wzorów, wplótł zarazem nietylko wszelkie wymysły bałamutne, lecz nikomu nic nieszkodzące, niewinne! Powtórzył on niemniéj tendencyjne wszystkie kłamstwa umyślne, krwawéj, podżegawczéj natury, sięgające swym początkiem epoki domowych na Ukrainie walk rozpasanych. Nie tu miejsce na dotykanie szczegółów, zbyt ich zresztą wiele. „Przejęty podziwem", jak na wstępie oświadcza, dla sławnych czynów niżowego rycerstwa—z jednéj strony, z dru-

giéj zaś—bezwzględném zaufaniem do „znakomitych" powag, od których brał treść i natchnienie, nie zdobył się Czarnowski na nic trzeźwiejszego ponad automatyczne powtarzanie wzorów. Nieuniknioném nawet to było, ile że pozbawiony zupełnie zmysłu krytycznego, nie był on w stanie oryentowania się wśród owych wymyślnych bajań, przetykanych, jakby tylko dla niepoznaki, wątkiem faktów prawdziwych. Brak ten zmysłu krytycznego potęgowała w nim jeszcze całkowita nieznajomość, tak rozważanego kraju, jak i dziejów ogólnych Rzpltéj. Stąd plątanina pojęć najprymitywniejszych nawet: np. Ukraina — tyle co Ruś, jedno i drugie — tyle co Małorosya, ta ostatnia, jak i u Gliszczyńskiego, zaznaczona wtedy, kiedy o nazwie téj w dziejach wcale jeszcze nie słychać; kozacy — tyle co Rusini i odwrotnie i t. d. Stąd podobnież nie do pojęcia łatwe przyjmowanie najniedorzeczniejszych zmyśleń na wiarę, „na kwitek", jak mówią na Ukrainie, tak iż nieraz się zdaje, iż majaczy on jak w gorączce, plecie trzy po trzy — jak na mękach! Co przykrzejsze nad to: pod wpływem dogasającego romantyzmu, truchleje on sentymentalnie pod brzemieniem, nie istotnych—co byłoby słuszném, lecz fikcyjnych win przeszłości i korzy się przed ideałami, przez legitymizm kozacki czy małorosyjski, wytworzonemi, nie zdolny zrozumiéć należycie względnego ich tylko znaczenia.

Ale jakżeśmy dziś już dalecy od tego wszystkiego. Ideały kozackiego legitymizmu zupełnie zgasły, aspiracye małorosyjskie, jako takie, straciły dawną swą żywotność, życie obecne ku innym zadaniom zmierza. W zakresie też nauki historycznéj inny powiew, inny zwrot. Nowsi badacze małoruscy calém swém gronem prawie, pomijając dawne rekryminacye powszednie, bezcelowe, pytają bardziéj o prawdę, rozważają przeszłość coraz trzeźwiéj, coraz głębiéj, przedstawiają takową coraz obiektywniéj. U nas podobnież badania samodzielne się ożywiają, krytyka historyczna niepomiernie spotężniała. Takie dzieła, jak powyższe, któremi obdarzono piśmiennictwo nasze, już na początku drugiéj połowy bieżącego wieku, wyglądają dziś jako liche partactwo, świadczące jedynie o psychopatycznym nastroju chyba społeczeństwa, co wbrew bardziéj wytrawnemu sądowi poważniejszych ówcześnie badaczy własnych, mogło jednak zarazem nietylko je tolerować, ale nawet dać się niém bałamucić.

Tak, odbiegliśmy daleko od czasu, kiedy jeszcze podobne bałamuctwa były w dobréj wierze przez przeciętnego czytelnika przyjmowane. Ale nie łudźmy się tém, jakobyśmy już zupełnie wolni byli od resztek owych niedorzecznych, niezdrowych naleciałości, wolni od śladów nawet obłędu. Pokutuje jeszcze w umysłach naszych niejedno wyobrażenie, przekonanie z epoki romantyzmu datujące, a których

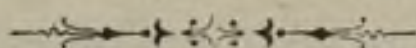
trzeba się pozbyć ostatecznie. Tém bardziéj, że nawet dotąd powtarzana bywa najspokojniéj w świecie, w poważnych pracach i wydawnictwach, i nie jedna téż z fikcyjnych tez podstawowych kozackiego legitymizmu; pomiędzy innemi zaś sławne legendy batoryańska z baturyńską. Przecież jeszcze nasz stateczny „Słownik geograficzny" podaje wyraźnie: „Baturyn założony w r. 1576-ym przez Batorego i naznaczony na miejsce pobytu hetmanów zaporozkich". A czasby już bajki „pomiędzy bajki włożyć", dopytując się tém silniéj prawdy istotnéj.

Aleksander Jabłonowski.



O PRZESYŁANIU MYŚLI.

(Według pracy doświadczalnéj Lehmana i Hensena [1]).



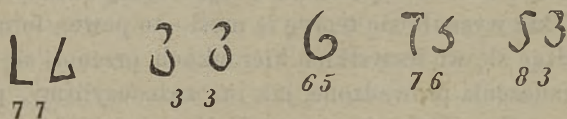
Medyumizm, spirytyzm i t. d. są ciągle jeszcze kwestyami interesującemi żywo nie tylko jednostki, lecz i większość ogółu inteligentnego. Obok szarlatanów spekulujących na łatwowierność, spotykamy ludzi naukowo wykształconych, poświęcających czas i wysiłek na zbadanie tych „tajemniczych zjawisk.” W wielu téż wypadkach badania takie uwieńczone są corocznie pomyślnym skutkiem i przyczyniają się do rozszerzania wiary w siły nieznane i zjawiska nadprzyrodzone. Jedną z takich kwestyi jest tak zwane „przesyłanie myśli.” Badania wykonane przez osoby wiarogodne zdają się potwierdzać fakt iż myśl może być przeniesiona na inną osobę, że wyobrażenie powstałe w umyśle jednego udziela się innemu w téjże saméj formie. Dla objaśnienia tego faktu wysnuło się teoryę iż myśl—to pewna forma *fluidum*, które rozchodząc się we wszystkich kierunkach przenosi się z osoby na osobę. Doświadczenia prowadzone, jak już zaznaczyliśmy, przez osoby zupełnie wiarogodne, zdają się rzeczywiście mniemanie to potwierdzać. Psychologia doświadczalna trzyma się dotychczas od wszystkich takich i tym podobnych kwestyi zdaleka. Przyczyną tego będą zapewne znane przykłady, gdzie uczeni tacy jak Wundt, Zölner etc. zostali oszukani, narażając swą sławę naukową. Znanym jest przykład ze

---

[1]) Philosophische Studie: Tom XI. Zeszyt IV.

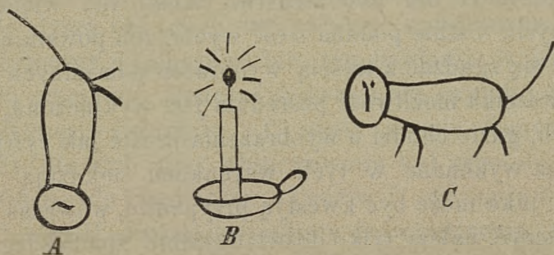
słynnym niegdyś Sladem, nie obcym i Warszawie, przykład z E. Palladino, którą potém zdemaskowano w Anglii. Jest więc to objawem odwagi, jeżeli psycholog eksperymentator z zawodu, zajmie się pytaniem, wątpliwéj wartości. Kwestyą przesyłania myśli zajął się A. Lehman badacz duński znany już w nauce i Hensen. Rezultaty badania są tak ciekawe, iż zasługują na zapoznanie z niemi polskich czytelników.

Myśl—to *fluidum* rozchodzące się na podobieństwo fal, które mogą być odbite przy pomocy zwierciadeł. Oto punkt wyjścia teoryi spirytystycznych. Jeżeli zwierciadła są wklęsle, wówczas fale te muszą ześrodkowywać się w ognisku, przez co działanie ich zostaje spotęgowaném. W badaniach nad przenoszeniem myśli używano téż dwóch zwierciadeł wklęsłych, w ogniskach których znajdują się głowy osób. Jedna z nich jest czynną (agent), druga poddaje się działaniu (recypient). Zadaniem agenta było silne patrzenie na cyfrę lub przedmiot, ewentualnie myślenie o cyfrze lub przedmiocie, recypient powinien był siedziéć możliwie bezmyślnie, oczekując aż w świadomości jego pojawi się jakikolwiek obraz. Obraz ten powinien on był o ile się da dokładnie odrysować, starając się o podobieństwo rysunku do obrazu zjawionego w jego wyobraźni. W ten sposób, powiada Lehman, wykonaliśmy 15 doświadczeń nad przenoszeniem wyobrażeń cyfr i przedmiotów na które jeden z nas (agent) ze skupioną uwagą patrzył, a drugi był recypientem. Rezultat doświadczeń — początkowo przynajmniéj — wysoce nas zastanowił, gdyż zdawał się potwierdzać mniemanie zwolenników teoryi fluidu. Wkrótce jednak okazało się, że zgodność była złudzeniem. Fig. 1 przedstawia doświadczenia pomyślne. Szereg górny podaje rysunki wykonane przez recypienta, szereg dolny cyfry na które patrzył agent. Porównanie obydwu szeregów pokazuje iż obrazy powstałe w wyobraźni recypienta posiadają formę bardzo nieokreśloną; tylko dobra wola pozwala większość rysunków rozpatrywać jako cyfry. Często téż recypient zupełnie inaczéj pojmował



rysunek, aniżeli tego wymagało pozorne podobieństwo. Tak np. cyfrę pierwszą czytał Lehman jako 16, powinna ona była przedstawiać 77. Podobieństwo jéj do 77 staje się dopiéro widoczniejszém, gdy obrócimy rysunek. Doświadczenie to było pierwsze, które uważaliśmy za pomyślne. Zagłębiliśmy się téż w rozmyślaniach nad przyczynami jakie

mogły wpłynąć na odwrócenie obrazu. Zdawało nam się początkowo, iż jest to wpływ zwierciadeł, dopiéro dalsze doświadczenia przekonały nas, iż zwierciadła nie grają tutaj żadnéj roli i że decydującą jest chęć nadania rysunkowi pożądanego znaczenia, ponieważ figury narysowane są zwykle niedokładne, więc też nietrudno jest znaleść podobieństwo tam gdzie podobieństwa tego właściwie nie ma. To mimowolne łudzenie się jest szczególniéj widoczne w następującém doświadczeniu. Chodziło o przesłanie rysunku. Osoba czynna wpatrywała się w rysunek przedstawiający lichtarz ze świécą. Osoba bierna odrysowała po pewnym czasie obraz jaki stanął w jéj wyobraźni. Recypientem był Lehman który narysował figurę 2 *A* i podał ją Hensenowi. Ten odnalazł zaraz żądane podobieństwo pomiędzy rysunkiem agenta i oryginałem fig. 2, *B*. Rzeczywiście podobieństwo pewne, szczególniéj przy dobréj woli można znaleść. Rysując jednak figurę Lehman miał na myśli kota narysowanego tak, jak go rysują dzieci. Podobieństwo



rysunku do rysunku kota staje się widoczniejszém jeżeli fig. *A* nadamy formę *C*. Przykład ten jest ważnym, jeżeli uwzględnimy, że doświadczenia tego rodzaju wprowadziły w błąd uczonego francuskiego Richet'a. Nie ulega jednak wątpliwości, iż takaż sama różnica pomiędzy znaczeniem, jakie nadaje rysunkowi recypient, a znaczeniem, jakie otrzymuje przez porównanie z oryginałem, istnieje w przeważającéj ilości badań tego rodzaju. Ponieważ jednak za recypientów służą przeważnie osoby histeryczne, łatwo podlegające suggestyi i słabéj woli, przeto fakt ten zaciera się. Osoby histeryczne dają sobie łatwo wmówić, iż nadawały rysunkowi znaczenie, jakiego wymaga udanie się doświadczenia.

Porównanie rysunków jakie podaje Richet popiéra to twierdzenie w wysokim stopniu. Rezultaty doświadczeń wykonanych w powyżéj opisany sposób, dają się więc zupełnie naturalnie objaśnić. W przeważnéj liczbie wypadków, przy których znaleziono podobieństwo, podobieństwo to jest ułudne. W stosunkowo nieznacznéj tylko ilości

wypadków, oryginał i rysunek reprodukowany są rzeczywiście zgodne. Zdarza się to jednak tak rzadko, iż słusznie należy to uważać za rzecz przypadkową. Rachunek prawdopodobieństwa poucza, iż przypadek taki nie jest niemożliwym. Przeważna ilość z rezultatów zgodnych jest tylko złudzeniem. Przy dobréj woli można znaleść podobieństwo pomiędzy rysunkiem i oryginałem tam, gdzie bez znajomości oryginału niemożliwém jest odgadnąć co rysunek przedstawiać powinien. Gdy zaś uwzględnimy, że recypient pojmuje wogóle rysunek swój inaczéj od tych, którzy rysunek ten następnie porównywają z oryginałem, to należy wyprowadzić wniosek, iż przenoszenie myśli w powyższéj formie nie zostało przez nikogo dowiedzionéni doświadczalnie. Objaśnienie to nie da się jednak stosować tam, gdzie warunki doświadczenia wykluczają wszelką dowolną interpretacyę. Dzieje się to wówczas, gdy agent zamiast patrzéć na rysunek lub cyfrę, myśli o cyfrze tylko, koncentrując na nią całą swą uwagę i gdy recypient wyraża słowami wyobrażenie powstałe w jego umyśle, tutaj nie może już być mowy o dowolnéj interpretacyi lub podobieństwa mniéj lub więcéj zbliżonéni, przesłanéj myśli. Ustnie podana treść wyobrażeń powstających u recypienta, może się zgadzać z treścią wyobrażeń pomyślnych przez agenta lub téż nie, wszelka możliwość pośrednia jest wykluczona, szczególniéj w wypadkach, gdzie chodzi o wyobrażenia proste jak cyfry. Gdy więc doświadczenia wykonane w tych warunkach pokazują większą zgodność od téj, jaka może być kwestyą przypadku, wówczas fakt sam nie da się zaprzeczyć, należy tylko doświadczalnie zbadać jego przyczynę.

Przyczyn takich może być kilka. Jedną z nich jest umyślne oszustwo przy pomocy znaków dla otoczenia niedostrzegalnych, agent i recypient mogą porozumiewać się pomimo ścisłéj nawet kontroli. Znanym jest przykład sióstr Creesy, które przez długi czas z powodzeniem prowadziły swe rzemiosło. Nie zawsze jednak objaśnienie takie wystarcza, tak np. oszustwo jest wykluczone w wypadkach, gdzie osobom biorącym udział w doświadczeniu nie zależy na ich udaniu lub nieudaniu się. Doświadczenia takie podejmowane były także przez osoby zupełnie wiarogodne, gdzie samo nazwisko badaczy usuwa wszelkie podejrzenie. Gdy więc i w takim razie rezultaty pokazują znaczną ilość doświadczeń pomyślnych, wówczas należy szukać innéj przyczyny. Do takich badań zaliczyć należy badania prof. Sidgwick, który operując z cyframi 1-go otrzymywał do 30% wypadków zgodnych. Według rachunku prawdopodobieństwa przypadek mógł by dopuścić tylko 1 — 2%. Badania téż Sigdwicka powtórzyli Lehman i Hensen. Zaraz na początku doświadczeń zwrócili oni uwagę na fakt, nie nowy zresztą w psychologii, iż koncentrowanie myśli na jakiekol-

wiek cyfry, pociąga za sobą mimowolną innerwacyę mięśni krtani, czego rezultatem jest wypowiedzenie nazwy cyfry, zjawisko to znane ogólnie pod nazwą „mowy wewnętrznéj”, która towarzyszy każdemu myśleniu. Mamy tutaj do czynienia z faktem ogólnym, iż koncentrowanie myśli na ruchu pewnym pociąga za sobą mimowolny słaby popęd do wykonania ruchu.

Spostrzeżony fakt nasunął Lehmanowi natychmiast myśl, iż ten właśnie „szept mimowolny” jest właściwą przyczyną przesyłania myśli. Mniemanie to zostało zupełnie potwierdzone doświadczalnie. Przytłumienie „mowy wewnętrznéj” robiło wszelkie przesyłanie myśli niemożliwém. Pozostawało więc tylko zbadać jakie wyniki dadzą doświadczenia bez przytłumienia mimowolnego szeptu i porównać rezultaty te z wynikami otrzymanemi przez zwolenników teoryi fluidyzmu. Zgodność rezultatów pozwala wnioskować o zgodności przyczyn, jeżeli warunki doświadczenia pozostają bez zmiany. Dodać należy przytém, iż ten szept mimowolny jest tak cichy, iż osoby obecne przy doświadczeniu nic nie słyszą i że mniéj wyćwiczony spostrzegacz z łatwością zjawisko to przeoczy u samego siebie, tém bardziéj, iż jest ono niedostrzegalne dla otoczenia. Podczas doświadczeń swoich Lehman i Hensen zapraszali często świadków. Ci nigdy się nie domyślali prawdziwéj przyczyny, dla nich fakt obserwowany był zupełnie niezrozumiałym. — Przejdźmy do rezultatów. Tabela I obejmuje ilość wyników zgodnych. Litera H. obejmuje rezultaty doświadczenia, gdzie Hensen był recypientem, litera L. rezultaty doświadczenia, gdzie Lehman był recypientem; podana jest absolutna suma dobrze podanych cyfr i stosunek procentowy do ogólnéj liczby cyfr „przesłanych”, ponieważ zaś pomyślanemi były zwykle cyfry dwuznakowe, podajemy więc osobno wyniki gdzie cała liczba była dobrze odgadnięta i wyniki, gdzie tylko jedna cyfra była odgadnięta.

Tabela I.

Recypient	H.		L.	
	ilość razy	% w stosunku do ogólnéj ilości cyfr	ilość razy	% w stosunku do ogólnéj ilości
Cała liczba została dobrze odgadnięta	86	34	80	32
Jedna cyfra została dobrze odgadnięta	99	40	107	43
Cała liczba była fałszywa	65	26	63	25

Rezultaty zestawione w tabeli pierwszéj pokazują, jak tego należało się spodziéwać, znaczniejszy procent zgodności, aniżeli to mógł uskutecznić przypadek. Objaśnienie faktu tego podaliśmy. Szept mimowolny, niedosłyszalny dla otoczenia, przenikał do ucha recypienta i był powodem, iż nasuwająca się mu na myśl cyfra, była cyfrą pomyślaną. Zrozumiałém także jest, dlaczego szept ten słyszany był przez recypienta. Głowa agenta i głowa recypienta znajdowały się w ognisku zwierciadeł wklęsłych. Szmer najlżejszy, wychodzący z jednego ogniska, skupiał się ześrodkowany w drugiém. Widzimy téż, iż ogólny procent wypadków zgodnych, jaki otrzymano w badaniach duńskich zgadza się z rezultatami badań angielskich. Dla udowodnienia dokładnego, jednak, iż rzeczywiście szept był jedyną przyczyną, należy bliżéj rozpatrzéć ogół rezultatów. Szczególniéj ważnemi muszą być popełniane błędy, jeżeli przekonamy się, iż rodzaj błędów jest uwarunkowany niedokładném zrozumieniem szeptu, wówczas fakt spostrzeżony staje się pewnym. Tabela II-ga podaje wyniki, otrzymane przez Hansena jako recypienta; tabela III wyniki otrzymane przez Lehmana; tabela IV ogólną sumę. Tabele te pokazują, jakiemi cyframi cyfra dana najczęściéj zastąpiona była:

Tabela II-ga. Recypient H.

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	26	2	3	4	7	—	4	3	1	1	51
2	—	22	2	4	2	1	6	5	1	1	44
3	—	—	38	2	7	2	3	2	1	1	56
4	3	1	3	35	10	—	1	4	2	—	59
5	1	2	2	4	37	1	4	—	1	—	52
6	1	2	3	1	8	17	17	2	2	—	53
7	2	5	2	6	9	2	29	3	—	1	59
8	3	1	7	2	2	1	3	41	2	1	63
9	1	5	2	5	4	1	4	3	19	2	46
0	2	—	2	1	1	—	2	1	—	8	17
Suma	39	40	64	64	87	25	73	64	29	15	500

Tabela III-cia. Recypient L.

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	22	3	1	2	5	1	—	—	6	—	40
2	—	38	11	2	4	3	1	6	5	—	70
3	—	2	43	1	1	2	1	2	—	1	53
4	3	5	2	36	7	—	4	1	1	1	60
5	2	4	3	2	37	6	3	1	—	—	58

6	1	—	7	5	12	21	3	1	1	—	51
7	6	4	5	5	6	6	15	1	5	—	53
8	1	4	5	1	1	2	2	30	2	—	48
9	4	1	6	4	2	4	—	4	19	—	44
0	1	—	1	—	5	2	3	2	—	9	23
Suma	40	61	84	58	80	47	32	48	39	11	500

Tabela IV-ta. H. + L.

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	48	5	4	6	12	1	4	3	7	1	91
2	—	60	13	6	6	4	7	11	6	1	114
3	—	2	81	3	8	4	4	4	1	2	109
4	6	6	5	71	17	—	5	5	3	1	119
5	3	6	5	6	74	7	7	1	1	—	110
6	2	2	10	6	20	38	20	3	3	—	104
7	8	9	7	11	15	8	44	4	5	1	112
8	4	5	12	3	3	3	5	71	4	1	111
9	5	6	8	9	6	5	4	7	38	2	90
0	3	--	3	1	6	2	5	3	—	17	40
Suma	79	101	148	122	167	72	105	112	60	26	1.000

Dla łatwiejszego zrozumienia rezultatów, musimy podać nazwy cyfr duńskich. Ponieważ zaś rezultaty badań Lehmana muszą być porównane z pracą angielską, dołączamy jednocześnie nazwy angielskie. Nazwy te są: jeden--*one*, *en*; dwa—*two*, *to*; trzy—*three*, *tre*; cztery — *four*, *fire*; pięć--*five*, *fem*; sześć—*six*, *sex*; siedm—*seven*, *syv*; ośm — *eight*, *otte*; dziewięć—*nine*, *ni*; dziesięć—*ten*, *ti*. Wymowa cyfr duńskich jest bardzo zbliżona do wymowy cyfr angielskich, różnica w pisowni zaciéra się do pewnego stopnia w mówieniu. Wzgląd ten pozwala bezpośrednio porównywać rezultaty badań duńskich i angielskich. Gdy więc porównanie to wykaże, iż tak ilość wypadków zgodnych, jak i charakter błędów, wykazują ten sam stosunek, wówczas uprawnionym będzie wniosek, iż przyczyny rezultatów były w obudwu razach też same. Przyczynę tę odkrył Lehman, jest nią mimowolny szept.

Rozpatrzmy szczegółowiéj wyniki badań Lehmana. Przedewszystkiém należy zaznaczyć wielką ilość cyfr odgadniętych dobrze. Podana przyczyna objaśnia fakt ten dostatecznie. Że jednak przyczyna ta rzeczywiście działała, pouczają nas błędy. Okazuje się, iż przyczyną błędu było podobieństwo spółgłosek w wyrazach szeptanych. Tak np. zarówno Lehman, jak i Hansen, popełniali najczęściéj błąd zamieniając cyfry cztery (*fire*) i pięć (*fem*), cyfrę ośm (*otte*) i trzy (*tre*)

i t. d. Łatwo także można zauważyć pewną indywidualną skłonność L. zamienieniem łatwo jeden *(en)* i dziewięć *(ni)*, H. znów jeden *(en)* i pięć *(fem)*. Pokazuje się także, iż przy szeptaniu powstają błędy niemożliwe przy głośném wypowiadaniu cyfr. Tak np. podczas szeptu zastępują się często *s* i *f* w wyrazach *fire*, *fem*, *se* i t. d.

Na zasadzie powyższych przyczyn musimy przyjąć za pewnik, iż w badaniach duńskich szept mimowolny był jedyną przyczyną podobieństwa cyfr pomyślanych i odgadniętych. Nie myśl została przesłana z agenta na recypienta, lecz dźwięk, wprawdzie tak słaby, iż dla najbliżéj stojących niedosłyszalny. Pozostaje daléj tylko wykazać, iż badania angielskie, które według badaczy dowodzą przesyłania myśli, wykazują téż same cechy, co i badania duńskie. W tym celu zestawiamy rezultaty badań angielskich:

Tabela V-ta (badania angielskie).

Cyfra pomyślana	Cyfrę pomyślaną zgadnięto następującą ilość razy, jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	43	18	20	17	22	13	10	13	6	2	168
2	10	54	21	12	8	9	6	8	8	4	140
3	14	24	54	11	15	13	11	7	9	5	160
4	21	16	22	52	13	10	11	6	9	3	169
5	7	9	12	16	35	19	7	8	7	3	128
6	12	11	12	12	11	46	14	13	3	3	140
7	13	21	13	11	15	16	40	8	4	2	145
8	11	7	26	13	13	12	14	34	7	5	147
9	4	5	11	2	6	3	5	6	19	9	71
0	7	6	10	8	9	7	8	2	16	19	82
Suma	142	171	201	154	147	148	126	105	78	55	1,356

Porównajmy rezultaty zestawione w tabeli IV i V-éj. Jak już zaznaczyliśmy, pomiędzy nazwami cyfr angielskich i duńskich istnieje wielkie podobieństwo. Jeżeli więc zestawimy błędy popełniane w badaniach angielskich i duńskich, odnajdziemy, iż posiadają one jednakowy charakter, wówczas prawdopodobieństwo, iż rezultaty angielskie są wynikiem tychże przyczyn, staje się bardzo wielkiém. Tabela VI-ta podaje w zestawieniu, przez jakie cyfry cyfra w nagłówku była najczęściéj zastąpioną. Błędy wspólne obu grupom są podane czcionkami grubszemi. Szereg górny przedstawia rezultaty z pracy angielskiéj, szereg dolny — z pracy duńskiéj. Cyfry następują po sobie według stosunku ilościowego, w jakim popełniane były błędy.

Tabela VI-ta.

Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane:	1	2	3	4	5
w badaniach angielskich	5324	3416	2516	3125	6432
„ duńskich	5942	3874	5678	5123	6742
Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane:	6	7	8	9	0
w badaniach angielskich	7834	2651	3745	3085	3547
„ duńskich	7534	5421	3721	4385	5738

Widzimy, iż w pracy angielskiéj jeden zastąpione było najczęściéj przez pięć, następnie trzy, dwa, cztery; w pracy duńskiéj przez pięć, dziewięć, cztery, dwa. Z ogólnéj sumy czterdziestu rodzajów zamian, 28 jest wspólnych obudwu pracom. Obok tego pięć razy zgadzają się ze sobą cyfry wyrażające błędy najczęściéj popełniane. W obudwu badaniach 1 było najczęściéj zamieniane przez 5; 2 przez 3; 5 przez 6; 6 przez 7; 8 przez 3. Jeżeli więc uwzględnimy z jednéj strony istnienie pewnéj indywidualnéj skłonności do pewnych błędów, z drugiéj znów, iż badania prowadzone były w językach różnych, chociaż do siebie zbliżonych, wówczas możemy powiedziéć, iż zupełnie będzie uprawnionym wniosek, iż w obudwu badaniach przyczyna zgodności rezultatów była wspólną i że badania angielskie, przedstawiające rezulaty przenoszenia myśli, przedstawiają także wynik mimowolnego szeptu, który zauważyli badacze duńscy.

Badacze angielscy przypuszczają, iż nieznane dotychczas *fluidum*, przenosząc się na recypienta, jest powodem zgodności rezultatów. Potwierdza według nich przypuszczenie to fakt, iż popełniane błędy są tegoż samego rodzaju, co i błędy popełniane przy określaniu nazwy cyfry nadzwyczaj krótko, a więc niedokładnie widzianéj. *Fluidum* przenosiłoby więc obraz cyfry pomyślanéj na recypienta i powodowało u tegoż wrażenie niedokładnie widzianéj cyfry. Aby ocenić wartość tego przypuszczenia, badacze duńscy postanowili zbadać rodzaj błędów, popełnianych przy określaniu cyfr nadzwyczaj krótko widzianych. Przy pomocy odpowiednio urządzonego przyrządu, który pozwalał daną cyfrę widziéć przez krótką tylko chwilę, zrobiono 1,500 doświadczeń, których wyniki zestawiamy w tabeli VII-éj.

Tabela VII. H. i L.

Cyfra widziana	Cyfra widziana odczytaną została jako: 1	2	3	4	5	6	7	8	9	0	Suma
1	90	9	9	15	5	8	12	5	3	3	159
2	8	85	7	11	5	10	9	6	6	8	155

3	1	18	61	9	12	17	5	18	17	2	166
4	17	7	7	80	8	7	10	8	9	5	158
5	6	9	14	9	77	9	10	7	13	2	156
6	3	9	10	10	7	76	8	12	10	8	153
7	7	4	3	18	5	8	101	5	8	5	164
8	6	6	15	19	8	21	10	59	16	—	160
9	2	9	14	11	7	17	9	8	68	15	160
0	6	—	5	8	1	1	3	1	6	44	75
Suma	146	156	145	190	135	174	177	129	156	91	1,500

Tabela ta potwierdza wynik *a priori* słuszny, iż powodem błędów popełnianych jest tutaj forma cyfr. 1 zostaje najczęściéj zamienione przez 4, 7 i t. d. Jeżeli teraz porównamy rezultaty zestawione w téj tabeli z rezultatami pracy angielskiéj i porównamy znów ilość i jakość błędów (Tabela III), wówczas otrzymamy wyniki odmienne aniżeli na tab. VI.

Tabela VIII.

Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane	1 przez	2 przez	3 przez	4 przez	5 przez
w badaniach angielskich	5 3 2 4	3 4 1 6	2 5 1 6	3 1 2 5	6 4 3 2
w badaniach zestawionych w tabl. VII	4 7 2 3	4 6 0 7	2 8 6 9	1 7 9 5	3 9 7 6
Następujące cyfry były najczęściéj zamieniane	6	7	8	9	0
w badaniach angielskich	7 8 3 4	2 6 5 1	3 7 4 5	3 0 8 5	3 5 4 7
w badaniach zestawionych w tabl. VII	8 9 3 4	4 6 9 1	6 4 9 3	6 0 3 4	4 9 1 3

Ilość błędów jednakowych wynosi tutaj tylko 22. Poprzednio gdzie rezultaty angielskie porównywano z rezultatami otrzymanemi przy pomocy szeptu mimowolnego, ilość błędów jednakowych wynosiła 28. Raz jeden tylko zgadzają się przytém błędy najczęstsze, cyfra 3 najczęściéj zamienianą była przez **2**.

Nie będziemy streszczali tutaj wyliczeń opartych na rachunku prawdopodobieństwa, popierających rozumowanie, iż przyczyną zgodności rezultatów pracy angielskiéj i duńskiéj musi być szept mimowolny. Kilka słów tylko poświęcimy pytaniu, dla czego szept nie jest dosłyszany przez otoczenie. Pytanie to poddał Lehman także starannemu badaniu i potwierdził zresztą *a priori* słuszne przypuszczenie, że przyczyny téj szukać należy w warunkach rozchodzenia się fal głosu. Badania nad przesyłaniem myśli udają się tylko wtenczas, gdy sprzyjają temu warunki przy jakich rozchodzi się dźwięk. Warunki takie istnia-

ły przy doświadczeniu, ponieważ używano zwierciadeł. Ogólnie biorąc doświadczenia takie, udają się téż tylko w pewném miejscu danego pokoju, i są zależne od formy tegoż. Miejsce to jest miejscem, do którego fale najlatwiéj wchodzą. Lehman i Hensen poddali warunki te starannemu badaniu, którego tutaj nie powtarzamy. Ażeby doświadczenie swoje oprzéć na zupełnie ścisléj podstawie dołączają oni do nich studyum nad mimowolnym szeptem i jego formami. Ciekawych musimy odesłać do oryginału.

Dr. W. H.



TEORYA HANDLU.

Pomimo że często słyszy się i czyta o „pracy twórczéj”, myliłby się ten, ktoby chciał brać wyrażenie to w dosłownem znaczeniu, gdyż praca twórcza ma zwykle oznaczać jedynie pracę produkcyjną, jakkolwiek i to ostatnie określenie rzadko bywa używane z należytém zrozumieniem. Pamiętajmy jednak o tém, że człowiek nic stworzyć nie może, nie jest w stanie powiększyć ilości materyi planety, którą zamieszkuje, ani o jeden atom, może jedynie zmieniać układ części owéj materyi, modyfikować jéj własności, zwiększać użyteczność jéj dla siebie i ujarzmiać siły przyrody; w tym tylko ściśle ograniczonym zakresie można posługiwać się wyrażeniem: praca twórcza. Wynika z tego, że pracą wogóle należy nazywać wszelką modyfikacyę materyi i sił przyrody, mającą na celu zaspakajanie materyalnych lub moralnych potrzeb ludzkich; jest to określenie pracy, któremu współczesna nauka przyznała pierwszeństwo przed innemi pod względem jasności i ścisłości.

I.

Istotą i zasadniczą czynnością handlu jest zamiana, znajduje się téż ona na dnie wszystkich, na pozór najbardziéj złożonych operacyi finansowych. W pierwotnéj fazie życia ekonomicznego występowała w prostéj, właściwéj sobie, formie zamiany przedmiotów na przedmioty, z biegiem czasu jednak, pod wpływem wzrostu podziału pracy,

a tém samém ruchu handlowego, potrzeba szybkiego i łatwego obiegu skłoniła do zastąpienia pierwotnéj, prostéj zamiany, podwójną czynnością kupna i sprzedaży pewnego, ogólnie poszukiwanego towaru, zwanego monetą, który służy do upraszczania i ułatwiania stosunków handlowych tam, gdzie producentów i konsumentów oddziela mniéj lub więcéj znaczna przestrzeń lub też zróżniczkowanie zajęć. Moneta oddaje jeszcze tę ważną usługę, że bywa używana za wspólną miarę wartości zamiennéj wszystkich towarów, będących w handlu, przy jéj pomocy człowiek potrzebuje jedynie znać stosunek jéj wartości do wartości zamiennéj towarów, z któremi ma do czynienia, kiedy bez niéj potrzebowałby znać stosunki wartości zamiennéj wszystkich owych towarów pomiędzy sobą, co przedstawiałoby w praktyce nieprzezwyciężone trudności i przeszkody, paraliżujące wszelki ruch handlowy.

Moneta oraz wielce skomplikowany, nowoczesny mechanizm kredytowy zakryły niemal zupełnie przed oczami ogółu zasadniczą funkcyę handlu i stały się przyczyną wielu błędnych i szkodliwych o nim sądów. Chcąc zrozumiéć dokładnie, czém jest handel i jakie posiada znaczenie społeczne, należy przedewszystkiém zapomniéć na chwilę o monecie, kredycie i wszystkich drugorzędnych zjawiskach i okolicznościach ekonomicznych, jakie mu zwykle towarzyszą, a miéć jedynie na uwadze zamianę samą w sobie i dobrze rozważyć nietylko jéj skutki bezpośrednie, lecz i dalsze mniéj widoczne konsekwencye.

Handel jest koniecznym wynikiem podziału pracy i towarzyszy wszędzie wzrostowi jéj produkcyjności; dopóki każdy produkował to tylko, czego mógł sam potrzebować i w tak małéj ilości, że wszystko sam zużytkował, wszelka zamiana była nietylko zbyteczna, lecz niemożliwa, gdyż producent i konsument mieścili się w jednéj osobie. Jakkolwiek dziś trudno nam wyobrazić sobie stan społeczny, w którym każdy mógłby zaspakajać sam wszystkie swe potrzeby, niemniéj istniał on kiedyś niezaprzeczenie; wielkie niezaludnione przestrzenie oddzielały wówczas od siebie pojedyńcze plemiona i rodziny, pośród których przemysł zaledwie począł się ukazywać, stosunki zamienne nie istniały, a przechodzenie bogactw z rąk do rąk odbywało się jedynie drogą rabunku i grabieży.

Pojawienie się zamiany i handlu każą przypuszczać wysoki względnie stopień rozwoju społecznego; aby módz zamieniać swe bogactwa na bogactwa sąsiada, musiał człowiek przedewszystkiém produkować tyle, aby po zaopatrzeniu siebie i rodziny część bogactw pozostawała mu bez użytku, a nadto, musiał znaléść kogoś będącego w tém samém położeniu, lecz zarazem w posiadaniu innego zbywającego produktu; prócz tego, trzeba było, aby zbytnie oddalenie nie stawa-

ło zamianie na przeszkodzie, gdyż pierwotne środki komunikacyi, polegające przeważnie na spławie rzecznym, musiały zakreślać stosunkom zamiennym granice bardzo ciasne.

Niedogodności te zostały usunięte w znacznéj mierze przez wprowadzenie monety; potrzeba towaru pośredniego, będącego miarą wartości wszystkich innych towarów, dawała się czuć wszędzie w pewnym okresie handlu zamiennego; zanim przybrała formę drogich kruszców, jaką posiada obecnie, ukazywała się pod najrozmaitszemi postaciami, zależnie od miejscowych warunków, będąc zawsze i wszędzie towarem pewnego zbytu i ogólnego zapotrzebowania. U ludów, stojących na niskim stopniu cywilizacyi tak w starożytności, jak i nam współczesnych, funkcyę monety spełniają skóry, zboże, kawałki soli, ryby suszone, różne ozdoby, broń, narzędzia, jedném słowem wszystko, co odpowiada wyżéj wzmiankowanym warunkom; gdy przyszła kolej na kruszce, poczęto używać bronzu, miedzi, a wreszcie złota i srebra. Tak więc złota lub srebrna moneta, jak dowodzi jéj pochodzenie, jest towarem jak każdy inny, drogie kruszce zaś dlatego zostały ostatecznie przyjęte za narzędzie zamiany, że posiadają w najwyższym stopniu wymagane od monety warunki: we względnie małéj objętości mieszczą wysoką wartość, nie ulegają zniszczeniu, i z łatwością przenoszone bywają z miejsca na miejsce, wreszcie, co najważniejsza, wszędzie są chętnie przyjmowane. To téż należy pamiętać, że moneta nie posiada żadnych specyalnych własności i nie jest, jak sądzi nieukształcony ogół, bogactwem *par excellence*, lecz jedynie towarem pośrednim, narzędziem zamiany i niczém więcéj; pomimo pozorów, mogących łatwo wprowadzić w błąd, w rzeczywistości odgrywa ona w handlu rolę drugorzędną, nie jest celem, lecz środkiem, — nie na to sprzedajemy, aby mieć piéniądze, lecz na to, aby za owe piéniądze módz się zaopatrzyć w potrzebne nam przedmioty, albo użyć ich w inny sposób, stosownie do naszéj woli.

Panuje wielce rozpowszechnione przekonanie, że handel nie jest pracą produkcyjną, że nic nie wytwarza; lecz jest zjawiskiem ekonomicznem, zbytecznem, bez którego społeczeństwa obejść się mogą i powinny; zwłaszcza handlujący nie cieszą się uznaniem i sympatyą ogółu, uważani byli zawsze za pasorzytów, wyzyskujących łatwowiernych, rekrutowali się dawniéj wyłącznie z niższych, pogardzanych warstw społecznych, handel zaś uważany był za zajęcie poniżające, hańbiące nawet, niegodne człowieka uczciwego i dobrego urodzenia, jak o tém świadczą prawodawstwa starożytne i średniowieczne, zakazujące wprost wyższym warstwom zajmować się handlem, a których duch przetrwał aż do naszych czasów pod postacią odnośnych przesądów.

Potrzeba było bezstronnéj i subtelnéj analizy nauki współczesnéj, aby dokładnie określić miejsce i znaczenie handlu w życiu ekonomiczném społeczeństw; błędne i sprzeczne ze sobą zdania, panujące w téj kwestyi, nie prędko ustąpią przed odkryciami nauki, jednak i wpośrod pospolitego ogółu daje się zauważyć zwrot ku bardziéj sprawiedliwemu ocenianiu ważnéj roli, jaką zwłaszcza w nowożytnych społeczeństwach cywilizowanych odgrywają pośrednicy.

Wniknąwszy głębiéj w istotę handlu, nie trudno dostrzedz, że odpowiada on w zupełności określeniu pracy powyżéj podanemu przez nas; handel wymaga ze strony człowieka zabiegów i wysiłków myśli i woli, jest zajęciem produkcyjném, gdyż zarówno jak rolnictwo i przemysł rękodzielniczy, zwiększa wartość produktów, a często wytwarza nawet całą ich użyteczność. Jakkolwiek nie zmienia on układu części materyi i wzajemnego ich stosunku, zmienia jednak własności materyi w stosunku do człowieka, pozwalając producentowi pozbywać się przedmiotów, które mu są zbyteczne, a tém samém nie mają dlań żadnéj wartości, aby je przenieść tam, gdzie będą one mogły zadowolnić jakieś racyonalne potrzeby ludzkie; czyli, że, zmieniając miejsce i posiadacza, handel nadaje przedmiotom właściwe przeznaczenie i stwarza nietylko wartość zamienną towarów, ale i ich użyteczność względnie do konsumentów, czyli wartość społeczną, gdyż dostarcza konsumentom tego, czego im potrzeba, a bez czego byliby narażeni na brak i cierpienia. Tak więc wartość zamienna i użyteczność przedmiotów, zarówno jak i ogólny dobrobyt w ścisłéj znajdują się zależności od stopnia rozwoju i ożywienia, w jakim znajduje się handel w danéj chwili; bez niego stosunki ekonomiczne pomiędzy jednostkami nie istnieją. Powiększając użyteczność, jaką bogactwa mogą mieć dla człowieka, handel pomnaża wielokrotnie rezultaty jego pracy, dlatego też w klasyfikacyi zajęć ludzkich został pomieszczony tuż obok rolnictwa i przemysłu rękodzielniczego, pod nazwą przemysłu zamiennego.

Gdyby, jak to pospolicie utrzymują, przy wszelkiéj zamianie jedna ze stron oszukiwała drugą i dostawała mniéj, aniżeli daje, albo chociażby tylko taką samą ilość i jakość bogactw, zamiana w saméj rzeczy byłaby szkodliwa, a przynajmniéj zbyteczna, a handel pracą nieprodukcyjną; łatwo się jednak przekonać, że tak nie jest i że przy każdéj zamianie zrobionéj w normalnych warunkach obiedwie strony tylko zyskać mogą. Zbytecznem wydaje nam się zastrzeżenie, że, rozpatrując teoryę handlu, nie będziemy zajmować się sprzedażą przymusową pod licznemi jéj postaciami, która się odbywa wbrew prawom ekonomicznym i wbrew woli jednéj ze stron; możemy tu mówić jedynie o zamianie zwykłéj, normalnéj, wynikającéj z obopólnéj zgody bez

żadnego zewnętrznego nacisku i obcéj interwencyi. Nie ulega wątpliwości, że w takich warunkach jedynie korzyść stron kieruje dokonywanemi tranzakcyami, nikt nie kupuje tego, z czego nie miałby użytku, ani nie pozbywa się rzeczy, które mu są potrzebne, czyli że przy każdéj tranzakcyi przedmiot, zmieniając właściciela, zyskuje tém samém na użyteczności, ma jéj więcéj dla kupujących, aniżeli miał dla sprzedającego. Błędne jest też twierdzenie, jakoby zamieniano jedynie przedmioty równéj wartości, gdyby tak było, cóżby komu przyszło z zamiany? Każdy pozostawałby przy swojém. Wyprodukowawszy, dzięki podziałowi pracy i ulepszeniom technicznym, znacznie więcéj, aniżeli może skosumować, człowiek zamienia zbywające mu, a tém samém bezużyteczne, przedmioty na inne użyteczne i w tym to fakcie, że bogactwa zyskują na wartości, przez to samo, że przechodzą z rąk sprzedającego do rąk kupującego, streszcza się właśnie ekonomiczne znaczenie handlu i cała jego filozofia. Ów przyrost wartości przedmiotów, pochodzący z zamiany, sprawia, że coraz większa ilość potrzeb może być zaspokojona, można więc rzec z całą ścisłością naukową, że handel powiększa ilość wyprodukowanych bogactw, gdyż bogactwem nazywamy to wszystko, co może zaspokoić racyonalne potrzeby ludzkie.

Tak istnienie handlu jak i wszelkie dodatnie jego rezultaty zawdzięczamy pośrednikom, oni to są łącznikami pomiędzy producentami i konsumentami, których często oddzielają morza i oceany; bez interwencyi pośredników, którzy ich zbliżają, byliby oni dla siebie równie obcy, jak gdyby zamieszkiwali różne planety, a większość produktów codziennego użytku nie istniałaby dla nas wcale: „Czy kawa istnieje dla paryżanina, jeżeli mu jéj nie przywiozą? — zapytuje Maurycy Block. — Przecież nie mógłby posyłać co dzień rano kucharki do Brazylii!”

Jeżeli działalność kupców i pośredników, czyli tych wszystkich, którzy ułatwiają zamianę i nią kierują, jest pracą produkcyjną, jakeśmy się to starali dowiéść, słusznie należy im się za ich pracę, rozwinięte przy niéj zdolności, oraz niezbędne wiadomości praktyczne, wynagrodzenie w stosunku do usług, jakie oddają, a określone prawem popytu i podaży. W skład wynagrodzenia tego wchodzą jeszcze koszta przewozu towarów, premia asekuracyi od nieodłącznego ryzyka, procent od włożonego kapitału, jego amortyzacya, koszta sprzedaży detalicznéj, oraz przeróżne opłaty; wszystkie te pozycye muszą wpływać na wzrost cen, pośrednik sprzedaje drożéj aniżeli kupuje, należy jednak pamiętać, że zaledwie małą część owéj różnicy zyskuje on dla siebie. Ci, którzy nie zdają sobie sprawy ze szczegółów operacyi handlowych, a z których składa się tak zwany ogół, sądzą, że kupcy robią wszyscy

złote interesy, że nakładają na towary ceny dowolne i tak producentów, jak konsumentów, trzymają w swych rękach; stąd przeróżne zarzuty, niechęć, a często nienawiść i prześladowanie. W rzeczywistości systematyczne wyzyskiwanie producentów i konsumentów przez pośredników rzadko się zdarza, gdyż trzeba na to wyjątkowych okoliczności, warunków, o które coraz trudniéj, przy ulepszeniach wprowadzonych do środków komunikacyi; trzeba na to, aby usunięta była wszelka konkurencya i aby mógł się wytworzyć faktyczny monopol handlowy. Dlatego też wszelkie środki legalnéj interwencyi, mające na celu ochronę przed wyzyskiem pośredników, zawsze wprost przeciwny odnoszą skutek, gdyż ubezwładniając ich działalność i utrudniając istnienie, zmniejszają tém samém ich liczbę i zamiast usuwać monopol, sami sztucznie go wytwarzają. Jedynie swobodna i ożywiona konkurencya zdolna jest regulować normalnie stosunki handlowe.

II.

Z praw natury, które rządzą pracą ludzką, najdonioślejsze znaczenie, ze względu na stopień produkcyjności, jaki może ona osiągnąć, posiada prawo ekonomii sił, objawiające się stałém dążeniem każdego do wyprodukowania jaknajwiększéj ilości bogactw, kosztem jaknajmniejszego wysiłku i trudu; z dążenia tego wypływa w znacznéj mierze postęp ekonomiczny i wzrost dobrobytu, prawo ekonomii sił nie przestaje działać ani na chwilę, ukazuje się zawsze z równą siłą i stanowczością; nie ma ludzi, którzyby mu nie podlegali, najpracowitsi nawet starają się o to, aby ich wysilki były wynagradzane jaknajwiększym rezultatem, ci zaś, którzy nie mają celu tego na względzie i lubią wysiłek dla samego wysiłku, niezależnie od tego, co on im przynieść może, nie oddają się pracy lecz zabawie; są to sportsmeni, którzy nie kierują się zasadą użyteczności, lecz zadawalniają tak zwane potrzeby sztuczne (*faux besoins*), ktore pochłaniają w społeczeństwach cywilizowanych niezmierne ilości bogactw materyalnych i moralnych. Są to jednak wyjątki, z któremi nie potrzebujemy się liczyć. Można więc śmiało twierdzić, że pracą produkcyjną, a nawet produkcyą fałszywych bogactw, zadawalniających owe sztuczne potrzeby, rządzi wyłącznie prawo ekonomii sił i że człowiek w zwykłych warunkach stara się zawsze wyciągnąć ze swéj pracy jaknajwiększe korzyści. Zbyteczném byłoby dowodzić sprawiedliwości i słuszności tego dążenia, zarówno jak i wysokiéj doniosłości jego znaczenia społecznego; wszyscy wiemy, że każdy stracony wysiłek jest stratą nigdy niepowetowaną nietylko dla je-

dnostki, lecz i dla społeczeństwa. („*What's done, cannot be undone.*” Macbeth). Co się zrobi, odrobić się nie da, to też od chwili zniesienia niewolnictwa nikt w zasadzie nie ma prawa wymagać od drugich, aby pracowali napróżno, a praca syzyfowa uchodzi dotąd za jedną z najcięższych kar, jakie podobało się kiedykolwiek bogom zesłać na ludzi.

Inną zasadą sprawiedliwości społecznéj, równie racyonalną i słuszną, a pozostającą w ścisłym związku z zastosowaniem bez ograniczeń prawa ekonomii sił, jest dowolne rozporządzanie przez jednostki posiadanemi przez się bogactwami, czyli prawo własności. Innémi słowy, w zwykłych warunkach normalnych, każdy powinien mieć zupełną swobodę, gdy chodzi o sposób w jaki ma konsumować swe bogactwa, o określenie użytku jaki ma zrobić z rezultatów swéj pracy, gdyż doświadczenie uczy, że ze wszystkich decydujących powag i władz, jakie w podobnych razach mogą być używane, interes osobisty każdego jest najpewniejszym i najmniéj omylnym sędzią. Jeżeli przy teoretyczném rozpatrywaniu powyższéj kwestyi nie wszyscy zgodzą się na zupełną swobodę indywidualną wydatków, w praktyce wydaje się ona oczywistą i bezwzględną; w każdym szczególnym wypadku właściciel jest i powinien być zawsze jedyną decydującą instancyą, gdy chodzi o nadanie przeznaczenia bogactwom będącym w jego posiadaniu i nikomu nie przyjdzie na myśl stosować się w takich razach do woli swego sąsiada.

A jednak tak prawo ekonomii sił jak i prawo własności bywają nieuznawane i nieopatrznie podporządkowywane panującym przesądom w jednym z najważniejszych procesów życia społecznego, mianowicie w handlu; ludzie skądinąd rozsądni i uczciwi, którzy nie wątpią ani na chwilę o słuszności i użyteczności prawa własności i przyznają każdéj jednostce zupełne prawo do powiększania stopnia produkcyjności swéj pracy, nie spostrzegają doniosłéj roli, jaką dwie te zasady sprawiedliwości odgrywają w handlu i w praktyce, gwałcąc je bez wahania, zadają produkcyi bogactw dotkliwe ciosy, tamują najżywsze i najobfitsze jéj źródła i narażają społeczeństwa na nieobliczone straty i cierpienia.

Zgodnie z dwoma powyższemi zasadami, nie może ulegać wątpliwości, że człowiek, jeżeli mu się podoba zamienić jakiś przedmiot będący w jego posiadaniu, na inny, który wydaje mu się potrzebniejszym, ma prawo to uczynić w sposób i na warunkach, jakie mu się wydają najdogodniejsze, byleby uszanował równe prawa drugiéj strony; może sobie wybrać przedmiot który będzie odpowiadał najlepiéj jego interesom, gustowi, potrzebom, nikt lepiéj od niego samego uczynić tego nie może, a gdyby nawet mógł, to nie ma do tego żadnéj racyi,

żadnéj zasady, żadnego prawa, gdyż podobne mieszanie się w cudze sprawy byłoby oczywistém pogwałceniem prawa własności, sprzeciwiałoby się nie tylko zasadom racyonalnéj, wyrozumowanéj sprawiedliwości, ale nawet pospolitego tak zwanego zdrowego rozsądku. To téż każdy, gdy chodzi o zamianę tak wyprodukowanych jak wogóle posiadanych przez siebie bogactw, powinien miéć pozostawioną zupełną swobodę działania, powinien módz zbywać i nabywać to co chce, gdzie chce i kiedy chce.

Niestety zasada ta bywa bardzo często puszczana w zapomnienie, w praktyce; obok zobopólnéj zgody stron, która powinna być w handlu jedynym decydującym czynnikiem, występują czynniki, względy obce, których celem jest stawać zgodzie téj na przeszkodzie, a mające swój wyraz we wszelkiego rodzaju ograniczeniach, jakim handel prawie wszędzie podlega.

Istniała niegdyś teorya, obecnie porzucona przez naukę, głosząca, że najważniejszym warunkiem dobrobytu społeczeństwa jest aby w handlu zewnętrznym wywóz przewyższał przywóz, gdy tym jedynie sposobem można sprowadzać do kraju i gromadzić złoto, które było wówczas uważano za bogactwo *par excellence*. Teorya ta, znana w nauce pod nazwą równowagi handlowéj, bezzasadna i fałszywa, opanowawszy sfery rządzące, w zastosowaniach swych okazała się zgubną, zwłaszcza dla Hiszpanii, która pomimo olbrzymich ilości złota, jakie czerpała ze swych nowych posiadłości amerykańskich, z powodu złéj polityki ekonomicznéj już od Karola V-go poczyna się chylić do upadku. Dziś wiemy, a historya Hiszpanii jest najwymowniejszym tego dowodem, że złoto nie jest jedyném bogactwem, że względnie do ludzkich potrzeb wartość jego jest nieznaczna, na nazwę zaś bogactwa zasługuje o tyle o ile w handlu odgrywa rolę towaru pośredniczącego czyli monety; ilość złota powinna być ograniczona i odpowiadać ściśle potrzebom obiegu, gdyż skoro go jest za wiele, jak każdy towar spada w cenie, będąc zaś samo miarą wartości, podnosi tém samém ceny wszystkich innych towarów i wprawia przemysł i handel w ruch sztucznéj, gorączkowéj działalności, po którym przychodzi epoka depresyi i apatyi, znana pod nazwą kryzysu lub stagnacyi. Stan taki przechodzimy i odczuwamy właśnie w téj chwili, jest on reakcyą po sztuczném podniesieniu cen i co za tém idzie, gwałtownym wzroście produkcyi spowodowanym odkryciem kalifornijskich kopalni złota w pierwszéj połowie naszego wieku. Złota napłynęło wtedy dużo, ilość monety wzrosła, cena jéj spadła a więc ceny produktów wzrosły. Później stało się przeciwnie, w miarę jak poczęło złota ubywać, szło ono w górę a ceny pro-

duktów spadały, stąd stagnacya. Tak więc złota i wogóle monety nie powinno być ani za wiele, ani za mało.

Jakkolwiek merkantylizm przestał już istnieć a współczesnéj polityce ekonomicznéj nie chodzi jedynie o wyławianie cudzego złota i gromadzenie go u siebie, szczątki i ślady dawnéj teoryi dziś jeszcze są widoczne w ograniczeniach, jakim podlega handel międzynarodowy: przywozić jaknajmniéj, wywozić jaknajwięcéj, starać się aby wywóz przewyższał przywóz, oto ideał, do którego dążą w handlu zewnętrznym ci wszyscy, którym obce są dotąd najcenniejsze zdobycze naszéj nauki. A jednak już blisko sto lat jak dowiedzieliśmy się od Say'a że przywóz musi zawsze prędzéj czy późniéj zrównać się z wywozem: — „*Les produits se payent en produits*" — powiada on, bo czyż przy zamianie produktów dwóch danych krajów można przypuścić, aby którykolwiek z nich chciał oddawać produkta swe za darmo, nic odbierając nic wzamian? Kraj, któryby stale wywoził więcéj aniżeli przywozi, zubożałby w krótkim czasie, jeżeli zaś statystyki komór celnych zdają się dowodzić czego innego, to jedynie dzięki temu, że są nie ścisłe, gdyż nie mogą skontrolować wywozu i przywozu pod wszystkiemi, rozlicznemi ich postaciami. W rzeczywistości statystyki celne pokazują że w krajach bogatych, które przodują innym na polu produkcyi, jak naprzykład Anglia i Francya, przywóz roczny bywa stale większy od wywozu, gdyż kraje te posiadają znaczne ilości kapitału lokowanego za granicą, od którego odsetki pod postacią towarów lub papierów międzynarodowego obiegu powracają do właścicieli. Prócz tego należy pamiętać, że handel z zagranicą wtedy tylko może być korzystny, jeżeli importowane towary przewyższają swą wartością towary eksportowane. Dowody, jakie dają dane statystyczne Anglii i Francyi, zgadzają się w zupełności ze zdaniem Say'a w tym przedmiocie, który powiada: — „*Plus le commerce qu' on fait avec l'étranger est lucratif, plus la somme des importations doit excéder celle des exportations*" — oraz ze zdaniem Bastiata, który dodaje: „*La vérité est qu'il faudrait prendre la balance du commerce au rebours et calculer le profit national dans le commerce extérieur par l'excédent des importations et des exportations.*"

III.

Istnieje jeszcze inna szkodliwa teorya polityczno-ekonomiczna, ograniczająca handel ze względów źle zrozumianego patryotyzmu, a jest nią protekcyonizm, którego zwolennicy starają się stawiać zapory handlowi zewnętrznemu pod pozorem opieki nad miejscowym przemy-

słem lub rolnictwem; w tym celu wywierają oni nacisk na władze publiczne, aby te za pomocą gry taryf celnych przeszkadzały przywozowi tych produktów zagranicznych, które robią konkurencyę produktom miejscowym.

Taryfy celne dzielą się na dwie kategorye, jedne mają znaczenie fiskalne, służą za źródło podatkowe i przyczyniają się do powiększenia dochodów publicznych, drugie są protekcyjne, mają jedynie na celu, podnosząc ceny importowanych produktów, utrudniać ich zbyt na rynkach wewnętrznych, a bywają często tak wysokie, że wprost uniemożliwiają import niektórych produktów i noszą wtedy nazwę ceł zakazowych (*Droits prohibitifs*). Pomiędzy zwykłemi taryfami celnemi a taryfami protekcyjnemi istnieje zasadnicza różnica, pierwszym nic nie można zarzucić, stosują się one do potrzeb budżetowych, jest to podatek, wprawdzie nie zbyt wygodny, ale podatek i nic więcéj; charakter ten jest powodem, że cła podatkowe nigdy zbyt wysokie nie bywają, gdyż nie mają bynajmniéj na celu zmniejszania ilości importowanych towarów; przeciwnie, ponieważ chodzi o to, aby źródło owego podatku nie wysychało lecz było jaknajobfitsze, cła podatkowe bywają normowane w ten sposób, aby nie tamowały handlu zewnętrznego; dla tego téż bywają one zwykle nieznaczne, gdyż inaczéj chybiałyby zupełnie, swego celu.

Inne, wprost przeciwne są pobudki, kierujące stronnikami ceł ochronnych, nie chodzi im bynajmniéj o korzyści, jakie owe cła mogą przynieść skarbowi, lecz o to aby o ile można utrudniły towarom zagranicznym dostanie się na rynki krajowe; stosują się one zwykle do produktów, których przemysł krajowy dostarcza, lecz po cenie wyższéj, aniżeli przemysł zagraniczny; ostatecznym więc celem ceł ochronnych jest zniesienie konkurencyi zagranicznéj i stworzenie sztucznego monopolu dla producentów krajowych, a to w celu zapewnienia wysokich zysków téj lub owéj specyalnie interesującéj gałęzi przemysłu. Zdawałoby się, że taki stan rzeczy nie pozostawia nic do życzenia i musi zadowolnić każdego: dzięki opiece celnéj, konkurencya zagraniczna zostaje usuniętą, przemysł krajowy może spokojnie się rozwijać, ma zapewnione rynki zbytu, a piéniądze... (echo dawnego merkantylizmu) nie są wywożone za granicę lecz pozostają w kraju.

Tak byłoby w istocie, gdyby nie to, że wszelka opieka kosztuje... i to kosztuje kogoś i że chcąc ochraniać i faworyzować pod jakiemikolwiekbądź względami jednych, można to robić jedynie kosztem drugich. Musi się znaleść ktoś, kto płaci koszta monopolu, jaki wytwarzają wszelkie cła ochronne, nadwyżka cen, jaką dostają producenci krajowi, wolni od konkurenci zagranicznéj, musi być brana z czyjéjś

kieszeni, z kieszeni jakichś filantropów mimowolnych a są nimi konsumenci. Zdawałoby się, że zgodnie z prawem roporządzania swą własnością, każdy może zaopatrywać się w potrzebne mu produkta tam, gdzie może ich dostać jaknajtaniéj, czyli największą ilość, gdyż w ten sposób podnosi stopień produkcyjności swéj własnéj pracy, któréj rezultat musi wzamian ofiarować; protekcyoniści są jednak innego zdania, ustanawiają oni cła ochronne, aby zmusić konsumenta do kupowania tam, gdzie im się podoba, to jest tam, gdzie drożéj, czyli, że przy każdéj tranzakcyi wyjmują kupującym z kieszeni pewną sumę, aby ją włożyć do kieszeni faworyzowanych producentów. Oto co powiada w tym przedmiocie Herbert Spencer: „Wszakże nie da się zaprzeczyć, że jeżeli dla utrzymania dochodów *A*. zabrania się *B*. kupować od *C*., lub jeżeli nakłada się nań karę pieniężną w postaci cła wchodowego w wypadkach kiedy kupuje od *C*, że wtedy dokonywa się grabież na *B* w celu ochrony *A*. Co więcéj protekcyoniści zasługują podwójnie na miano grabieżców, gdyż dla przysporzenia dochodów jednemu producentowi nakładają haracz na dziesięciu spożywców."

Naturalnie że popełniając czyn, będący w tak rażącéj sprzeczności z zasadą sprawiedliwości, muszą protekcyoniści starać się go uzasadnić, muszą miéć jakieś pozory słuszności. Oto są argumenty, jakiemi się zwykle posługują, rozpoczynając swą kampanię. Jeżeli znajdzie się w kraju pewna gałąź przemysłu, która nie może wytrzymać konkurencyi z takimże przemysłem zagranicznym, albo musi się z tą konkurencyą liczyć z powodu, że koszta odnośnéj produkcyi są w kraju wyższe aniżeli za granicą, protekcyoniści alarmują społeczeństwo, dowodząc, że ów przemysł jest zagrożony w swym bycie, że konkurencya zagraniczna grozi mu zagładą, że należy go podtrzymać i podźwignąć za jakąbądź cenę, gdyż praca i byt tysięcy rodzin od istnienia jego zależą. Pominąwszy to, że filantropia powinna być dobrowolną i że wszelka dobroczynność przymusowa jest niesprawiedliwą, szkodliwą i wysoce demoralizującą, przekonano się że protekcyonizm nie przynosi społeczeństwom, które go stosują, oczekiwanych korzyści, lecz że przeciwnie naraża je na odwet ze strony sąsiadów i wojny celne, o których słusznie powiedziano: że jakkolwiek bezkrwawe, sprowadzają równie wielkie klęski i zniszczenie; chociaż i bez reakcyi zewnętrznéj i wojen taryfowych, przynoszą cła ochronne, same w sobie, karę za to, że usiłują stawać w poprzek działaniu naturalnych praw ekonomicznych.

Cła ochronne nie bywają nigdy nakładane na produkta, których mogą dostarczyć główne gałęzie przemysłu krajowego, gdyż te opieki nie potrzebują, rozwijają się dzięki sprzyjającym naturalnym warun-

kom i są dość silne aby bez niczyjéj pomocy i przymusowych ofiar, nie tylko wytrzymać na rynkach wewnętrznych konkurencyę zagraniczną, lecz aby za granicą wytrzymać konkurencyę z tamtejszemi produktami. Zboże rosyjskie, wino francuskie, maszyny angielskie nie potrzebują opieki władz publicznych, warunki ekonomiczne i koszta produkcyi sprawiają, że są one głównemi artykułami handlu zewnętrznego owych państw, opuszczają swe ojczyzny, aby iść zaspakajać potrzeby obcych, są przez nich pożądane i konsumowane, pozwalając w zamian swym ojczyznom zaopatrywać się w produkta obce, których nie posiadają.

Do opieki władz państwowych odwołują się inne gałęzie przemysłu, te mianowicie, które wykwitłe na niewłaściwym sobie gruncie, wywołane sztucznie, czy to chwilową potrzebą, czy manią naśladownictwa, czy jakiemiś błędnemi teoryami polityczno-ekonomicznemi, wegetują nędznie i są tak bezsilne, że lada prąd silniejszéj konkurencyi zagranicznéj zagraża ich istnieniu. Słyszymy wtedy o nich, że przechodzą kryzys, że się nie opłacają, że grożą upadkiem i że należy niezwłocznie przyjść im z pomocą a to w imię patryotyzmu, miłości bliźniego, dla dobra ogółu i t. d. Wtedy to, jak powiada Fr. Bastiat, przy pomocy zaciągniętego od obywateli podatku, najęci bywają ludzie, których przeznaczeniem i obowiązkiem jest stać u granic państwa, zwracać z drogi tychże obywateli ile razy będą oni mieli ochotę przekroczyć te granice, aby się zaopatrzyć u sąsiadów w produkt jakiego protegowanego przemysłu miejscowego, czyli kupić taniéj i w lepszym gatunku to, co u siebie muszą przepłacać a brać co im dają.

Dochodzimy tu do jądra naszéj kwestyi, panuje przekonanie, że przemysł który się **nie opłaca** właścicielowi, czyli naraża go na straty, skoro za pomocą ceł ochronnych zostanie sztucznie podtrzymany, czyli skoro straty swe zacznie płacić społeczeństwo, **opłaci się** społeczeństwu, że ogół zyska na takiéj manipulacyi, że bogactwo narodowe wzrośnie. Otóż tak nie jest, gdyż przekładając z jednéj kieszeni do drugiéj, nic się nie zyskuje a traci się czas oraz wszystko to, co jednostka albo społeczeństwo w przeciągu tego czasu konsumuje; nie należy zapominać, że społeczeństwo żadnego bytu osobistego, indywidualnego, nie posiada, że byt jego składa się z bytów składających go jednostek, że zmuszając konsumentów to jest ogół do kupowania drożéj niż mogą, odbiéra się im części ich własności, aby ją oddać małéj, nieznacznéj liczbie protegowanych przemysłowców; że przemysłowcy ci są podtrzymywani i utrzymywani nie kosztem mieszkańców księżyca, lecz kosztem swych własnych współobywateli, że pochłaniają systematycznie części bogactw narodowych a témsamém ubożą, nie zaś

wzbogacają swe społeczeństwo i że wreszcie zupełna ich zagłada stokroć korzystniéj oddziała na dobrobyt ogółu, aniżeli owe sztuczne istnienie anemiczne, otrzymywane kosztem ciągłéj transfuzyi kapitału, owéj krwi ekonomicznego życia, z jednostek zdrowych i silnych w organizmy skazane prędzéj czy późniéj na zagładę i których byt zależy jedynie od łaski i fantazyi prawodawczéj.

Pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia najsilniejszy argument, którym przeciwnicy nasi obałamucają opinię publiczną—obrona pracy narodowéj i przemysłu miejscowego. Cóż się stanie — pytają oni — z owemi tysiącami robotników, których wolność handlu pozbawia pracy? z upadkiem i zagładą gałęzi przemysłu, wymagających ceł ochronnych, zostaną oni i ich rodziny bez zarobku, bez chleba, w niedostatku i nędzy! Tak byłoby w istocie, lecz i to nie na długo, gdyby nagły zwrot w polityce ekonomicznéj i raptowne zniesienie ceł ochronnych zabiły równocześnie wszystkie sztucznie podtrzymywane przedsiębiorstwa; jeżeliby jednak podobna reforma taryf rozłożona została na kilka lub kilkanaście lat, gdyby przystąpiono do niéj oględnie i ostrożnie, dałaby się ona przeprowadzić stopniowo, bez gwałtownych wstrząśnień i zmian w warunkach pracy. W saméj rzeczy ci, którzy pracują w protegowanych przedsiębiorstwach, z ich zwinięciem zostaliby zmuszeni szukać zarobku gdzieindziéj; lecz równocześnie otwiérałyby się dla nich inne, nowe pola produkcyjnéj pracy, nowe, stokroć obfitsze źródła zarobku, wypływające ze wzrostu kapitału, który zacząłby się niezwłocznie gromadzić w następujący sposób.

Wraz ze zniesieniem monopolu i obniżką cen, w rękach konsumentów (pamiętajmy, że oni to składają ogół) pozostaje ta część bogactw, którą przedtém zmuszeni byli oddawać pod postacią nadwyżki cen właścicielom protegowanych przedsiębiorstw. Zważywszy, że protekcya obciąża k a ż d y bez wyjątku monopolizowany produkt, że przy k a ż d é m bez wyjątku kupnie konsument musi płacić większą lub mniejszą daninę, nie trudno przyjść do wniosku, że ze zniesieniem monopolu z tych okruchów, które dla pospolitego oka są niewidzialne lub zaledwie dające się dostrzedz, w rzeczywistości tworzą się olbrzymie sumy, które przechodziły do kieszeni monopolistów i tonęły w nich nieprodukcyjnie pod postacią zbytecznie zużytych kapitałów i ludzkiéj pracy, gdy tymczasem pod systemem wolnego handlu kapitały te pozostają w społeczeństwie, są do jego rozporządzenia, pomimo że społeczeństwo zaopatrzyło się w równą ilość produktów i mogło zaspokoić równą ilość swych potrzeb.

Cóż się dzieje z owemi pozostającemi, zaoszczędzonemi kapitałami, do których należy jeszcze dodać to wszystko, co pozostaje z likwi-

dacyi zwiniętych przedsiębiorstw? Jak wiadomo, kapitał pozostawiony bezczynnie nie procentuje, aby przynosił dochód czyli odsetki, trzeba go ulokować, to jest nadać mu jakieś produkcyjne przeznaczenie, użyć go w ten sposób, aby służył do wytworzenia nowych bogactw; lecz w tym celu trzeba przedewszystkiém szukać głów i rąk, któreby go mogły i umiały użyć i oto nasi pracownicy bez zajęcia znajdują nowe przedsiębiorstwa, rozporządzające większemi kapitałami, aniżeli poprzednie, rozwijające się na podstawach pewnych, na gruncie naturalnym, nie sztucznym, nie będące w zależności od téj lub owéj polityki celnéj, od tego lub owego traktatu handlowego, ale które mogą istnieć same przez się, czerpiąc swój byt z miejscowych naturalnych bogactw, potrzeb mieszkańców i warunków ekonomicznych. Widzimy więc, że ochrona pracy narodowéj jest w istocie pustym, pięknie brzmiącym frazesem, służącym do wprowadzenia w błąd tych wszystkich, którym słowa zakrywają istotę rzeczy; nie chodzi wcale o to, aby pracę narodową zwiększać i kazać społeczeństwu przelewać z pustego w próżne, taki wysiłek nie jest pracą, lecz niszczeniem; przeciwnie, powinno chodzić o to, aby zgodnie z prawem ekonomii sił, produkować jaknajwięcéj, lecz jaknajmniejszym kosztem i jeżeli zagranica może dostarczyć taniéj jakiegoś produktu, t. j. żądać od konsumenta wzamian mniejszą ilość jego pracy, to wystarcza w tym wypadku zwykły rozsądek, aby wiedzieć, że lepiéj jest kupić taniéj i resztę schować do kieszeni, aniżeli przepłacać i wyrzucać pieniądze, to jest marnować swoją pracę. Staraliśmy się dowieść, że protekcyonizm nietylko przynosi szkodę jednostkom, ale jest chroniczną chorobą ekonomiczną całego społeczeństwa, robimy tu jednak powtórne zastrzeżenie, że szkoda jednostek i nieodłączna, wymuszona, filantropia legalna wystarczają zupełnie, aby go potępić; wbrew modnéj dziś teoryi interwencyi władz publicznych w prywatne sprawy jednostek, twierdzimy, że uszanowanie w nich indywidualnych cech, dążeń i zapatrywań jest podstawą zasadniczą sprawiedliwości społecznéj, a teoretycy wszelkiéj przymusowéj filantropii, czy to będą socyaliści, czy protekcyoniści, czy inni jacy uczuciowi przyjaciele ludzkości są w błędzie; uczucie panuje w nich nad rozumem, gdyż chcąc leczyć przemijające i konieczne cierpienia, zadają oni społeczeństwom rany śmiertelne. Zwłaszcza zmiany i ograniczenia, jakie wprowadzają do prawa własności, oddziaływają zgubnie, paraliżując produkcyę bogactw, a pobudzając konsumcyę; własność nie winna swego istnienia woli prawodawców, rozwijała się ona bez nich, a często nawet wbrew ich woli, nie oni modyfikują ją i urabiają, lecz warunki ekonomiczne i potrzeby ży-

cia społecznego, jakeśmy to starali się dowiéść („Teorya własności"— „Ateneum", marzec r. b.).

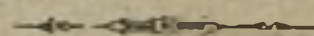
Dodatni wpływ podziału pracy pomiędzy jednostki ogólnie jest rozumiany, oceniany właściwie i nie podlega już dyskusyi, czemu więc podział pracy pomiędzy społeczeństwa, który jest niczém innéin, jak tylko dalszym ciągiem, ewolucyą pierwszego, tak dużo liczy przeciwników? Społeczeństwa, zarówno jak i jednostki, mają w produkcyi swoje specyalności, zdolności, zamiłowania, tradycye, dlaczego stawiać przeszkody temu różniczkowaniu się pracy, skoro ono wydaje jaknajlepsze rezultaty? Wszak ulepszenia komunikacyi nie mają innego celu, innéj racyi bytu jak tylko ułatwianie owego podziału pracy i zamiany jéj produktów, stworzenie jednego międzynarodowego rynku, na który każdy, bez względu na narodowość, przynosiłby to, co produkuje najlepiéj i najtaniéj. „Robicie tunel, który łączy ze sobą dwa narody — powiada Emil Laveleye — wydajecie na niego kilkadziesiąt milionów, a gdy jest gotowy, stawiacie na każdym jego końcu celnika, którego zadaniem jest niszczenie wszelkich korzyści, jakie ów tunel przynieść wam może. Czyż to nie rażąca niekonsekwencya?"

W. Domański.



POKUSA I POKUTA.

NOWELA.



Tego wieczora Alfred Ellis czuł się bardzo przygnębionym. Odbiegła go pogoda umysłu, ta pogoda niby wieczornego nieba, co ze spełnienia obowiązków i wyczerpania sił płynie. Dziś rozpostarła się na jego czole chmurka, zaciemniająca jego widnokrąg. Ale bo też wydarzył mu się niebywały wypadek. On, który przez lat ośm pełnił funkcye sekretarza w biurze Williama Pillsa i z dumą mógł powiedzieć, że, duszą i ciałem sprawom firmy oddany, pełnił je beznagannie — zapomniał wręczyć zwierzchnikowi ważną depeszę. Było to niesłychaném, fatalném.

A w ciągu całéj doby wyczekiwał téj telegraficznéj odpowiedzi! Tymczasem gdy ją otrzymał, przeczytał papiér pobieżnie i, zajęty korespondencyą, odłożył go na bok, nie wspominając o nim ani słówkiem. Niepojęta rzecz! Na domiar drżał na myśl, jak przyjmie to pan Pills, który, wszelkie ludzkie uczucia pozostawiając przed progiem kantoru, rządził w biurze według kodeksu drakońskiego. A miał on sposób objawiania swego niezadowolnienia spokojny i pełen godności, lecz stokroć dotkliwszy od głośnych nagan. Podnosił zimne źrenice i topił je w podwładnym z wyrazem politowania i, co gorsza, podejrzenia, jakby chciał powiedzieć:

— Albo jesteś idyotą albo pragnąłeś wyrządzić mi krzywdę. — Gadaj!...

Alfred nie łudził się nadzieją, aby miał go ominąć ten pocisk oczu, przed któremi drżeli urzędnicy.

Wogóle, kantor nie był rajem, ale w oczach Alfreda środkiem i osią świata, którego słońcem była twarz pryncypała. Sekretarz zżył się z nią i jaknajbieglejszy meteorolog wróżył z niéj chmury, słotę lub pogodę. Nie skarżył się. Na cóż miał się skarżyć? Był przecież urzędnikiem jednego z najstarszych domów handlowych w City Londynu, zaufanym pana Pillsa kantorzystą, pobierającym już tak znaczną pensyą jak biegły w swym zawodzie rękodzielnik. A na Nowy-rok dochód jego miał wzrość do czterech funtów tygodniowo.

Było to właśnie tyle, ile potrzebował, aby módz się ożenić. Wprawdzie gdyby od niego było zależało, byłby dawno stanął przed ołtarzem, ale Mary, z którą był zaręczony od lat czterech, zapowiedziała mu, iż wprzódy za niego nie wyjdzie, aż będzie w możności przyjąć kucharkę. Sama bowiem, jako wnuczka pastora, nie myślała trawić dni w kuchni lub na uprzątaniu domu. I narzeczony racye jéj pojmował, nie życząc sobie bynajmniéj, aby panna tak dobrego rodu pracowała jak sługa.

Najchętniéj po obiedzie byłby podążył do niéj, ale czuł, że nie będzie zdolny mówić o niczém, jak tylko o swém zmartwieniu. Tymczasem zaś sprawy biurowe nie przedstawiały dla Mary żadnego interesu. Zaledwie przeto wstał od stołu, wsiadł w omnibus, który wysadził go na ożywionéj arteryi. Było mu potrzeba ruchu, powietrza, rozrywki, zapomnienia.

Zatopiony w wirze ulicznym, odzyskał cząstkę spokoju wewnętrznego, wmieszał się w falę przechodniów i szedł z nią bez celu, aż wpadły mu w oko trzy kuliste lampiony elektryczne, przyczepione wysoko na domu, w którym mieścił się ogród zimowy. Wstąpił do marmurowego przedsionka i olbrzymiéj, białéj sali rotundowej, gdzie pochwyciły go w ramiona gwar stłumionych głosów, roje rzęsistych świateł i tony muzyki, z poza ustronnego bukietu egzotycznych roślin płynące.

Odżył, acz zarazem poczuł się obcym w téj świątecznéj atmosferze, z którą nie miał nic wspólnego. Tu życie zdało się nieustanną ucztą; pierzchły od niéj daleko wspomnienia pracy. Onieśmielony przepychem otoczenia i damskich tualet, które zaściełały środek sali, ujęty w wieniec z kolumn i zieleni, szukał krzesła na uboczu. Jednakże nawet wzdłuż muru biegnące stoły szczelnie były zajęte i dopiéro obok gęstego lasu krzewów, po za którym kryła się kapela, dostrzegł wolny stolik pod ścianą. Zająwszy tu miejsce, rozglądał się z podziwem.

Zaiste nie spodziewał się spotkać znajomego w gronie osób, wśród których postać jego, ze wszystkiemi znamionami pospolitości, komiczne na innych czynić musiała wrażenie. Czuł to instynktownie, bo niejednokrotnie zwracały się ku niemu oczy gości, w których czytał niepochlebne dla siebie zdziwienie. Mianowicie podstarzały mężczyzna, który zajmował miejsce niedaleko, spoglądał raz po raz ku niemu, jakby zastanawiając się, gdzie widział tego intruza. Alfred poznał w nim odrazu pana Jamesona, klienta domu Pills and Company. Nie kusił się jednak o zbadanie innych godzących weń spojrzeń. Szczególnie zaś unikał dwojga bezczelnie utkwionych w siebie źrenic kędzierzawego mężczyzny, który rozmawiał z dwoma towarzyszami przy sąsiednim stole. Tamci byli plecami do Alfreda zwróceni, on sam, zajmując krzesło naprzeciwko nich, miał ciągle przed sobą niekształtny cylinder i obwisłe, płowe wąsy kantorzysty.

Niebawem jednak Alfred zapomniał o jego obecności, bo przykuła jego uwagę młoda para, obiadująca przy udekorowanym kwiatatami stole. Przystojny i czerstwy mężczyzna, z różyczką u fraka, pochylał się z uśmiéchem co chwila do swéj towarzyszki, zapewne żony, która w świetnéj, brylantami ozdobionéj tualecie wydała się Alfredowi cudnéj urody istotą ze sfery obłocznéj. Jakże oni byli piękni, weseli i szczęśliwi!...

I któżby przypuszczał, że z tym wytwornym dżentelmenem on siedział na jednéj ławie szkolnéj? Poznał go natychmiast, ale pytanie, czy Dżek przypomniał by go sobie... Wówczas byli sobie równi, dziś dzieliła ich przepaść. Dżek bogaty, swobodny, z piękną damą przy boku, czerpał pełną ręką z uciech światowych, a on, biedny kantorzysta, zmuszony liczyć się z każdym szylingiem, siedział tu samotny na uboczu, jak intruz, jak wyrzutek, obarczony całym nawałem obcych, biurowych trosk i kłopotów, odsunięty od zysków i radości. Wolno mu było jedynie jako przygodnemu widzowi zachwycać się szczęściem dawnego kolegi! Gdyby to Dżek był górował nad nim zdolnościami i sprytem, pojąłby różnicę w ich położeniu, ale był on w szkole bodaj najograniczeńszym z chłopców, dla których stawał się często pośmiewiskiem.

Jakże niepojęte, niesprawiedliwe było to zrządzenie losu! Ha! Widocznie świat był urządzony na zasadzie jakiéjś bezsensownéj anarchii, w któréj każdy mógł dopatrzéć się wygodnego dla siebie systematu, ale nikt nie odnalazł klucza do rozwiązania całości zagadki. Bo światowego systematu jądrem jest bezsystematyczność...

Gdy myśli jego, przekroczywszy granice swego ciasnego widnokręgu, poniosły go daleko, zbliżył się do stołu wysoki dżentelmen,

około czterdziestu lat liczący, we fraku, osłoniętym czarnym płaszczem z peleryną. Na palcach jego lśniły brylantowe pierścienie. Rozpiąwszy zarzutkę, rozsiadl się wygodnie, oddychając ciężko, jakby był po sutym obiedzie, przy którym przebrał miarę. A twarz jego, z cerą mieszkańca wsi zdradzającą, wyrażała zupełne zadowolenie zwierzęce. Muzyka działała nań usypiająco, bo przymknęły mu się powieki i papieros przygasł w ustach. Lecz wnet ocknął się, wypił kawę i, wydobywszy z kieszeni gazetę, zabrał się do czytania. Wkrótce jednak, skinąwszy na garsona, sięgnął w zanadrze po pugilares. Wręczył mu banknot. Długo trwało zanim służący wrócił od kasy. Tymczasem zaś gościowi śpieszyło się. Gdy nareszcie ujrzał garsona, powstał zniecierpliwiony, rzucił gazetę na stół i, wsypawszy piéniądze w kieszeń, oddalił się krokiem pospiesznym.

Godzina robiła się późna, lecz Alfred nie poruszył się z miejsca, bo, lubo nie opuszczało go głuche poczucie krzywdy i goryczy, czuł się jakby zahypnotyzowany tym gwarem ludzkiego mrowiska, upojony harmonią tonów. I owładnęło nim miłe uczucie wypoczynku, usypiające wszelki popęd do działania i ruchu, przygłuszające troskę.

Aby wyrwać się z koła bezprzedmiotowych rozmyślań, podjął gazetę, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał pod nią pugilares.

W pierwszéj chwili chciał się podnieść, biedz za nieznajomym przywołać służbę, ale coś go trzymało na uwięzi. Rozejrzał się wkoło; żadnego ze służących nie było w pobliżu, goście, zajęci wyłącznie sobą, na niego nie zwracali uwagi. I zapatrzył się na wyładowany, czarny pugilares osłupiałym wzrokiem...

Gorączkowy rumieniec wystąpił mu na lica, oczy zaszkliły się, wyrażając skupienie myśli...

Z tego pugilaresu nieznajomy wydobył banknot... Porzucona gazeta ukryła go przed wzrokiem otoczenia... Teraz właściciel musiał być daleko, bo upłynęło kilkanaście minut od jego wyjścia... Zapewne był już w domu i zrana dopiéro zauważy brak pugilaresu... Za dziesięć godzin...

Otóż spoczywała przed nim fortuna!... Los, chcąc nagrodzić mu krzywdy, podsunął mu ją i dość wyciągnąć rękę, aby być bogatym...

Czuł, że ogarnia go szalona fala życia, budzi się w nim pragnienie swobody, drży nieznany nerw wielkiéj uciechy...

Ale to byłoby kradzieżą... Czyliż jednak źle się dzieje zgrabnym, szczęśliwym złodziejom? O to jedynie chodzi, by się nie dać pochwycić ni zdemaskować. Świat należy do śmiałych. Czy nie słyszał o kasyerze, który latami pokrywał niedobór własnéj kieszeni z kasy ban-

kowéj? Czy nie znał sam ojca, który okradł własnego syna z majątku zapisanego mu przez matkę!... Ha! Któż dochodzi, skąd biorą pieniądze? Dość, że je mają, a miéć pieniądze, to znaczy posiadać wszystko.

Złoto daje swobodę, ono wraca i zapewnia zdrowie, ono karki ludzkie do ziemi ugina, kupuje przyjaźń, zdobywa miłość, wyświetla zalety, wady w blasku swym topi. Ono jest nawet cnotą i talentem; wszystko na świecie jest kwestyą pieniędzy. To największy, wszechmocny bóg ludzkości! Dla niego wznoszą się ołtarze, do monstrancyi, do gwiazd złotych, do tego świetnego słońca wyciągają się ramiona błagalnie. O cobądź ludzie się modlą, każdy przedewszystkiém woła i prosi: daj mi złota... Najbardziéj hardzi w proch padają przed niém, bo potęga jego, która trony nawet obala, aż do głębi czaszek i serc ludzkich przenika. I potępion, na męki i katusze skazany ten, kto temu bogu nie złoży hołdu, kto inne przed nim wyznaje i wielbi bóstwa...

Z tym pugilaresem w kieszeni jakże innym człowiekiem byłby Alfred Ellis? Czy ktobądź wyśmiewałby się z jego wyglądu lub śmiał go traktować jak niewolnika? Czy kobiéty nie odnalazłyby w nim stu zalet serca i umysłu? Czy Mary nie kochałaby go czule? Jutro tak jak szczęśliwy Dżek, siedząc przy wspaniałéj uczcie, mógłby przebiérać w uciechach, radować się życiem, kochać, być panem, być sobą. .

Zadrżała mu ręka i... przesunął dłonią spotniałe czoło, wzrok zatopiwszy w świetlanéj przestrzeni...

Było to wszystko snem niezdrowym... Nie, przenigdy! Alfred Ellis jest uczciwym czło..... uczciwym urzędnikiem firmy Pills and Company.

Wtém przesunął się przed nim służący i spojrzał w jego stronę, jakby oczekując nowego zamówienia. Lecz te dwoje źrenic rzuciło w niego dziwny niepokój, przeniknęło go dreszczem aż do szpiku kości, ciężki wyrzut budząc w jego duszy.

Nie śmiał podnieść oczu, bo zdało mu się, iż każdy wyczyta z nich chwilową słabość, odgadnie całą sromotę. I porwał się z miejsca, nie wiedząc dlaczego, rzuciwszy gazetę na pugilares. Wręczył garsonowi dwa szylingi i podążył ku wyjściu, nie żądając nawet wydania sobie reszty.

Wkrótce potém podniosły się z swych siedzeń trzy osoby, które sąsiadowały z Alfredem. Pozostał tylko za nimi przez chwilę kędzierzawy mężczyzna, próżno szukając swego parasola. Wreszcie przypomniał sobie, iż oparł go o ścianę tuż obok krzesła Alfreda. Prze-

chyliwszy się przez stolik, wyciągnął rękę po niego, drugą wspiérając na stole, na gazecie i... zwolna poszedł za towarzyszami.

Gdy nazajutrz pan Pills zauważył niedbałość sekretarza, poczęstował go tylko enigmatycznėm „hm...” Nowy ten sposób wyrażania nagany byłby niezawodnie dał urzędnikom dużo do myślenia, lecz dzień ten przyniósł ważniejsze zdarzenie.

Z południa bowiem przybył do biura nieznany mężczyzna, a wpuszczony do prywatnego gabinetu pana Pillsa, spędził z nim kilka minut na rozmowie, poczém w otwartych drzwiach ukazała się poważna twarz przełożonego.

— Kto z was był wczoraj wieczorem w zimowym ogrodzie? — spytał.

Krew zbiegła z twarzy Alfreda.

— Ja — odparł głośno, jak żołnierz, który w obliczu nieprzyjaciela widząc, że spotkanie jest nieuniknione, a ucieczka niepodobna, stara się wmówić w siebie odwagę.

Wszedłszy za przełożonym do gabinetu, posłyszał z ust dyrygenta zimowego ogrodu, że był posądzony o przywłaszczenie sobie pugilaresu.

— Krótko po wyjściu tego... pana — mówił przybysz, wskazując na Alfreda — dżentelman powrócił po pugilares, pozostawiony pod gazetą, lecz szukaliśmy go napróżno. Nikt inny w ciągu wieczora nie zajmował miejsca przy tym stole prócz tego pana... Pan Jameson, który jest z panem w stosunkach handlowych, będąc podówczas w zimowym ogrodzie, spostrzegł go i rozpoznał w nim pańskiego urzędnika. Téj okoliczności zawdzięczamy adres biura.

— Dlaczego nie oddałeś pan pugilaresu służbie?—zapytał obcesowo pan Pills, mierząc Alfreda, mierząc wzrokiem pełnym pogardy i gniewu.

— Nie... widziałem wcale pugilaresu—wyrzekł sekretarz.

— Jakto? — wtrącił przybyły. — Przecież biorąc w rękę gazetę, musiał pan spostrzedz pugilares. Według zeznania garsona odejście pana wyglądało na ucieczkę, bo nie czekał pan wydania sobie reszty, lecz zmieszany odszedł z dziwnym pośpiechem...

Badawczy wzrok pana Pillsa nie schodził z twarzy Alfreda.

— Nie dostrzegłem pugilaresu...

— Odpowie pan za to przed sądem.

To rzekłszy, dyrygent począł notować sobie nazwisko i adres Alfreda.

Gdy drzwi się za nim zamknęły pan Pills zatrzymał sekretarza w gabinecie i, siadłszy w swój fotel, pogrążył się w milczeniu.

Chwila ta zdała się Alfredowi wiecznością. Jakby uderzony obuchem, stracił czucie; uleciało z niego wszystkie życie.

— Sprawa sądowa wykaże—rzekł nareszcie pan Pills — czy podejrzenie to jest usprawiedliwionèm. Jeżeli nie, to tèm lepiéj dla pana. W każdym razie jednakże, nie życzę sobie, aby wymieniano w gazetach moją firmę w styczności z imieniem człowieka o kradzież posądzonego. Widzę się przeto zniewolonym uwolnić pana niezwłocznie od obowiązków. Zresztą, w ostatnich czasach zauważyłem wielkie roztargnienie z pańskiéj strony, które muszę kłaść na karb żywego zajęcia się Bóg wié jakiemi sprawami... Możesz pan wziąć od kasyera pensyę za przyszły miesiąc i biuro opuścić zaraz...

Poszedł.

Skończyło się... Gdy znikł mu z przed oczu pulpit, przy którym strawił ośm lat życia, rozdarło się w nim serce. Nie był już urzędnikiem domu Pills and Company...

W kilka godzin późniéj przyaresztowano go.

Niebawem wszakże wypuszczono go na wolność w braku dowodów, lubo pozory przemawiające przeciwko niemu, przyczepiły doń niezmazalne podejrzenie, napiętnowały go stygmatem hańby.

I udał się do domu wolny, lecz o dziesięć lat starszy. A tu czekał go list od narzeczonéj, w którym żegnała go na zawsze w pełnych żalu słowach. Przeczytał go bez zdziwienia, przyjął z pokorą jako nową karę za słabość, z jaką dał przystęp zbrodniczéj myśli. I schował na piersi ostatni zadatek miłości, westchnieniem żegnając ciche nadzieje szczęścia...

Życie jego było złamane; droga do innego domu handlowego zagrodzona raz na zawsze plamą podejrzenia. Wsiadł przeto na okręt idący do Australii z nieodstępnym towarzyszem—głębokièm poczuciem występku, którego nie popełnił...

Pugilaresu nie znaleziono nigdy...

Maciéj Wierzbiński.



Studya z dziedziny antropologii.

I.

Nasz typ narodowy w świetle antropologii.

Badania dotyczące człowieka przedhistorycznego wskazują, że w ciągu długiego okresu jego istnienia na ziemi odbywała się ewolucya ras.

Dla badacza dzisiejszego, odgrzebującego szczątki tych ras w różnych warstwach ziemi, zjawisko to przedstawia się jako pokłady, które możnaby nazwać historyczno-geologicznemi.

Najwyraźniéj może zjawisko to występuje w Ameryce. Z badań dokonanych w téj części świata okazuje się, że rasa Indyan jest czwartą, a dzisiejsza europejska będzie z kolei piątym pokładem rasowym.

W Ameryce zjawisko to występuje wyraźnie przynajmniéj w części, z powodu właściwości geograficznych téj części świata: olbrzymie przestrzenie tak północnéj, jak i południowéj Ameryki, są to równiny, na których nie ma przeszkód naturalnych. Jak tylko zjawiała się rasa nowa, wojownicza, z łatwością mogła rozszerzyć swoje panowanie.

Na starym lądzie panuje większa rozmaitość pod względem klimatu i innych warunków geograficznych, wskutek tego powstała większa rozmaitość ras i ograniczenie ich do pewnych miejscowości. Po-

mimo to jednak i w Europie można stwierdzić to samo zjawisko: znikanie starszych i zjawianie się nowych ras.

W rzadkich przypadkach tylko rasa późniejsza wytępiała poprzednią. Najczęściéj następował podbój i powolne następcze mieszanie się ras. Wskutek tego, wszystkie społeczeństwa dzisiejsze są mieszaniną ras, a najczęściéj są nawet zlepkiem rozmaitych mieszanin. Antropologia wskazała metody analizowania dzisiejszych społeczeństw: rozkładania ich na pierwiastki, na szczególne rasy.

Analiza ta prowadzi przedewszystkiém do poznania danego społeczeństwa pod względem antropologicznym, t. j. do poznania typu fizycznego. Lecz i władze duchowe człowieka są w ścisłym związku z rasą. Dlatego też badania te podwójnie są ciekawe.

W Europie można znaléść bardzo wielką ilość ras. Lecz nie wszystkie one mają jednakową wartość co do wpływu na rozwój dzisiejszéj kultury. Jeżeli będziemy mieli na względzie tylko te rasy, które stanowią tło dzisiejszych społeczeństw Europy, to wypadnie ograniczyć się tylko do poznania trzech głównych ras. A najprzód uwzględnimy tylko dwie z nich, zajmujące północną i środkową część Europy.

Pierwsza z nich, być może starożytniejsza, przynajmniéj w Europie, nosi nazwę jasnych długogłowców, druga — ciemnych krótkogłowców.

Pierwszy typ, oprócz głównéj cechy wyróżniającéj, t. j. podłużnéj czaszki, odznacza się jasną cerą skóry, jasno-blond włosami, niebieskiemi oczami i wysokim wzrostem.

O ile archeologia przedhistoryczna łącznie z antropologią zdołały oświécić ciemności, okrywające pierwsze społeczeństwa ludzkie Europy, wnosić należy, że ten typ zjawił się w północnéj części Europy wkrótce po ustąpieniu lodowców — w początkach epoki czwartorzędowéj, gdy klimat był łagodny, a Europę zaludniały zwierzęta, które obecnie tylko w klimacie podzwrotnikowym żyją, lub też całkiem wyginęły: jako to: mamut, słoń, kilka gatunków hipopotamów i inne.

Siedzibą téj rasy były kraje na południe półwyspu duńskiego położone. Przypuszczenie to opiéra się na tém, że tam właśnie znaleziono najdawniejsze i najliczniejsze szczątki téj rasy. Drugą i może ważniejszą wskazówkę stanowi ten fakt, że i dziś jeszcze typ ten jest najwyraźniejszy w krajach otaczających tę domniemaną kolébkę długogłowców, a mianowicie: w północnéj części Szkocyi, w Szwecyi i Norwegii, w Danii i w północnéj części Europy, zaczynając od Holandyi do Litwy, ponad brzegami morza Niemieckiego i Bałtyku. Jest to typ, który można nazwać germano-normandzkim, jeżeli idzie o nazwę historyczną. Należy jednak pamiętać, że jest to typ przedhistoryczny,

że nie istnieje on dziś jako typ czysty, a nawet nie istniał już wówczas, gdy pojawiły się nazwy Germanów, Normandów, Anglo-Sasów i t. d. Bardziéj szczegółowy rysopis fizyczny tego typu jest następujący: wzrost wysoki (przechodzący 166 cent.), skóra cienka i biała, cera twarzy jasno-różowa, włosy jasno-blond, w wypadkach typowych prawie białe, co i dziś jeszcze można widziéć w wieku dziecięcym. Czaszka wydłużona z przodu ku tyłowi tak, że otwór ustny zewnętrzny wypada w środku, w równéj odległości pomiędzy przednim konturem głowy, t. j. czołem i tylnym t. j. potylicą; wymiar zaś poprzeczny głowy jest znacznie mniejszy w stosunku do długości, wskutek czego ich głowa wydaje się płaską. Cechę tę jednak głowy, można zauważyć tylko przy pewnéj wprawie i tylko u osób noszących włosy krótko ostrzyżone. Czoło długogłowców jest wysokie lecz wąskie, gdy nań patrzymy od przodu, nieco w tył podane; nos wąski, długi, garbaty, chociaż nie jest orlim, t. j. haczykowato niemal zagiętym na końcu, jak w typowych nosach semickich, np. Arabów. Nos długogłowców jest wysoki i wąski począwszy od nasady. Cała twarz jest również wąska i wyraźnie wydłużona. Podbródek jest szeroki, wyraźny.

Rasa ta przez długi czas swego istnienia nie znała rolnictwa, żyła wyłącznie z myśliwstwa. Liczne stada żubrów, zaludniające podówczas całą Europę, dostarczały głównego pożywienia.

Drugą główną część składową ludności Europy, górującą nad pierwszą pod względem liczebności, stanowi rasa krótkogłowców, średniego wzrostu, o ciemnych włosach i oczach. Czaszka krótsza, czoło szerokie, nos zadarty, o skrzydłach szerokich. Oczy nieco za głęboko osadzone. Twarz krótka, szeroka, o ostrych zarysach, wyraźnych kątach szczęki dolnéj, wskutek czego twarz nie robi wrażenia owalu, lecz raczéj kwadratu.

Rasa ta zjawia się w środkowéj Europie, dążąc od wschodu, od strony Małéj Azyi.

Od pierwszéj chwili osiedlenia się w Europie, rasa ta jest rolniczą, przywiązaną do ziemi. Zjawia się ona, że tak się wyrazimy, niewidocznie i rozszerzała się stopniowo coraz daléj, stale, niezmiennie, jak woda wsiąkająca w piasek, zwolna wyciskając bardziéj na północ rasę długogłowców. Prawdopodobnie przybyła ona z Azyi mniejszéj na półwysep Bałkański, szerząc się daléj ku zachodowi wzdłuż Dunaju, aż do środkowéj wyżyny dzisiejszéj Francyi. Rasa krótkogłowców stanowi dzisiaj w Europie główną masę ludności Francyi, północnych Włoch, południowych Niemiec i całéj Słowiańszczyzny, sięgając daleko na wschód Europy, a przez Małą Azyę aż do Pamiru są ślady téj rasy.

Dwie te rasy od pierwszego zetknięcia się zaczęły się mieszać ze sobą. Ażeby jednak zrozumiéć sposób mieszania się tych dwóch ras, należy choć w ogólnych zarysach poznać ich charakter moralny. Rasa długogłowców, zajmująca północną część Europy, jak już wspomnieliśmy, nigdy nie była osiadłą: głównóm jéj zajęciem było myśliwstwo w okresie pierwotnym. Ludność wówczas była nieliczna, a przestrzenie leśne, zaludnione żubrami, były dość obszerne dla jéj wyżywienia. Z czasem, gdy ludność zwiększać się zaczęła, gdy z południa Europy rozradzające się szczepy krótkogłowców, posuwały się coraz bardziéj na północ ku środkowéj Europie, długogłowcy organizują się w wojownicze zastępy, przebiegają Europę we wszystkich kierunkach i przechodzą nawet do Azyi. Nie mając zamiłowania do życia osiadłego, dążą oni do zdobywania, do podboju spokojnych siedzib krótkogłowców; lecz i sam podbój ich nie zadawala, dążą daléj i daléj, jak gdyby wędrówka wojownicza była jedynym celem ich życia.

Główną cechą długogłowca jest wybitna indywidualność, przedsiębiorczość, niemożność pozostawania na długo na tém samém stanowisku, w owych więc czasach pierwotnych wyrażała się ona ustawicznemi wędrówkami w celu podboju.

Tłem, na którém rozpościerały się harce wojowniczych hord długogłowców, była masa krótkogłowców, obdarzonych wręcz przeciwnemi cechami charakteru. Główna ich cecha: przywiązanie do ziemi rodzinnéj, to téż rasa ta jest ludem osiadłym, rolniczym od czasów najdawniejszych. Możnaby bez przesady powiedziéć, że dwie te rasy obdarzone zostały wręcz przeciwnemi charakterami i zdolnościami ducha. Pierwszy stopień organizacyi społecznéj u długogłowców, tworzenie zastępów wojowniczych w celu podboju; u krótkogłowców zaś ten pierwszy stopień wyraża się dążeniem do gminowładztwa. Duch zachowawczy, życie zbiorowe, jak się wyraża jeden z antropologów francuskich: duch stada panuje w społeczeństwie krótkogłowców. U długogłowców widzieliśmy silnie rozwiniętą indywidualność, energię i przedsiębiorczość, jednocześnie zaś bierne poddanie się wspólnym celom, prawie zawsze mającym na widoku podbój i stąd wypływające zdolności rządzenia, organizacyi. U krótkogłowców, pomimo stałych i niewzruszonych zasad zachowawczych, prowadzących do jednostajnéj organizacyi gminnéj, daje się zauważyć pewna bujność i poetyczność myśli, przewaga bogatéj fantazyi, stąd pomimo owéj spójni w istnieniu towarzyskiém — istnieje pewna rozmaitość w zapatrywaniach indywidualnych, brak karności i organizacyi, gdy idzie o jakiekolwiek wspólne przedsięwzięcie.

Dwa te pierwiastki rasowe w najodleglejszych czasach historyi człowieka w Europie, istniały w pierwotnéj czystości typu. Dziś zaledwie nieznaczne szczątki krótkogłowców, jako rasa czysta przechowały się na szczytach Alpejskich gór i Tatrów. Pierwotny typ długogogłowca znikł zupełnie, a przyczyną tego faktu jest owa nadmierna ruchliwość, prowadząca go do ciągłego mieszania się z krótkogłowcem.

Jako świadectwo tego ciągłego mieszania się dwóch ras, pozostały szczątki ludzkie, głównie czaszki, znajdowane w różnych grobowcach, mogiłach i cmentarzyskach. Przestrzeń, na której znajdują się najgęściéj szczątki długogłowców jest przedewszystkiém północna część środkowéj Europy. Do najpóźniejszych przedhistorycznych zabytków téj rasy należą tak zwane groby rzędowe, należące do szczepów germańskich.

Na wschodzie Europy, jak wykazały niestrudzone badania uczonego archeologa i antropologa Bogdanowa, profesora uniwersytetu moskiewskiego, cała przestrzeń środkowéj Europy, dokoła Moskwy sięgając na zachód do Smoleńska i Mińska, a na południe do Kijowa i Charkowa, była siedzibą długogłowców, których czaszki doskonale się przechowały w tak zwanych kurhanach scytyjskich, rozsianych na wielkiéj płaszczyznie Europy wschodniéj.

Jak na wschodzie Europy, tak i na zachodzie badania dotychczasowe wykazują zgodnie następujące prawo: im cmentarzysko należy do epoki odleglejszéj, tém typ długogłowy występuje wyraźniéj, wolny od wszelkich domieszek; z postępem czasu zwolna i stopniowo, obok czystego typu zjawia się mieszany, a nawet i czysty typ krótkogłowca; w epoce późniejszéj — widzimy stopniowe zwiększanie się odsetki przypadającéj na krótkogłowców, w końcu czysty typ długogłowy znika zupełnie.

Fakt ten stwierdziły liczne prace antropologów we Francyi i Niemczech, u nas i daléj na wschód.

Fakty powyższe, chociaż są pewne, nie dają jednak możności wyrobienia dokładnego pojęcia o tém zjawisku historycznéin, o które nam głównie idzie, mieszania się dwóch typów. Pragnąc dać czytelnikowi możność samemu ocenić naturę tego zjawiska, musimy podać niektóre dane bardziéj szczegółowe. Weźmiemy cechę zasadniczą, najważniejszą, mianowicie formę czaszki i postaramy się, o ile można, treściwie rzecz tę przedstawić.

Czaszka ludzka, t. j. ta część głowy, która zawiéra w sobie mózg, ma formę jaja, od spodu tylko jest nieco spłaszczona. Najlepszy sposób określenia formy czaszki jest zmierzenie jéj największéj długości

i największéj szerokości. Czaszki wszystkich znanych ras, począwszy od najwyższych do najniższych, są do siebie bardzo podobne, a główna różnica polega na różnicy długości i szerokości. Różnice te chociaż są nieznaczne, lecz są stałe dla rozmaitych ras i one to właśnie stanowią jedną z najważniejszych cech rasowych. Pamiętać potrzeba jednak, że w naukach przyrodniczych jedna cecha nie może być podstawą klasyfikacyi. I w tym wypadku forma czaszki nie może służyć za cechę dostateczną dla rozróżniania ras. Ponieważ jest jednak jedną z najważniejszych, zajmiemy się więc nią bardziéj szczegółowo, gdyż ona jedna dostatecznie nam wyświetli pytanie, które nas zajmuje, mianowicie będzie dostateczną ilustracyą mieszania się dwóch ras europejskich.

Otóż, powiedzieliśmy, że formę czaszki charakteryzują dostatecznie dwa jéj wymiary: największa długość i największa szerokość poprzeczna.

Dla jasności i łatwości oryentowania się, zamiast dwóch liczb wyrażających dwa wymiary, bierze się stosunek szerokości do długości, przyczém ta ostatnia bierze się za sto i tym sposobem otrzymuje się tak zwany w antropologii wskaźnik czaszkowy. Objaśnimy to na przykładzie.

Mierzymy długość danéj czaszki za pomocą cyrkla odpowiednio zbudowanego, przyczém jedno ramię opiéramy między brwiami na czole, a drugie na stronie przeciwległéj, na kości potylicowéj, szukając punktu, w którym okaże się największa rozwartość cyrkla, otrzymujemy 186 milimetrów—jest to największa długość téj czaszki. Następnie stawiamy końce cyrkla na cal nad ustami i posuwając zwolna końce cyrkla z przodu ku tyłowi i z dołu ku górze, patrząc na podziałkę cyrkla, łatwo odnajdziemy miejsca, gdzie podziałka wskaże największą rozwartość ramion cyrkla, będzie to szukana największa szerokość czaszki, przypuśćmy, że otrzymaliśmy 149 milimetrów.

Chcąc uzmysłowić stosunek dwóch tych wymiarów, obliczamy wskaźnik, t. j. wyrażamy szerokość w setnych częściach długości, czyli szerokość 149 mnożymy przez sto, a iloczyn dzielimy przez długość czyli przez 186, otrzymujemy liczbę 80, która jest szukanym wskaźnikiem i która nam mówi, że u danego osobnika, jeżeli długość czaszki jest sto, to szerokość jest 80 — czyli stosunek szerokości do długości jest jak 80 do 100. Tym sposobem wskaźnik odrazu daje nam pojęcie dokładne o formie czaszki. Wszystkie rasy ludzkie, istniejące na kuli ziemskiéj, mieszczą się pomiędzy wskaźnikami 66—86, t. j. że ludy najbardziéj długogłowe mają szerokość czaszki 66, gdy długość równa sto, a najbardziéj krótkogłowe 86.

Wyżéj wskazane granice dla długogłowych i krótkogłowych oznaczają przeciętne dla pewnych grup etnicznych. Różnice indywidnalne sięgają daléj w obu kierunkach: I tak czaszka najbardziéj długa jednego Australczyka wykazała wskaźnik 53. Najkrótsza czaszka jednego Tatara 98. W pierwszéj długość jest prawie dwa razy większa od szerokości, w drugiéj oba wymiary są prawie równe sobie. Są to jednak przykłady wymiarów skrajnych, wybranych ze wszystkich zbiorów antropologicznych.

Po tych wstępnych objaśnieniach co do wskaźnika czaszkowego, przystępujemy do naszego przedmiotu.

Wskaźnik czaszkowy dla długogłowca północnéj Europy wynosi 74 przeciętnie, t. j. otrzymany z pewnéj ilości czaszek należących do téj rasy, znajdowanych w tak zwanych grobach rzędowych, najliczniéj znajdujących się w granicach zajmowanych dziś przez Germanów. W owym czasie rasa długogłowców nie była rasą czystą, gdyż tylko przeciętna wynosi 74, skrajne zaś wskaźnika są 68 i 84; ten ostatni należy już niewątpliwie do krótkogłowców. Lecz nie idzie nam tu o bardzo skomplikowaną kwestyę czystości rasy, bierzemy więc ogólnie wskaźnik dla długogłowców jako 74.

Co do krótkogłowców, to do dnia dzisiejszego pozostałe szczątki rasy celtyckiéj w górach Alpejskich przechowały się w swéj czystości rasowéj, a ich wskaźnik czaszkowy wynosi 86 przeciętnie.

Dwie te rasy, mieszając się ze sobą, dają potomstwo, którego wskaźnik czaszkowy jest pośrednim. Cała Europa środkowa i północna zaludniona jest właśnie takimi mieszańcami. Ażeby zaś ocenić bliżéj właściwości téj mieszaniny, weźmiemy dla przykładu trzy linie, idące ze środkowéj Europy ku północy i zobaczymy, jak się układają wskaźniki na tych liniach.

Pierwszą linię bierzemy od zachodnich Alp, w kierunku północnym.

Otóż Sabaudczycy mają wskaźnik 86. Posuwając się na północ ku granicy Belgii, wskaźnik stopniowo się zniża, dochodząc na granicy Belgii do 80, w Belgii południowéj, zaludnionéj przez Wallonów, wskaźnik zniża się do 79, jeszcze więcéj, t. j. w północnéj części Belgii, zaludnionéj przez Flamandów, wskaźnik spada do 78, a daléj w Holandyi jeszcze niżéj.

Jeżeli weźmiemy drugą linię, równoległą od pierwszéj w środkowéj Europie i poprowadzimy ją z południowych Niemiec ku Danii, otrzymamy analogiczne stopniowanie wskaźników czaszkowych, z tą tylko różnicą, że na szczytach Alp zachował się niemal czysty typ krótkogłowca, gdy w południowych Niemczech wskaźnik będzie około 84;

lecz stopniowe zmniejszanie się ku północy zachowuje ten sam charakter.

Jeżeli posuniemy się daléj ku wschodowi i weźmiemy jeszcze jedne linię mniéj więcéj równoległą do poprzednich, mianowicie od Zakopanego w Tatrach do środka Litwy, otrzymamy rezultat analogiczny. Chociaż u nas przedmiot ten mniéj szczegółowo jest opracowany, kilka liczb, które podamy, wykażą dostatecznie, że i tu panuje to samo prawo.

I tak wskaźnik u górali tatrzańskich jest 85, na stokach gór około 84, w Lubelskiém 83, w Łomżyńskiém około 82, a na Żmudzi spada niżéj 80.

Co do téj trzeciéj linii musimy zrobić zastrzeżenie, że powyższe wskaźniki otrzymane są na osobnikach żyjących. Jest pewna różnica pomiędzy wskaźnikiem czaszki szkieletowanéj a wskaźnikiem na ludziach żywych otrzymanym; ponieważ jednak nie idzie nam tu wcale o ścisłość matematyczną pod tym względem, pomijamy tę okoliczność, gdyż nie ma ona żadnego znaczenia dla ogólnego prawa, o potwierdzenie którego w najogólniejszych tylko zarysach chodzi nam obecnie, t. j. o potwierdzenie powyższego prawa na wschodzie Europy.

Jednėm słowem, jeżeli połączymy linią prostą Tatry i Alpy, to wszystkie linie prostopadłe, skierowane ku północy od téj linii, te będą nam przedstawiały kierunki stopniowego zmniejszania się wskaźnika czaszkowego. Nie należy jednak sądzić, że to zmniejszanie się jest wszędzie jednostajne i jest podobne do jakiegoś szeregu arytmetycznego. Jest ono takiém tylko w ogólnym zarysie, w szczegółach są pewne zboczenia, wynikające z natury rzeczy. Mianowicie zależne są od tego, że długogłowcy wybierali zawsze pewne drogi naturalne dla swych zwycięskich pochodów, najczęściéj doliny większych rzek, z drugiéj strony — krótkogłowcy jako element raczéj bierny, chronili się w góry, do miejscowości trudniéj dostępnych.

Ten stan rzeczy można dziś jeszcze odczytać właśnie ze szczegółów w rozkładzie wskaźników w sąsiadujących ze sobą miejscowościach i stąd właśnie wynika okoliczność, że w miejscowościach blisko siebie położonych, wskaźnik czaszkowy różni się o jedną i więcéj jednostek. Dla tychże samych powodów przedstawiciele czystéj rasy krótkogłowców przechowali się tylko na niedostępnych szczytach najwyższych gór.

We wschodniéj części środkowéj Europy, mianowicie na równinie rozciągającéj się na północ od gór Karpackich, zmniejszanie się wskaźnika czaszkowego jest bardzo regularne z powodu, że na całéj téj przestrzeni nie ma znaczniejszych przeszkód naturalnych.

Dotąd mieliśmy na względzie jedną tylko cechę odróżniającą dwie główne rasy Europy. Wiemy już, że rasy te różnią się i innemi jeszcze cechami, mianowicie kolorem włosów, oczu, cerą twarzy i skóry, wzrostem i t. d. Otóż i te cechy świadczą w tym samym stopniu o dokonaném zmieszaniu się dwóch różnych pierwiastków.

Weźmy pod uwagę kolor włosów, kolor właściwy dla rasy krótkogłowców jest ciemny, dla długogłowców jasno-blond. Wszystkie barwy pośrednie są wynikiem zmieszania, a liczba tych barw pośrednich jest bardzo wielka. Pospolicie odróżniają: jasno-blond, blond, ciemno-blond, jasny szatyn, szatyn, ciemny szatyn. Liczbę tych odmian należałoby właściwie znacznie powiększyć, by dokładnie określić wszystkie możliwe odcienia; można ułożyć obok siebie setkę próbek włosów ludzkich, począwszy od jasnych, prawie białych włosów, aż do najciemniejszych szatynowych, przyczém pomiędzy dwiema sąsiedniemi próbkami oko prawie nie wykrywa różnicy, tak drobne są stopniowania.

Kolor więc włosów ludności Europy, tak samo jak jéj wskaźniki czaszkowe, wykazują fakt zmieszania się dwóch pierwiastków rasowych.

Co do barwy oczu, to i tu można wykazać zasadniczy fakt, o którym mówimy—lecz zjawisko to jest więcéj złożone. Przy krzyżowaniu się dwóch ras europejskich, barwa ciemna oczu krótkogłowców staje się jaśniejszą; a ciemno-piwna staje się jasno-piwną; ta ostatnia przy dalszym dodatku niebieskiéj przechodzi w zieloną lub siwą. Wytwarza się tym sposobem znana nam rozmaitość barwy tęczówki, dochodząca do tego, że zdarzają się wypadki, że dany osobnik ma inną barwę na każdém oko, lub tylko niewielkie np. ciemniejsze plamki na tle jaśniejszém.

Ścisłe obliczanie barw oczu na pewnéj przestrzeni, wykazuje to samo prawo zmieszania się dwóch pierwiastków rasowych. I tak, jeżeli weźmiemy znaną nam już linię od Tatrów do środka Litwy i obliczymy procentowo ilość oczu niebieskich, to otrzymamy następujący rezultat: u górali tatrzańskich oczy niebieskie około 15%, w gub. Lubelskiéj przeszło 30%, w północnéj części gub. Łomżyńskiéj około 60%, a na Żmudzi do 80%.

Przykłady podobne wykazują dostatecznie, w jakim stopniu istnieje zmieszanie tych dwóch ras.

Widzieliśmy przy opisie dwóch naszych typów, że różnią się one również wyraźnie i pod względem budowy twarzy, formy nosa, cery i wzrostu. I pod tym względem mieszanie się odwieczne dało ten sam

rezultat, t. j. powstały niezliczone kombinacye dwóch pierwotnych typów.

I tak co do nosa, badanie szczegółowe wykazuje w Europie znakomity procent nosów prostych, którą to formę uważać należy jako pośrednią pomiędzy dwoma typami.

Zupełnie jednak prosty nos zdarza się rzadko; częściéj się zdarza nos falisty, t. j. zbliżony do prostego. W tym wypadku na środku nosa, t. j. tam, gdzie się kończy część kostna, gdzie najwięcéj uwydatnia się wypukłość nosa garbatego, powstaje wyraźne wzniesienie, lecz część chrzęstna nie zniża się, lecz wznosi się nieco ku górze, jak u typowych krótkogłowców. Jest to więc kombinacya, w któréj część kostna, szkielet nosa należy do długogłowca, część niższa chrzęstna—do krótkogłowców, czyli możnaby tę formę za pośrednią uważać, jako typ rasy mieszańców.

Forma twarzy ulega temu samemu prawu, t. j. zbliża się mniéj lub więcéj do swego prototypu, jest wąską lub szeroką o wyraźnych konturach.

Dotąd mówiliśmy o pojedyńczych cechach, o pojedyńczych organach lub barwach. Koniecznym rzeczy porządkiem nasuwa się myśl, czy też nie ma tu jakiegoś ogólnego prawa co do całości; czy dwa typy pierwotne, mieszając się ze sobą, dążą do wytworzenia typu pośredniego, jednego lub może kilku, czy też jeden z dwóch pierwotnych ma mieć przewagę, o ile i pod jakim względem; czy z téj mieszaniny mają się odrodzić oba pierwotne typy, a może tylko jeden. Zaiste, są to bardzo ciekawe pytania, lecz nauka nie daje dotąd odpowiedzi decydującéj.

Niemal jedyną ogólniejszéj natury uwagę można zrobić, mianowicie tę, że przy krzyżowaniu dwóch tych ras, rasa długogłowców z większą siłą przekazuje barwę oczu, rasa krótkogłowców barwę włosów i kształt czaszki.

Garstka Wandalów, która przed wiekami osiadła na północnym brzegu Afryki i zmieszała się z ludnością o oczach ciemnych, do dziś dnia pozostawiła ślady po sobie — w niebieskich oczach tak obcych tamtejszéj ludności. Dla téjże przyczyny i u nas tak wielka jest liczba oczu niebieskich i to nietylko u blondynów, lecz dość często zdarzają u szatynów, a nawet u brunetów, gdy tymczasem oczy ciemne u blondynów należą do rzadkości.

Oprócz powyższéj obserwacyi co do udzielania potomstwu barwy oczu i włosów, badania dotychczasowe nie doprowadziły do żadnych ogólniejszych wniosków co do przyszłych rezultatów obecnego stanu rzeczy.

Każdodzienne doświadczenie wskazuje nam, że zamiast typów mamy mieszaninę doprowadzoną do nieskończoności. Jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko cechy ważniejsze jak barwę włosów, oczów, ogólną formę twarzy, czaszki, nosa i jeżeli będziemy pamiętali, że każda powyższa cecha może należéć do jednego z dwóch pierwotnych typów, lub też może odpowiadać formie pośredniéj, to otrzymamy tak wielką liczbę odmian, że można z nich otrzymać niezliczoną ilość kombinacyi; i w rzeczywistości, ta niezliczona ilość kombinacyi istnieje wśród ras. Stąd wnosićby nawet należało, że zmieszanie dwóch typów nie prowadzi do wytworzenia nowego typu—pośredniego, gdyż dotąd go nie wytworzyło, pomimo długiego już szeregu wieków, jak to mieszanie się odbywa. Dziś jeszcze na każdym niemal kroku spotykamy najprzeróżniejsze, najbardziéj chaotyczne zlepki pojedyńczych cech. Można widziéć krótką, szeroką czaszkę przy twarzy wąskiéj, wydłużonéj i odwrotnie, można spotkać długą i wąską czaszkę przy twarzy szerokiéj, wówczas kości licowe i łuki jarzmowe są mocno zarysowane prawie wyrastające, jak u typu mongolskiego, jednocześnie oba te typy mogą być: blondynem, szatynem lub brunetem; każdy znowu z tych typów może miéć oczy jasne, pośrednie lub ciemne; bardzo często można spotkać krótkogłowca, o twarzy krótkiéj, szerokiéj, posiadającego nos orli, cienki i wysoki—nos taki od pierwszego wejrzenia wydaje się organem niewłaściwym, obcym dla téj twarzy, jak równie uderzy niewłaściwością nos zadarty przy wąskiéj, długiéj twarzy. Dziwne też wrażenie robi brunet o jasnych, siwych oczach — typ ten jednak jest może najrzadszy. Również spotkać można blondyna, a szczególniéj blondynki, o ciemnych brwiach i oczach, a ta kombinacya nie robi nawet wrażenia ujemnego.

Taki jest rzeczywisty stan rzeczy: zamiast twarzy typowych, rasowych w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, spotykamy zawsze mieszańców.

Jaka jest przyszłość obecnego stanu rzeczy? Na pytanie to można dać odpowiedź w formie hypotezy i tylko co do formy czaszki.

Spostrzeżenia poczynione w całéj Europie środkowéj, t. j. we Francyi, Niemczech i u nas dostatecznie przekonywają, że typ krótkogłowy przeważa stanowczo, a dowodem tego przeciętne wskaźniki czaszkowe. Typ długogłowca o przeciętnym wskaźniku 74, znajdowany w licznych grobach rzędowych, znikł zupełnie, lub istnieje jako rzadki wyjątek. Ogromna większość typów jasnych środkowéj Europy, to jest blondynów z niebieskiemi lub wogóle jasnemi oczami, należy do krótkogłowców lub co najmniéj do pośredniogłowych o wskaźniku 78 — 79.

To znikanie typu długogłowego ujawnia się bardzo wyraźnie już w czasach przedhistorycznych, a gdy weźmiemy na uwagę fakt wielce prawdopodobny, że typ ten jest starożytniejszy, a przynajmniéj że w pewnym okresie on jeden zaludniał środkową i zachodnią część Europy, że typ krótkogłowy zjawia się późniéj, że walka dwóch tych typów rozpoczęła się niewątpliwie przy pierwszém ich zetknięciu się—to fakt przewagi krótkogłowców staje się niewątpliwym. Dla wyjaśnienia tego stanu rzeczy wielu uczonych przyjmuje hypotezę, że czaszka długa zmienia się na krótką, że pierwotna długogłowa rasa europejska zmienia się z czasem w ten sposób, że jéj wymiar poprzeczny czaszki stopniowo się zwiększa.

Ażeby bliżéj ocenić ten fakt na naszym gruncie, przyjrzyjmy się niektórym liczbom otrzymanym dla ludności okolic Lublina. Przytém trzeba miéć na względzie, że Lublin zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy północną a południową strefą naszego społeczeństwa, więc te dane mogą być poniekąd przyjęte za pośrednie dla naszego typu.

Otóż przedewszystkiém zaznaczyć należy, że ludność okolic Lublina jest krótkogłową, gdyż wskaźnik czaszkowy (na żywych) wynosi około 83. Wskaźnik czaszkowy uważać należy za cechę zasadniczą, wystarczającą do oznaczenia typu.

Przyjrzyjmy się innym szczegółom dostępnym badaniu bezpośredniemu okiem.

Weźmy cechę najłatwiéj dającą się spostrzedz z pierwszego wejrzenia — np. kształt nosa.

U ludu wiejskiego znajdziemy u mężczyzn około 59 procent nosów prostych, około 32 zadartych i około 7 garbatych; u kobiét prawie w równéj ilości proste i zadarte około 46 procent i 5 — 6 procent garbatych.

Pragnąc ocenić, który z tych kształtów uważać należy za typowy należy miéć na względzie, że nos prosty oznacza mieszaninę, jest wynikiem kombinacyi dwóch typów; nie należy więc go uwzględniać, lecz brać w rachunek wzajemny do siebie stosunek kształtów typowych, a więc wypadnie np. dla kobiét stosunek zadartych do garbatych jak 46 do 5, czyli w stosunku procentowym otrzymamy dla nosów garbatych około 10 tylko, gdy dla zadartych około 90.

Co do barwy włosów i oczu, wiemy już, że potomkowie dwóch ras, o których mowa, dziedziczą barwę oczów po długogłowcach, a barwę włosów po krótkogłowcach, czyli że będą przeważać oczy jasne, a włosy ciemne.

Szczegółowe badania w okolicy Lublina wykazują: oczów piwnych około 30%, gdy barwy jasne dosięgają 70%. Co do włosów rzecz

się ma odwrotnie: włosy blond sięgają do 26% — reszta przypada na szatynowe i ciemniejsze.

Jeżeli do tego dodamy, że lud wiejski, a szczególniéj kobiety mają twarze przeważnie krótkie, okrągłe—to typ naszego ludu zarysowuje się wyraźnie—jest to typ krótkogłowy, w którym przeważają cechy rasy celto-słowiańskiéj.

Twierdzenie to nasze jest zupełnie słuszne, prawdziwe, gdyż poparte liczbami otrzymanemi przez nas na naszym gruncie, ażeby jednak dokładnie uwydatnić rzeczywistość, jednocześnie dodać należy że typ zupełnie czysty prawie nie istnieje w rzeczywistości, w naturze. I tak: jeżeli weźmiemy tylko cechy odnoszące się do cery twarzy, barwy włosów i oczu, to zarówno typów czysto-jasnych jak i typów czysto-ciemnych znajdziemy zaledwie około 8—10 procent. A jeżeli wśród tych dziesięciu osobników, chcielibyśmy znaleźć odpowiednią formę twarzy i czaszki, t. j. znaleźć typ zupełnie jasny o twarzy długiéj i czaszce podłużnéj a typ ciemny o twarzy krótkiéj i czaszce krótkiéj, to na kilkaset zebranych pomiarów antropologicznych zaledwie znajdziemy parę osobników. Gdybyśmy daléj chcieli znaleźć typ jasny lub ciemny, któryby jeszcze miał i odpowiedni nos — bo poszukiwania nasze dają już napewno rezultat ujemny. Jednem słowem, połączenie 5—6 cech charakterystycznych typu czystéj rasy nie istnieje. Jest to właśnie wynik mieszania się dwóch ras od czasów bardzo dawnych, bo sięgających co najmniéj środkowych epoki krzemiennéj, dlatego téż, pomimo znakomitéj przewagi, że tak powiemy pojedyńczych cech typu celto-słowiańskiego u nas, typ czysty nie istnieje.

Dotąd mówiliśmy tylko o dwóch niewątpliwie głównych typach, nadających ogólny charakter społeczeństwu.

Drogę tę obraliśmy dla tego, ażeby przedstawić zasadnicze zjawisko mieszania się ras w obrazie możliwie najmniéj skomplikowanym.

Obecnie wypada nam pomówić o innych rasach wchodzących do znanéj nam już mieszaniny.

Pierwszą z kolei o któréj mówić wypada, jest rasa śródziemnomorska.

Nazwę swą otrzymała ona z tego powodu, że w czasach przedhistorycznych zajmowała brzegi morza Śródziemnego tak w Europie jak w Afryce a nawet i w Azyi, a także wyspy leżące na tém morzu. Rasa ta należy do szczepu semickiego.

Cechy jéj fizyczne są następujące:

Wzrost niżéj średniego, włosy czarne, gładkie i miękie, cera twarzy śniada, oczy ciemno-piwne.

Co się tyczy kształtu czaszki — rasa ta należy do długogłowych, twarz jest wązka, podłużna, nos garbaty a nawet orli.

Rasa ta jest prawie tak samo zmieszana z krótkogłowcem środkowéj Europy, z rasą celto-słowiańską na południu Europy — jak ta ostatnia na północy Europy z rasą długogłowca blondyna. Chociaż tylko na półwyspie włoskim analogia jest zupełna, gdyż tak samo jak od północnych stoków Alp, wskaźnik czaszkowy zniża się stopniowo ku północy, tak samo od południowych stoków do końca półwyspu Apenińskiego.

Mianowicie w północnych Włoszech wskaźnik czaszkowy dochodzi do 86 a nawet wyżéj—ku południowi stopniowo się zniża i dochodzi w Kalabryi i Sycylii do 78—a na Sardynii nawet do 76. Stopniowy ten i dość regularny szereg liczb dowodzi—tak samo jak i na północy, bardzo powolnego w ciągu długich wieków mieszania się dwóch różnych elementów rasowych.

Na półwyspie Bałkańskim stosunek elementów rasowych jest mniéj więcéj taki sam jak i we Włoszech, lecz nie ma tu widocznego stopniowania. Elementy rasowe są niejako chaotycznie zmieszane — co zależy, w pewnéj przynajmniéj części, od zarysów półwyspu, kierunku gór i rzek. Względy te wpływają bowiem na kierunek wędrówek ludów — czy to szybkich wskutek wejścia zdobywców, czy też powolnych wskutek naturalnego rozrastania się danéj ludności.

Rasa śródziemnomorska dochodzi nie tylko do siedzib krótkogłowców w środkowéj Europie, lecz wyraźne jéj ślady sięgają znacznie daléj ku północy. Na zachodzie Europy dosięga ona do dzisiejszéj Anglii. W środkowéj Europie przechodzi poza linię Alpy—Tatry. Na wschodzie Europy są również wyraźne jéj ślady.

Dzisiejsi Rumunowie—są nawet dość czystymi przedstawicielami téj rasy—a granice jéj są znacznie szersze od dzisiejszych granic Rumunii.

Jest ona jeszcze bardzo wyraźną w Bessarabii a sięga jeszcze wyżéj ku północy; daje się wyśledzić na lewym brzegu Dniepru a także i we wschodniéj Galicyi.

Na północy od Karpat typ ten spotyka się coraz rzadziéj. W Galicyi, na północnych stokach Karpat można widziéć osobniki dość jeszcze charakterystyczne. Daléj na północ dają się widziéć tylko pojedyńcze cechy tego typu, lecz i na Litwie można znaléźć wyraźne jego ślady.

Rzecz prosta, że typ ten u nas nie jest czysty, a przedewszystkiém z formy czaszki jest już krótkogłowcem — lecz czarne, często nawet kruczo-czarne włosy, garbaty wązki nos przy podłużnéj wązkiéj twa-

rzy składają całość dość jeszcze charakterystyczną, szczególniéj gdy w dodatku oko jest ciemne. U szlachty typ ten a przynajmniéj jego główniejsze cechy są częstsze aniżeli u włościan. Powszechnie znany portret króla Jana Sobieskiego jest dość charakterystycznym dla tego typu.

W niektórych rodzinach szlacheckich, typ ten przechowuje się uporczywie—naturalnie nie u wszystkich członków rodziny.

Można spotkać rodziny jednego nazwiska oddawna rozdzielone—których jedynym śladem powinowactwa jest ten sam herb, zachowujące jednakże cechy typu tak wyraźnie, że niepodobna wątpić o ich wspólném pochodzeniu.

Owe typy ciemne rasy śródziemnomorskiéj łatwo wyróżniają się pośród jaśniejszéj większości naszego społeczeństwa.

Rozpatrując proces mieszania się krótkogłowca celto-sławiańskiéj rasy z długogłowcem jasnym, zauważyliśmy, że typ czysty żadnéj z tych ras nie istnieje, że bardzo trudno znaléźć jednostki u których cztery—pięć zasadniczych cech do jednéj z tych ras można widziéć wyraźnie—a przyczyną tego jest ciągłe mieszanie się od wieków bardzo odległych, przedhistorycznych. Toż samo zjawisko ma miejsce i co do domieszki rasy śródziemnomorskiéj. Jakkolwiek o epoce, w któréj nastąpiło zetknięcie się tych dwóch pierwiastków rasowych, nic dokładnego, powiedziéć nie można, to jednak z wszelką pewnością twierdzić wolno, że zetknięcie to miało miejsce w czasach przedhistorycznych, a w każdym razie przed okresem greckim i rzymskim.

Z tego właśnie powodu, jak na północy istnieją obecnie wszelkie możliwe kombinacye i stopnie zmieszania krótkogłowca środkowéj Europy z jasnym blondynem północy — tak podobnież kombinacye i stopniowanie istnieje na południu, ze zmieszania się tegoż krótkogłowca z śródziemnomorcem. Lecz nie dość na tém, obie rasy długogłowe nie tylko dosięgały do środkowéj Europy do strefy krótkogłowców—lecz posuwały się znacznie daléj — lecz że rasa śródziemnomorska wkracza nawet w sferę jasnego blondyna północy i odwrotnie ten ostatni wkracza do krajów, gdzie już się zaczyna element rasowy śródziemnomorca.

Dla uproszczenia analizy elementów rasowych naszego społeczeństwa opisaliśmy początkowo tylko fakt mieszania się dwóch ras, krótkogłowca środkowéj Europy z jasnym długogłowcem północy a podając wskaźniki czaszkowe na linii idącéj od Tatr ku Litwie daliśmy wskazówkę główną do oznaczenia stosunku wzajemnego dwóch tych elementów.

Obecnie wskazaliśmy trzeci element, jego geograficzne położenie i w ogólnych zarysach jego stosunek do dwóch powyższych elementów. Łatwo więc teraz przedstawić sobie jaki wpływ wywarł ten trzeci dodatek i w jaki sposób ukazuje się on w naszém społeczeństwie.

Nie chodzi nam tu o dokładne badanie roli historycznéj lub oznaczenia ilościowéj domieszki tego elementu — gdyż do tego potrzebaby miéć dokładne dane, zebrane przynajmniéj z setki osobników w każdym powiecie—wskażemy tylko na niektóre szczegóły.

W powiatach południowych guberni Lubelskiéj spotkać można typy zachowujące wiele rysów śródziemnomorca: wzrost średni, włosy czarne, miękie, cera śniadawa, nos orli wązki przy twarzy także wązkiéj. W miejscowościach, gdzie typ śródziemnomorca jest wyraźniejszy—i typy jasne zachowują pewne właściwości. Często można spotkać szatynów lub nawet blondynów, u których brwi i rzęsy są zupełnie czarne a rumieniec na twarzy jest nieco ciemniejszy, aniżeli rumieniec zwykłych naszych typów jasnych i szczególniéj w młodym wieku ta odmiana jest bardzo wyraźną i mimowoli zwraca na siebie uwagę badacza.

Wśród ludności, gdzie większa jest domieszka rasy śródziemnomorskiéj, niebieski kolor oka przybiéra odcień ciemniejszy, taki jaki można widziéć na obrazie Madonny Murilla.

Przyczyną tego zjawiska jest większa ilość ciemnego barwnika, tęczówki oka—tak samo jak ciemniejszy rumieniec jest skutkiem ciemniejszego barwnika w skórze.

Obok żywiołu śródziemnomorskiego wspomniéć wypada o Ormianach, których pewna część przebywa wśród naszego społeczeństwa a pewna część bardzo zresztą nieznaczna weszła do jego składu.

Ormianie należą do krótkogłowców Małéj Azyi, którzy stanowią dalszy ciąg rasy krótkogłowców środkowéj Europy.

Ormianie nie są rasą czystą—tak samo jak i krótkogłowcy środkowéj Europy.

Sąsiadując przez długie wieki z rasą semicką od południa a nawet często będąc pod jéj panowaniem—mieszali się z nimi.

Ponieważ Semici należą do téjże saméj rodziny co i śródziemnomorcy—więc téż i Ormianie co do swego składu rasowego zbliżeni są znacznie do ludności półwyspu Bałkańskiego np. do Albańczyków. Czyli mówiąc inaczéj Ormianin i ta część śródziemnomorców, która weszła w skład naszego społeczeństwa, mają mniéj więcéj jednakową ilość krwi krótkogłowca i ciemnego długogłowca. Jednakże chociaż rasa środziemnomorska i Semicka są sobie pokrewne — to jednakże są między niemi pewne różnice; dla tego téż i typ ormiański nie jest iden-

tyczny z typem śródziemnomorca europejskiego; zachował on pewne szczegóły właściwe wschodowi. W dalszym ciągu wypada nam słów parę powiedziéć o Żydach — chociaż domieszka tego elementu do naszéj rasy jest bardzo nieznaczna.

Żydzi są Semitami — lecz zanim do nas przyszli przewędrowali naprzód na południe Europy, następnie — dążąc za postępem oręża rzymskiego ku północy dostali się do środkowéj Europy. Rzecz bardzo naturalna, że po drodze musieli ulegać mieszaniu się z temi rasami, wśród których przebywali. Domieszka jednak śródziemnomorskiéj — jako pokrewnéj mało wpływała na zmianę właściwego typu. Dopiéro w środkowéj Europie, w pośród ludów germańskich następuje silne mieszanie się z elementem niemieckim.—Wiemy jak znaczny procent naszych Żydów wykazuje pierwiastki elementu blondynowego, jest to właśnie domieszka z czasów pobytu Żydów w Niemczech. Domieszka zupełnie obca względem elementu semickiego. Co jednak jest rzeczą ważną i godną zanotowania, to mianowicie to, że Żydzi już w Azyi mniejszéj nie są czystym typem semickim. Jest w nich domieszka elementu czarnego—rasy negrytosów. Dziś jeszcze resztki téj zagadkowéj dotąd w historyi rasy są widocznie na brzegach zatoki Perskiéj.

Rasa ta w epoce poprzedzającéj panowanie Semitów w Azyi mniejszéj, mianowicie Asyryjczyków i Żydów, była dość liczna i odegrywała pewną rolę historyczną — mało dotąd jednak wyświetloną. W końcu wspomniéć należy i o rasie pochodzenia środkowo-azyatyckiego, czyli jak ją dziś najwłaściwiéj nazywają o rasie Uralo-Altajskiéj.

Główne cechy téj rasy są następujące: wzrost średni, głowa duża, czaszka zbliża się do okrągłéj — twarz szeroka, płaska z powodu szerokich i wystających na zewnątrz kości licowych i spłaszczonego nosa, oczy małe, ukośne, włosy czarne, skóra żółta.

Rasa więc europejska czyli biała różni się znacznie od rasy Uralo-Altajskiéj. Przy mieszaniu się jednak tych dwóch ras, szczególniéj gdy do mieszaniny wejdzie osobnik z rasy Europejskiéj, bardziéj krótkogłowy — produkt mieszania się traci szybko wyłączne swe cechy. Skośność oczu znika dość szybko. Najtrwaléj utrzymuje się charakterystyczna cecha w budowie kości licowych, dla badania poglądowego. Lecz cechą najbardziéj charakterystyczną jest wskaźnik nosowy, na osobach żywych, t. j. stosunek szerokości do długości nosa. Cechę tę można nazwać odczynnikiem elementów rasowych. Żadna inna cecha nie dzieli całéj ludzkości tak dokładnie na trzy najwyraźniejsze i najbardziéj naturalne działy: na rasę białą, żółtą i czarną. Ta ostatnia ma najszersze nosy, żółta średnie a biała najwęższe.

Co do udziału rasy Uralo-Ałtajskiéj w naszém społeczeństwie, to już z badań poglądowych można nabrać przekonania że pomiędzy Renem a Wisłą zdarzają się osobniki o wydatnych kościach licowych i szerokich twarzach; daléj ku wschodowi typy te są coraz częstsze.

Badania nasze nad wskaźnikiem nosowym stwierdzają powyższy fakt. Wskaźnik nosowy dla ludności powiatu Sandomierskiego jest niższy w porównaniu z ludnością gubernii lubelskiéj. Domieszka ta elementu Uralo-Ałtajskiego miała miejsce niewątpliwie w czasach przedhistorycznych.

Niewielka domieszka z czasów historycznych — z ostatnich dziejów Tatarów nie pozostawiła takich śladów, któreby dały się wykazać za pomocą cyrkla antropologa.

Gdyśmy na początku rozważali mieszanie się w ciągu długiego czasu dwóch tylko elementów rasowych, przyszliśmy do przekonania, że w rezultacie powstało bardzo dużo odmian mieszańców.

Gdy więc do nich dołączyły się nowe elementy rasowe, o których dopiéro co mówiliśmy, musiała ta mieszanina skomplikować się jeszcze bardziéj. O typie więc w ścisłém znaczeniu antropologiczném nie może być mowy w naszém społeczeństwie — bo nie ma dziś przedstawicieli czystéj rasy.

Z tém wszystkiém jednak, wśród téj mieszaniny nie tylko pojedyńcze cechy każdéj rasy, lecz nawet dwie, trzy a nawet i cztery złączone razem w jednym osobniku dają się spostrzegać od czasu do czasu. Ta właśnie okoliczność pozwala mówić o typach, zawsze z tém zastrzeżeniem, że nie są to prawdziwe typy rasowe. Szczególniéj te cechy, które wpadają w oko od pierwszego wejrzenia, mianowicie barwa włosów, barwa oczu, kształt nosa, owal twarzy, wzrost, przy pewném ugrupowaniu daje możność mniéj lub więcéj dokładnego określenia, przynajmniéj przewagi jednéj ze składających dane indywiduum ras.

Z tego punktu widzenia można naszkicować pewne typy.

Najbardziéj zbliżony do typu głównego elementu rasy celto-słowiańskiéj—jest typ blondyna lub szatyna średniego, lub nawet nizkiego wzrostu o twarzy szerokiéj w młodym wieku, szczególniéj u kobiet okrągłéj, z nosem wklęsłym czyli zadartym, o barwie oka jasnéj, najczęściéj niebieskiéj.

Mówiliśmy już, że typ ten w okolicach Lublina jest najczęstszy, jak wykazały szczegółowe badania.

Kościuszko jest przedstawicielem typu krótkogłowca — szczególniéj co do formy nosa, posuwając się na północ, staje się on rzadszym.

Częściéj występują nosy faliste lub proste przy twarzy węższéj, podłużnéj, a oczy niebieskie stają się częstszemi. Jeszcze daléj na

północ np. w gubernii Kowieńskiéj, przewaga pierwiastku blondynowego uwydatnia się coraz bardziéj. Można tu już napotkać typy przypominające czyste typy jasnego długogłowca północy: jasne włosy, jasno-niebieskie oczy, nos garbaty, twarz wązka i długa.

Ku południowi domieszka ciemnego śródziemnomorca staje się wyraźną.

W gubernii Lubelskiéj w powiecie Krasnostawskim, można spotkać osobniki, u których typ ten zarysowuje się wybitnie: czarne włosy, oczy ciemne, nos przypominający prawdziwy nos orli, śniadawa cera.

Wspominaliśmy już, że typ ten u szlachty zdarza się częściéj aniżeli u ludu. Przy bliższém badaniu tego typu można odnaleźć dwie jego odmiany, które możnaby nazwać rzymską i grecką. Obie odmiany są sobie pokrewne — powstały z pierwiastków rasowych pokrewnych. Pokrewieństwo to można sprawdzić i dziś jeszcze — nawet wśród naszego społeczeństwa. U nas można napotkać rodziny o wyraźnych cechach śródziemnomorca, w których są osobniki przedstawiające odmianę typu rzymskiego i osobniki typu greckiego.

Pierwszy odznacza się głównie formą nosa—uważaną pospolicie za typową pod nazwą nosa rzymskiego — Cezar na znanym powszechnie obrazie „Śmierć Cezara", ma taki właśnie typowy nos rzymski. Typ ten lepiéj jest uwydatniony u mężczyzn. Twarz zazwyczaj jest wyraźnie wązka i sucha.

Odmiana grecka, cechuje się głównie czołem prostopadle się wznoszącém ku górze, przy naturalnéj pozycyi głowy, przejście linii czoła w linię nosa, w profilu jest nieznaczne, a nos jest prosty lub lekko tylko garbaty.

Typ ten, wśród naszego społeczeństwa jest wyraźniejszy u kobiét, gdyż wogóle powyżéj opisana linia czoła jest właściwszą czaszce kobiecej.

W strefie południowéj, typ krótkogłowca jest bardziéj zbliżony do swego pierwowzoru rasowego, gdyż obok cech któreśmy powyżéj opisali, zdarzają się osobniki o ciemnych oczach i włosach, lecz osobniki takie należą do rzadkości, nie jest on tak liczny, jak jasny krótkogłowiec.

Te są główne typy zdarzające się pośród naszego społeczeństwa. Domieszka elementu ormiańskiego wogóle jest nieznaczna — spotyka się wyjątkowo, dla tego téż o typie ormiańskim u nas nie może być mowy.

Co do zmiany przeciętnego naszego typu, przy domieszce pierwiastku Uralo-altajskiego, to mówiliśmy już, że typ ten wyróżnia się przedewszystkiém szerokością i wydatnością kości licowych; wgięcie

pomiędzy czołem i nosem jest wyraźne; nos prosty, szeroki, nie wysoki a często nawet nieco spłaszczony, czaszka zbliża się do formy kulistéj. Typy takie są zazwyczaj ciemne t. j. mają włosy czarne, oczy ciemnopiwne, cerę śniadą; zdarzają się jednak i typy jasne odznaczające się bardzo wyraźnemi cechami rasy Uralo-ałtajskiéj; często bardzo także typy jasne odznaczają się jeszcze bardzo wyraźnym prognatyzmem zębowym, zęby są postawione ukośnie z wyraźném pochyleniem ku przodowi.

Ten jasny typ noszący wyraźne cechy rasy uralo-ałtajskiéj — odnieść należy do Finów—mianowicie do Finów jasnych zachodnich. Zdaje się, że Jadźwingowie byli pochodzenia fińskiego—i jako resztki téj rasy pozostały opisane typy głównie na Podlasiu.

Przechodzimy do podobnéj analizy typów żydowskich.

Zasadniczym pierwiastkiem rasowym Żydów, jest typ semicki — lecz typ ten pomiędzy żydami północnéj i środkowéj Europy jest bardzo rzadki. Typ ten, jak wiadomo, odznacza się przedewszystkiém pewną regularnością rysów i czystością linii: czoło pięknie zarysowane, nos orli, usta o delikatnym konturze; oprawa oczu wyraźna, oko duże, ciemne. Typ ten, pospolicie wschodnim zwany, należy jednak do rzadkości wśród naszych Żydów, a nawet pojedyńcze cechy tego typu rzadko się napotykają.

Drugim typem również rzadkim, lecz dającym niekiedy spostrzegać się wśród naszych Żydów—jest typ który można by nazwać asyryjskim, dobrze znanym z licznych płaskorzeźb, pochodzących ze starożytnego państwa Asyryjskiego. Typ ten odznacza się przedewszystkiém garbatym, grubym, mięsistym nosem i grubemi wargami. Włosy czarne kędzierzawe i takaż broda. Trzecim typem jest ów zagadkowy typ suzański, w którym już wyraźna domieszka typu negrytów. Odznacza się on przedewszystkiém kędzierzawemi włosami; kędziory bywają czasem tak drobne i mocno zwinięte że przypominają zupełnie włosy negrów. Cera przytém bywa bardzo ciemna, usta grube a nawet nos przypomina rasę negrytów, bywa szeroki i nie wysoki.

Powtarzamy jeszcze raz, że typy powyższe jako takie, nie istnieją wśród dzisiejszych Żydów; najczęściéj dają się zauważyć pojedyńcze cechy, rzadko dwie, trzy cechy danego typu istnieją u jednego osobnika. Gdyż, może żaden inny naród nie przedstawia takich rozmaitości, takiéj mieszaniny różnych elementów rasowych, szczególniéj jeśli uwzględnimy i typy jasne, blondynowe, które są dodatkiem z czasów pobytu Żydów w środkowéj i północnéj Europie. Te typy blondynowe przedstawiają jeszcze większą rozmaitość, a najwłaściwszą ich cha-

rakterystyką jest to, że można o nich bez przesady powiedzieć, iż nie mają wcale typu, że każdy osobnik stanowi typ odrębny.

Żydzi stanowią niewielką część naszéj ludności—nad analizą typów żydowskich zastanawialiśmy się dlatego, że jest to przykład najbardziéj pouczający, najwyraźniéj przekonywający, z jakiéj mieszaniny, z jak różnych pierwiastków powstają wyraźne jednostki społeczne. .

II.

Antropologia i sztuka

Obecnie po zbadaniu odmian typów naszego społeczeństwa, należałoby zastanowić się nad pytaniem, jaki jest cel podobnego badania typu nosowego. Otóż głównym celem tego badania jest ścisłe poznanie człowieka—cel czysto naukowy, taki jaki ma badacz natury w badaniu każdéj żywéj istoty. Nad szczegółowym rozbiorem tego zagadnienia nie mamy zamiaru tu się zastanawiać. Wskażemy tylko na niektóre wyniki tych badań.

Znajomość typu może być bardzo użyteczną w archeologii i w badaniach epoki przedhistorycznéj wogóle. Następujące przykłady dają nam tego dowód.

W jednéj z licznych grot znajdujących się w okolicy Krakowa, mianowicie, w grocie zwanéj na Na-Łopiankach blisko Mnikowa, pomiędzy innemi zabytkami człowieka przedhistorycznego, znaleziono wycięty z blaszki kostnéj profil ludzkiéj twarzy.

Zabytek ten znaleziono w najniższéj a zatém w najdawniejszéj warstwie mułu, którym dno groty zostało wypełnione. W warstwie téj znalezione liczne narzędzia krzemienne bez śladu metali. Kości jelenia, daniela, niedźwiedzia szarego, określają zresztą dokładnie epokę téj najgłębszéj warstwy namuliska.

Ludzie zamieszkujący podówczas okolice Krakowa, palili ciała swoich umarłych—odnalezienie więc szkieletów, tych najważniejszych dokumentów do badań przedhistorycznych jest mało prawdopodobne. Dlatego też ów profil wycięty na tabliczce kostnéj staje się bardzo cennym zabytkiem. Pomimo to, że zabytek ten nosi na sobie cechy artyzmu bardzo pierwotnego, że został wykonany z żebra wołu, przy pomocy jedynie nożyka krzemiennego, linia nosa jest o tyle dokładnie wykonana, że twierdzić można z wszelką pewnością, że wzorem do tego rysunku był typ rasy celto-słowiańskiéj.

Nie miejsce tu wchodzić w bliższe roztrząsanie pytania o ile zabytek taki znaleziony w namulisku groty, może być uważany za doku-

ment historyczny, w każdym razie jest on wskazówką pożądaną w braku innych.

Można wskazać inne przykłady wykazujące jeszcze wyraźniéj znaczenie typu, w poszukiwaniach odnoszących się do odległych epok historycznych. Wiadomo jak ważne wskazówki dają dla historyi ras ludzkich figury wykute na pomnikach starożytnego Egiptu a szczególniéj figury ludzkie malowane odpowiedniemi barwami na papyrusach.

Malowidła wyjęte z grobowców etruskich często są bardzo wymowne. Typy nosowe na niektórych z tych malowideł są tak wyraźne, że obrazy te stają się poprostu dokumentami historycznemi.

Na jedném z większych i doskonale przechowaném malowidle etruskiém, znajdującém się w muzeum Watykanu, artysta przedstawia następującą scenę: po jednéj stronie obrazu widzimy barkę przybijającą do brzegu morskiego — ludzie wychodzący z téj barki są wyraźnie przedstawicielami rasy śródziemnomorskiéj — po drugiéj stronie obraz przedstawia ogród, w którym rosną drzewa owocowe, a ludność zajęta zbieraniem owoców przedstawia typ wyraźnie jasny, taki jaki i dziś bardzo jest liczny w północnych Włoszech

Dotychczas sądzono, że jasne typy włoskie pochodzą z czasów wędrówek ludów germańskich; mianowicie Longobardowie, od których imienia znaczna część północnych Włoch swą dzisiejszą nazwę otrzymała, uważani są za ów element, od którego pochodzą dzisiejsze typy blondynowe.

Malowidła Etrusków dają dowód bezwzględnie pewny, że typy jasne są dawniejsze od najdawniejszych wędrówek germańskich.

W dziedzinie sztuki nowożytnéj studya antropologiczne zajmą poważne stanowisko.

W całéj naturze człowiek jest niewątpliwie najważniejszym tematem dla sztuki.

Antropologia, w obszerniejszém znaczeniu téj nauki, badając człowieka i pod względem formy i pod względem psychologicznym dać może poważne wskazówki i w dziedzinie sztuki plastycznéj i w dziedzinie najsubtelniejszych studyów w dziedzinie ducha ludzkiego.

Istota sztuki polega niewątpliwie na zręczności i zdolności wyrażenia pewnéj idei i na wrażeniu, jakie artysta wywołuje w widzu; lecz jednocześnie istotą sztuki musi być prawda, bez tego warunku nie może być oddziaływania.

Gdzież jest ta niezbędna prawda? Odpowiedź jedyna — w naturze i tylko w naturze.

Jeżeli z dziedziny tych ogólników przejdziemy do pojęć bardziéj szczegółowych, jeżeli będziemy mówić tylko o sztuce plastycznéj i jeżeli wrócimy do przedmiotu, który tu nas zajmuje specyalnie, do człowieka i do kształtów jego ciała, to owa szukana prawda znajduje się w harmonii części z całością a harmonia polega na matematycznym stosunku części do całości.

Otóż ten stosunek części do całości, niezbędny dla artysty, podać i należycie określić może tylko ścisła, dokładna nauka, tylko anatomia łącznie z antropometryą. Historya sztuki wskazuje, że od czasów najdawniejszych istniało poczucie potrzeby pewnych stałych danych co do rozmiarów ciała ludzkiego.

Dyodor Sycylijski mówi wyraźnie, że Egipcyanie tworzyli swoje rzeźby podług stałego kanonu. Szczegóły tego kanonu zostały odszukane w nowszych czasach z dzieł sztuki egipskiéj. Jest to tak zwany kanon Lepsiusa, dla którego jednostką miary jest długość palca średniego.

Grecy mieli również kanon ściśle określony przez Polykleta, żyjącego w epoce rozkwitu sztuki greckiéj — w epoce Fidyasza. Rozmiary jednak tego modelu zostały zatracone.

Pierwsze zasady modelowania z czasów starożytnych, które doszły do nas, przypisują Vitruviuszowi — z epoki rzymskiéj, z czasów upadku sztuki greckiéj. Polega on na podziale głowy na cztery równe części; głowa stanowi ósmą część całego ciała i t. d.

W epoce odrodzenia sztuk pięknych w wiekach średnich, artyści idąc śladami wzorów starożytnych, nie zaniedbywali studyów anatomicznych. Najwięksi artyści: Rafael, Michał Anioł, Leonardo da Vinci poświęcali długie lata studyom anatomicznym i wymagali, ażeby artysta znał doskonale kształty ciała ludzkiego i tylko temu, kto je znał dokładnie, wolno było robić drobne odstępstwa dla uwydatnienia pewnych szczegółów lub też dla konieczności wymaganych przez technikę samą—odpowiednio do własności fizycznych materyału i t. p.

Dziś jednak owe świetne tradycye ścisłego badania kształtów ciała ludzkiego, prawie zupełnie zostały zaniechane.

W szkołach sztuk pięknych nie ma wzoru obowiązującego. Żaden z profesorów nowoczesnych nie posługuje się przy swoich utworach jakimś stałym modelem. Żywy model jest wszystkiém dla nowożytnego artysty. Często jako środek pomocniczy służy ciemnia optyczna i fotografia. Metoda ta pozornie tylko odpowiada wymaganiom.

Ponieważ dzieło sztuki powinno być prawdziwém — a prawda leży tylko w naturze, więc łatwy wniosek, że najlepszym modelem jest model żywy. Rozumowanie logiczne, lecz rodzi się pytanie, czy w na-

turze istnieje gotowy, doskonały model żywy i czy oko nawet najlepszego artysty nie potrzebuje pomocy innych zmysłów, czy poprzednia znajomość dokładna rozmiarów ścisłych nie jest ułatwieniem a często kontrolą niezbędną.

Prawdziwy chaos istnieje w naturze z powodu zmieszania się ras. Widzieliśmy, że czyste typy rasowe nie istnieją w naturze. Prosta obserwacya, studyowanie tylko za pomocą oka nawet setek żywych modeli nie może prowadzić do poznania typu rasowego.

Ażeby wniknąć w istotę rzeczy, potrzeba naturę badać z całą ścisłością naukową. Owa niedostateczność samego oka dla artysty uwydatnia się doskonale w teoryi sztuki.

Jeżeli weźmiemy do ręki opracowania teoryi sztuki, pozostawione nam przez najznakomitszych jéj znawców sztuki znajdziemy mniéj więcéj takie określenie owéj upragnionéj prawdy w dziele sztuki.

Wszyscy się zgadzają, że dla najrealistyczniejszéj nawet sztuki prawda pozostaje zawsze tylko ideałem i to ideałem niedościgłym, do którego tylko częściowo zbliżać się może, lecz nie istotnie i nie w rzeczywistości.

Ten idealny charakter prawdy w sztuce, znajduje swój wyraz widzialny, dotykalny w tak zwanym typie. Lecz co to jest typ? Czy w rzeczywistości natura składa się z typów? Czy wogóle typ w znaczeniu estetycznėm jest pojęciem przedmiotowėm. Estytycy odpowiadają, że nikt nie odważy się dać odpowiedzi twierdzącéj na postawione pytanie, ponieważ typ jest wytworem wyobraźni, jest on zbiorem w jednéj postaci takich własności i rysów, które w rzeczywistości są rozrzucone po wielkiéj liczbie szczegółowych objawów.

To rozumowanie estetyków-teoretyków jest najzupełniéj słuszne, lecz wynika ono z obserwacyi powierzchownéj tylko, z oceniania owych pojedyńczych objawów na oko tylko.

Zobaczmy teraz jak rozumiéć należy typ w znaczeniu ścisłėm, naukowėm.

Dla antropologa pojęcie typu łączy się z pojęciem rasy. Poszukiwanie typu odbywa się za pomocą określania wymiarów przeciętnych.

Jeżeli w danéj miejscowości zrobimy pomiary kilku setek ludzi, to przeciętna każdego wymiaru w każdéj setce wypadnie jednakowa, gdyż setka wymiarów wystarcza dla zatarcia różnic indywidualnych; tym sposobem otrzymujemy wymiary przeciętne które są wzorem danego typu.

Jeżeli w innéj miejscowości powtórzymy te same wymiary i znowu w każdéj setce otrzymamy rezultat jednakowy i stale różny od re-

zultatów w poprzedniéj miejscowości otrzymanych, to otrzymamy wymiary drugiego typu.

Jeżeli obok stałych różnic, w pewnych wymiarach istnieją jednocześnie różnice w barwie cery, włosów, oczu, to rzecz prosta, mamy prawo mówić o dwu różnych typach ludzkich.

Te typy nie są już pojęciem abstrakcyjném, idealném — są to typy rzeczywiście istniejące w naturze. Ta okoliczność, że typ skończony we wszystkich szczegółach, nie istnieje prawie w naturze, z powodu ciągłego mieszania ras, nie zmniejsza wcale doniosłości powyższego faktu. — Istnienie typów jest odrębném zupełnie zjawiskiem a mieszanie się tych typów, jest nowém zjawiskiem, lecz niezależném od pierwszego. Pewna odmiana człowieka powstając w jednych warunkach fizyczno-geograficznych, wytwarza mniéj lub więcéj jednolitą rasę — rzecz prosta w ciągu długich epok. Następnie, gdy wśród téj gromady powstaje organizacya, gdy gromada się rozmnaża i rozlewa się dokoła, następuje mieszanie się sąsiednich odmian. Sztuka nie uwzględniała nigdy istnienia tych odmian typu ludzkiego. Wszyscy, którzy dotąd w dziedzinie sztuki traktowali o kształtach ciała ludzkiego, nie zajmowali się wcale rasami ludzkiemi zasadniczo. Artyści byli zawsze monogenistami, przed tém zanim powstało nawet pytanie czy człowiek pochodzi od jednéj pary, czy téż powstał na różnych punktach kuli ziemskiéj, pod postacią zupełnie różnych typów.

Dla artysty istnieje tylko człowiek, kształty ciała ludzkiego. Oko artysty pozwoliło wybrać te kształty, które dają największe zadowolnienie estetyczne, i powstał pewien typ idealny. Dla Greków — był to typ idealny Greka—dla dzisiejszego artysty, jest idealny typ rasy europejskiéj.

Czy tak pojęty typ ludzi jest zgodny z naturą? z ową konieczną dla sztuki prawdą?

Historya sztuki daje możność poznać stopniowy rozwój naszych pojęć estetycznych, szczególniéj co się tyczy kształtów ciała ludzkiego.

W Grecyi sztuka dosięgła do tak wysokiego stopnia, że dzieła stworzone przez artystów greckich stały się wzorem dla następnych wieków i dziś zajmują bezspornie to samo od wieków uprzywilejowane stanowisko. Sztuka grecka kształciła wszystkie następne pokolenia artystów i stała się mistrzynią naszych pojęć estetycznych. Według przyjętego określenia, piękno jest to uczucie wrodzone, które posiada każdy człowiek, jest to jednak wyrażenie zbyt ogólne i abstrakcyjne. Ściślejsze określenie, podał Camper, jako naturalista, będąc jednakże sam niepoślednim artystą: przyczém określenie jego ma głównie na

względzie piękno fizyczne, piękno kształtów. Określenie jego jest następujące:

Poczucie piękna wytwarza się przez oglądanie pewnych dzieł, wychowanie, przyzwyczajenie, a nadewszystko poczucie to wytwarza się pod wpływem powagi niewielkiéj liczby wielkich artystów, którzy określili zasady piękna.

Określenie to jest jaśniejsze, lecz podług wymagań współczesnéj fizyologii, należałoby zmienić to określenie w ten sposób:

Piękno jest utrwaleniem na drodze dziedzicznéj przez liczne pokolenia pewnych idei, wyznawanych najprzód przez jednostki, następnie przez szkoły.

I tak jest w rzeczywistości.

Wzory greckie, kształcąc przez tyle pokoleń smak artystyczny, stały się trwałym ideałem — do tego stopnia, że wyrażenie: klasyczny, klasycznie piękny, znaczy tyle, co idealny, idealnie piękny.

Nietylko w szkołach sztuk pięknych, lecz we wszystkich szkołach, pierwszym modelem zawsze jest głowa klasyczna typu greckiego.

Otóż taki stan rzeczy nie może nie wpływać na wyrobienie pojęcia piękna w pewnym jednostronnym kierunku.

Wskazaliśmy wyżéj, że Europejczyk jest mieszańcem, że trzy główne składniki rasowe są tak od siebie różne, iż niepodobna ich zespolić w jednym typie. Wskazaliśmy daléj, że antropometrya przy pomocy metody pozytywnéj, niemal matematycznie pewnéj, dała możność dokładnego określenia każdego typu. Każdy z tych typów jest typem realnym, jest wytworem natury, każdy typ jest cząstką prawdy rozlanéj w naturze.

Na tém nie kończy się badanie typu rasowego; typy te różnią się pomiędzy sobą nietylko cechami fizycznemi, nietylko wzrostem, wymiarami czaszki, formą twarzy lub nosa, barwą włosów i oczu, lecz te typy może najwięcéj różnią się pomiędzy sobą swą treścią duchową. Te nowe pojęcia o człowieku, zdobyte przez nowożytną naukę, znajdą niewątpliwie swój wyraz w sztuce.

Wundt w swéj psychologii fizyologicznéj, autor, co niewątpliwie najgłębiéj przeniknął i najlepiéj określić potrafił tajemnicze procesy naszéj istoty duchowéj, w taki sposób określa wrażenie estetyczne:

Dopiéro ożywienie form zmysłowych treścią naszych pojęć wywoluje zupełne wrażenie estetyczne.

Jest to prawda niezaprzeczona: same linie, same kształty nie mogą wystarczyć nawet w architekturze — i tu musi być zachowany pewien styl, który jest wyrazem pewnéj myśli, pewnych naszych pojęć. Gdy zaś idzie o odtworzenie kształtów żywych, a szczególniéj człowie-

ka, same kształty témbardziéj nie mogą wystarczać. Rasa jest tém dla kształtów ludzkich, czém styl dla architektury. Artysta, tworzący postać ludzką, musi mieć na względzie nietylko kształty, lecz musi uwydatnić i treść wewnętrzną.

Myśl tę dosadnie wyraził Bolesław Prus w jednéj ze swoich kronik, zdając sprawozdanie z wystawy sztuk pięknych.

„Coś mi się zdaje, nie wiem czy słusznie, że dobry portret jest takim wstępem do wielkiego malarstwa jak gamy do kompozycyi muzycznéj. Portrecista musi w obrazie swego kundmana pokazać nietylko jego rysy, ale i duszę. Gdy zaś malarz zaczyna szukać duszy w osobach, rzeczach i sytuacyach, już jest na drodze do wielkości."

Boleslaw Prus, chociaż sztuka malarska nie jest jego specyalnością, za pomocą właściwéj sobie logiki i zdolności spostrzegawczéj, w kilku wierszach kroniki dokładnie scharakteryzował zadanie malarstwa nowożytnego. Nam się zdaje, że pojęcie to jest zupełnie słuszne; należy je rozwinąć i zastosować do wyników dzisiejszéj nauki, do pojęcia typu w znaczeniu antropologicznem, nie poprzestając na badaniu różnicy, dotyczącéj samych kształtów tylko.

Historya sztuki, jeżeli zwrócimy uwagę na chrakterystykę sztuki w epokach odległych od siebie, przekonywa nas dowodnie, że charakter sztuki zależy głównie od pojęcia, od idei panującéj w danéj epoce, od rozwoju umysłowości człowieka.

W czasie, gdy się rozwijała sztuka grecka, mało zwracano uwagi na duszę. Artysta grecki cały swój geniusz wysilił w kierunku odtwarzania ciała. To téż artyści greccy stworzyli arcydzieła kształtów ludzkich.

Lecz sztuka nie poprzestała na tym stopniu twórczości, nie zadowoliła się wytworzeniem idealnych kształtów ciała.

W wiekach średnich sztuka była pod wpływem idei chrześciańskiej; rodzi się malarstwo religijne i stwarza nieznane dotąd ideały. Madonny mistrzów malarstwa religijnego stanowią odrębną, charakterystyczną epokę w dziejach sztuki. Artyści, którzy w tym kierunku stworzyli arcydzieła, mieli w duszy ideę Boga-Człowieka i Jego Świętéj Rodzicielki. Kształty ciała pozostały w sztuce jako niezbędny jéj element, lecz nie stanowiły jedynéj jéj treści.

Doba dzisiejsza jest epoką ścisłego badania. Badanie człowieka staje się jednem z najgłówniejszych zadań dzisiejszéj nauki. Etnografia w najobszerniejszém znaczeniu, antropologia, psychologia oparta na naukach, staje się przedmiotem badań wybitnych uczonych najnowszych czasów.

Kierunek ten zaznacza się wyraźnie nawet w dziedzinie poezyi. Powieść, a mianowicie powieść psychologiczna staje się panującą — i tu można bez przesady powiedzieć, że najdzielniejsze umysły, pracujące w dziedzinie poezyi, ukazują się tylko na niwie powieści.

Malarstwo musi podążać tą samą drogą. Musi odtwarzać człowieka tak, jak go dziś rozumié nauka. Musi zwrócić uwagę na charakterykę ras.

Ażeby dać jeszcze jeden przykład konieczności zespolenia nauki i sztuki, wracamy do historyi sztuki greckiéj.

Jest cała zupełnie odrębna grupa dzieł sztuki greckiéj, znanych pod nazwą posągów Hermafrodyta. Są to posągi mężczyzn o kształtach ciała kobiécego. Bardzo wiele z pomiędzy tych posągów są cennemi dziełami sztuki wogóle i niepośledinią ozdobą pierwszorzędnych zbiorów zabytków sztuki greckiéj.

Że przedmiot ten nie był wybrykiem jakichś spaczonych pojęć jednego z artystów lub téż pewnéj szkoły, dowodzi tego przedewszystkiém stosunkowo wielka ilość tego rodzaju posągów, a oprócz tego w mitologii greckiéj istnieją luźne baśnie, świadczące, że ówczesne umysły żywo zajmowały się tym przedmiotem.

Nowożytni krytycy sztuki wypowiedzieli najrozmaitsze zdania o tych utworach artystów greckich. Jedni powoływali się na zdania niektórych filozofów greckich, którzy przypuszczali możność stworzenia ideału człowieka, w którym kształty męskie i kobiéce zléwały się zupełnie. Inni widzieli w tém tylko zwyrodnienie smaku artystycznego i odnosili utwory tego rodzaju do epoki rzymskiéj, w któréj właściwa sztuka grecka chyliła się do upadku. Zdanie to jest niesłuszne już dlatego, że pierwszy posąg tego rodzaju był wykonany w III-im wieku przed Chrystusem przez Polyklesa Młodszego, jak o tém świadczy Pliniusz.

Winckelmann w swéj historyi sztuki tak się wyraża o tym przedmiocie: „Artyści pragnęli stworzyć zupełnie nowy obraz, łączący w sobie cechy i kobiéce i męskie. Stworzyli więc nowy organizm sprzeczny z danemi natury, posiadający tylko pozory prawdopodobieństwa przez zjednoczenie elementów piękna, wziętych z arcydzieł sztuki, lecz nie przedstawiającego żadnego typu istniejącego w naturze."

Zboczenie organizmu, wyobrażone przez posągi Hermafrodyta, istnieje niewątpliwie w naturze i znaném było w starożytności, lecz nikt nie może zrobić na seryo przypuszczenia, żeby typ tak rzadki i anormalny mógł być prawdziwym wzorem dla dzieł sztuki.

I rzeczywiście, z punktu widzenia sztuki niepodobna było przyjść do innego przekonania. Grecy dali tyle dowodów wyczerpania wszel-

kich zasobów ducha do wytworzenia idealnéj harmonii kształtów ciała ludzkiego, że prawie niepodobna przypuścić, ażeby jakaś wstrętna wada rozwojowa mogła pociągać ich duszę artystyczną, żądną przedewszystkiém harmonii.

Dopiéro ścisłe badanie naukowe morfologii i rozwoju ciała ludzkiego pozwoliło rozwiązać tę zagadkę sztuki starożytnéj.

Liczne już dziś spostrzeżenia kliniczne dowiodły, że istnieje pewne zboczenie rozwojowe ciała ludzkiego, będące następstwem zaburzeń w ośrodkach odżywczych systematu nerwowego, których następstwem jest nieprawidłowy rozwój organizmu: organizm męski przybiéra kształty kobiéce i odwrotnie, organizm kobiéty w dalszym swoim rozwoju przybiéra cechy organizacyi męskiéj. Przykłady pierwszéj odmiany są zupełniejsze. Przemiana następuje zupełna i dotyczy szkieletu, układu mięśniowego, rozwoju odpowiedniego tkanki łączno-tłuszczowéj podskórnéj, a nawet i systematu nerwowego, wskutek tego osobniki takie mają gust i usposobienie kobiéty.

Niektórzy z tych przeobrażonych mężczyzn, posiadają organizm o klasycznie pięknych kształtach ciała kobiecego — i taki przykład był niewątpliwie modelem przy tworzeniu Hermafrodyta przez Polyklesa. Dziś gdy zjawisko to zostało zbadane naukowo i zapisane do licznego szeregu zwyrodnień systematu nerwowego, nie budzi wrażeń sensacyjnych—lecz w starożytnéj Grecyi dało początek luźnym baśniom mitologicznym i wytworzyło cały dział sztuki, który przez długie wieki był zagadką. Zagadka ta témbardziéj zajmowała umysły krytyków sztuki, że bogata fantazya artystów greckich, nie poprzestała na typie klasycznym stworzonym przez Polyklesa, lecz w epoce późniejszéj powstawały mniéj lub więcéj zmienione.

Tworzono mnóstwo posągów dwupłciowych lub téż o płci niewyraźnéj; powstało bardzo dużo Bachusów, Erosów, Ganimedów zagadkowych, a nawet sam Apollo był brany za temat do tego rodzaju kreacyi.

Przykład ten daje podwójną naukę: dla artysty jest nauką, że prosta obserwacya natury, bez zbadania istoty rzeczy, prowadzi sztukę na bezdroża; dla krytyka sztuki jest bezwzględną wskazówką, że w wielu wypadkach, a może i we wszystkich, tylko ścisłe badanie przedmiotu może doprowadzić do właściwego rozwiązania zagadnień sztuki.

Rzecz ta zresztą nie jest nowa.

Bardzo dokładnie określił stosunek sztuki i nauki H. Taine

w swéj filozofii sztuki [1]). Powinowactwo łączące sztukę i naukę jest szczęściem wzajemném. Należy poczytać za chwałę dla nauki, że ofiarowuje piękności główne podwaliny; należy poczytać za chwałę dla sztuki, że opiéra swe najwznioślejsze budowle na prawdzie.

Zasada ta nie jest nowa; jest ona nawet tak stara, jak sama sztuka i nauka, lecz należy ją odnawiać z każdym postępem nauki, z postępem naszych pojęć i rozwojem idei. Takiém odnowieniem téj fundamentalnéj zasady sztuki w dziedzinie malarstwa i rzeźbiastwa, odnośnie do kształtów ciała ludzkiego, w dobie dzisiejszéj powinno być pojęcie ras ludzkich.

W naturze nie ma człowieka o kształtach idealnych, któryby mógł być wzorem dla sztuki, w naturze istnieją rasy niezmienne, stałe cechy tych ras.

Rasa jest wyobrażeniem prawa natury, jest następstwem niecofnioném całego szeregu zjawisk wiążących się ze sobą od pierwszych dni stworzenia, a których najogólniejszém pojęciem jest pojęcie ewolucyi. Rasy ludzkie taką odgrywają rolę w dziedzinie jestestw organicznych, jak systemy krystalograficzne w dziedzinie jestestw nieorganicznych.

Dana substancya chemiczna krystalizuje się stale w ten sam system krystalograficzny. A jeżeli zachodzą zmiany drugorzędne w krysztale, jeżeli nastąpi ścięcie kątów i krawędzi—zmienia się forma kryształu nie do poznania, lecz zmiana ta nie zmyli badacza: badając zasadnicze prawo rozkładu osi, odnajdzie on łatwo właściwy system krystalograficzny.

Zupełna analogia panuje w świecie organicznym, że tak powiemy, w budowie ras. Rasa jest wynikiem koniecznym pewnego kierunku sił natury — i ten kierunek niezmienny dąży bez wytchnienia do wytwarzania typu. Przyczyny uboczne mogą zmienić ten kierunek, mogą przeszkodzić wytworzeniu harmonijnego typu; zamiast typu może powstać chaos cech, może powstać karykatura typu, lecz kto zna zasadniczą harmonię typu ten i w karykaturze odnajdzie łatwo jego elementy. W dziedzinie ras ludzkich zjednoczenie nauki i sztuki jest podwójnie pożądane, bo nauka wskazała istnienie typu, lecz wykończenia i ostatecznego wycieniowania typu sama nauka oczekuje od sztuki.

Antropolog najchętniéj mierzy czaszkę szkieletową, bo tu znajduje niezmienne i pewne punkty dla oparcia cyrkla.

---

[1]) H. Taine, „Philosophie de l'Art", t. II, str. 275.

Pomiary na osobach żywych, jakkolwiek dają rezultaty zadawalniające, lecz nie wyczerpują przedmiotu. Są kształty tak zarysowane, że się nie dają mierzyć.

Oprawa oka, kształt nosa, szczególniéj jego skrzydeł—linia i wyraz ust, zaokrąglenie policzka są to rzeczy, których ani cyrkiel, ani liczba określić nie potrafi. Tylko oko artysty, jeśli zechce je przestudyować, i jego pendzel lub dłuto mogą oddać te szczegóły wiernie, podług wzorów natury.

Przykład może najlepiéj uwydatni potrzebę bliższego poznania typów rasowych.

Bierzemy pod uwagę obraz jednego z mistrzów nowoczesnych, przedstawiającego polowanie na niedźwiedzia. Z głębi ciemnego boru kilku ludzi dźwiga świéżo upolowanego niedźwiedzia. Ów ciemny bór, ubiory ludzi wskazują nam odrazu, że jesteśmy w głębi puszczy litewskiéj. Lecz przypatrując się twarzom, nie widzimy ani jednego Litwina. Twarze, które tu widzimy nie mają wcale typu. Autor obrazu odrysowałby niewątpliwie te same twarze, gdyby polowanie miało miejsce w Karpatach, tylko ci ludzie byliby w strojach huculskich.

Drugi przykład. Obraz zatytułowany: „Godzenie robotników". Widzimy kilka postaci z ludu wiejskiego z kosami na ramieniu, przed nimi ekonom. Ekonom jest dostatecznie scharakteryzowany, chociaż widać tylko jego plecy, bo jego taratatka i harapnik o grubéj rękojeści wystarczają do charakterystyki. Co do ludu, gdyby autor nie ubrał jednego z ludzi w wysoki kapelusz z pawiem piórem — nie można byłoby powiedziéć, że rzecz się dzieje w Krakowskiém, a nie na Mazurach.

Rzecz dziwna, gdy artysta zamierza wykonać obraz historyczny, zbiéra odpowiednie ubiory, zbroje; najdrobniejsze, prawie nic nieznaczące ozdoby pragnie widziéć w naturze własnemi oczyma, ażeby przyszły obraz jego był wiernném odbiciem prawdy, o typach ludzi prawie, że się nie mówi.

Krytyka z wielkiém uznaniem mówi o obrazie batalisty, gdy traktując przedmiot historyczny, stosownie do rzeczywistéj potrzeby, dobrze uwydatnił rozmaite rasy koni, które w danéj bitwie brały udział; co do typów ludzkich, krytyka nie ma wymagań, wystarczą przeciętne sylwetki europejczyka.

Walka Krzyżaków z Litwinami stanowi treść bardzo wielu obrazów naszych malarzy; można tam widziéć dowody sumiennych i drobiazgowych studyów zbroi krzyżackiéj i ubiorów Litwinów, a charakterystyka twarzy jest żadna; najwyżéj, dla charakterystyki krzyżaka maluje się go z jaskrawą, rudą brodą.

Czy jest w tém wina artysty? Odpowiedź nasza będzie raczéj przecząca.

Artysta nie jest winien, bo on z całą prawdą odtwarza na swych obrazach typ człowieka, ów przeciętny, klasyczny typ człowieka. Sztuka rozwija się i postępuje. Potrzeba zawsze pamiętać, że dzieło sztuki powinno wyrażać ideę, a opiérać się na prawdzie.

Otóż prawda — nie we wszystkich epokach jest jednakowo pojmowana. Nauka z biegiem czasu coraz jaśniéj ją oświéca i artysta o tyle jest winien, o ile nie dąży za nauką, za nowém oświetleniem idei. Grek miał przed oczyma tylko swój własny naród; ludy sąsiednie byli to barbarzyńcy, nie ludzie. Grek nie przeczuwał nawet istnienia duszy. Artysta grecki miał tylko ideę ciała i dlatego téż stworzył ideał kształtów ludzkich, daléj nie sięgał.

Rafael miał w duszy swojéj ideał Bogarodzicy, dlatego téż stworzył Madonnę.

Jakiż ideał ma miéć sztuka dzisiejsza? W jaki sposób nowy ma traktować człowieka.

Chwila dzisiejsza w malarstwie i rzeźbiarstwie jest chwilą wahania. Ludzie, co mają delikatniejsze poczucie estetyczne, twierdzą, że kierunek klasyczny nie wystarcza, nie zadawala uczucia estetycznego dzisiejszego krytyka i przepowiadają, że znajdzie się artysta, który stworzy nowy kierunek i zadowoli te wymagania przyszłości.

Czy można dziś odgadnąć ten kierunek przyszłości?

Sądzimy, że w dobie ścisłéj analizy ducha należy przynajmniéj robić próby. Sądzimy, że artysta-malarz lub rzeźbiarz nie torują drogi; artysta musi miéć gotową ideę, by ją odtworzyć na płótnie lub w marmurze. Sądzimy, że myśl toruje drogę.

Zdaje się, że ludzkość z gorączkowym pośpiechem dąży do zbadania wnętrza duszy ludzkiéj. Nawet poezya porzuca ulubione dawniéj sfery, stała się badawczą, przeszła w dziedzinę powieści psychologicznéj. Otóż nam się zdaje, że przyszły kierunek malarstwa będzie w takim stosunku do przeszłości, jak powieść Sienkiewicza do powieści Kraszewskiego.

Kraszewski w swoim czasie zadawalał czytelnika i krytyka nie miała nic do zarzucenia; typy swoje brał on z natury, z tego samego społeczeństwa, z którego czerpie dziś Sienkiewicz. Zdawało się, że Kraszewski tak wyczerpał typy, że ich zabraknie następcom, bo nietylko malował współczesnych, lecz sięgał i w bliższą i dalszą przeszłość.

Cóż nowego daje Sienkiewicz? Wszak daje typy z tegoż społeczeństwa i z téjże saméj przeszłości. Różnica polega tylko na wyrazi-

stości obrazów. Kraszewski podawał ludzi namalowanych blademi kolorami. Malował ludzi dobrych, złych, chciwych i rozrzutnych, cnotliwych i przewrotnych, odważnych i tchórzliwych, lecz nie pokazywał tego szeregu uczuć, dla których ten człowiek był takim a nie innym.

Dawniejsza powieść jest suchą kroniką życia ludzkiego, pisaną tak, jak pisali mnisi w ciszy klasztoru — dzieje obcéj im narodowości. Dzisiejsza powieść jest historyą żyjącego człowieka z uwydatnieniem każdego drgnienia jego duszy.

Po przeczytaniu powieści Kraszewskiego pozostaje wrażenie, że się słuchało powieści z czasów dawno ubiegłych; po przeczytaniu powieści Sienkiewicza, nawet z czasów Nerona, zdaje się, że przed chwilą stali przed oczyma prawdziwi, żywi Rzymianie, przysięgający szczerze lub nieszczerze, lecz na swoich własnych, rzymskich bogów, mordujący w uniesieniu niewolników, nie rozumiejąc, że popełniają zabójstwo, umiérający spokojnie, bez cienia trwogi, tak jak prawdziwy rzymski stoik umrzéć potrafił.

Malarstwo i rzeźbiarstwo muszą iść tą samą drogą.

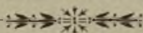
W każdéj postaci ludzkiéj, a człowiek na zawsze pozostanie głównym tematem, malarz odtworzyć musi jego indywidualność, wszystkie tajniki jego duszy. Każda więc postać musi być wzięta z natury, z „żywego modelu”, każda twarz musi być portretem, a w każdym portrecie muszą być uchwycone elementy rasowe, bo każda rasa ma inną duszę.

Lublin, 1 kwietnia 1896 r.

W. Olechnowicz.



W BAŁKANACH.



Iwan Wazow. „Pod jarzmem tureckiém.“ Powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w r. 1876, za pozwoleniem autora przełożyła Helena Sopodźkowa. Kraków, skład główny w księgarni Spółki wydawniczéj, t. I, 1895, str. 240, t. II, 1896, str. 298.

Ostatni okres rozwoju Bulgaryi należy do bardzo ciekawych zjawisk historycznych XIX wieku. Po nieszczęśliwym wybuchu powstania 20 kwietnia 1876 r., zatopionego w potokach krwi i gwałtach, których widok wywołał nareszcie powszechne współczucie cywilizowanego świata, zdawać się mogło, że interwencya pobratymczego narodu rosyjskiego postawi na nogi już tylko jakieś na pół obumarłe, ohydnie sposoczone cielsko, z którego duch oddawna uleciał. Spasowicz innego wprawdzie był zdania. Zwiedzając nazajutrz po traktacie berlińskim te ścierniska podbałkańskie, wdeptane w błoto lub do cna wygorzałe, te cmentarze, od których „żywym ludziom ciasno pomiędzy umarłymi”, te cerkiewki schowane niby kretowiska pod ziemię, te kupy rumowisk, wskazujące zaledwie miejsca, gdzie niegdyś wznosiły się stolice carstwa bulgarskiego, te samotnie w polu pracujące kobiéty z niemowlętami na plecach, te szkoły obrócone na szpitale, te gospody i domy zajezdne z powyrzucanemi drzwiami i poprutemi oknami, te nieprzebyte wśród szańców i rowów drogi, któremi jechać nie sposób, „tylko iść trzeba pieszo, niby z piętra na piętro”, te niwy pożółkłe, „pełne poschłych traw i krzaków”, te ogrody i sady owocowe zniszczone, opuszczone, owiane aromatem róż dziko porastających na pobojo-

wiskach, te niezliczone dokoła kurhany, na których tu i owdzie siedzi pastuch milczący, zadumany, i strzeże gromadki zachudzonych owiec,— podróżnik nasz twierdził pomimo to, wbrew oczywistości, że rozpaczać nie ma jeszcze powodu, że w Bulgaryi żyje przecież chłop, „skrzętny, gospodarny, bardzo pracowity i wytrwały, przytém rozważny wielce i rzetelny", że ciemiężca złupił z niego czupryne i świtę, ale nie dotknął ani jego wiary, ani pierwastków jego organizacyi społecznéj — gminnéj, administracyjnéj, sądowéj i szkolnéj, że na tych to podstawach,—„z dobrego końca", bo z dołu osnuty nowy porządek rzeczy, wcześniéj lub późniéj zjednoczy dwie rozdzielone przez traktat berliński połówki kraju, a jakikolwiek będzie układ urządzeń centralnych, w jakikolwiek sposób sporządzony zostanie regulamin władz naczelnych, „nowonarodzone państewko słowiańskie zadaniu swojemu podoła" i ze zgliszcz, z ruin, z upodlenia powstanie „społeczeństwo zdrowe i krzepkie, rozwijające się samodzielnie i swobodnie" („Pisma", t. VI, str. 61—65, 81). Tak utrzymywał Spasowicz na razie, w r. 1878, — ale, któż kiedy wierzył Spasowiczowi na słowo i przed czasem? — zwłaszcza, gdy prasa europejska wciąż powtarzała swoją tylko piosenkę. Dyplomaci, mężowie stanu, znakomici publicyści, nie przestawali głosić na wyścigi, że w téj bułgarskiéj, do „nie swojego bytu" powołanéj ekspresyi geograficznéj, tkwi jedynie nowy ciężar i kłopot dla przyszłości, że kraj ten powiększy tylko groźbę zawieszoną nad cywilizacyą, gdyż jest przytułkiem dzikich zwierząt i bandytów, nie mających najmniejszego wyobrażenia o samorządzie i warunkach istnienia państwowego, — gatunkiem miękkiego ciasta, przeznaczonego przybrać taką formę, jaką mu protektorowie nadać raczą...

I cóż powiécie? We dwanaście niespełna lat po Spasowiczu, temi samemi szlakami co i nasz pątnik, odwiedził te strony głośny publicysta rosyjski, ex-dyplomata S. S. Tatiszczew — i nie poznał już dawnéj ziemi mogił i krzyżów. Zmieniło się w niéj wszystko: i krajobraz, i ludzie, i bydlęta. W ciągu ostatnich lat kilku — pisał Tatiszczew—Bułgarya zrobiła postęp ogromny, zdumiewający w całéj ekonomice narodowéj, w handlu, przemyśle, szczególnie zaś w szkolnictwie, zastosowaném do głównéj gałęzi przedsiębierczości krajowéj, którą jest rolnictwo. W widokach zachęty i podniesienia ważnego tego działu gospodarstwa w Bulgaryi, pourządzane zostały stacye doświadczalne, instytuty rolnicze, kasy zapomóg wiejskich, szkółki stałe i przenośne. Nauczanie elementarne odbywa się w 3844 zakładach, do których uczęszcza 172,000 dziatwy pod okiem 5,000 bakałarzy. Towarzystw rolniczych pełno wszędzie; w jednym tylko roku 1889 powstało ich cztery. Nowo-zbudowana kolej od Jamboli do Burgas otwarła do-

stęp do morza bogatym prowincyom południowéj Bulgaryi i zetknęła kraj z ruchem handlowym i cywilizacyjnym Europy. W siedmiu głównych miastach kraju istnieją gimnazya męzkie, w czterech — żeńskie. Jest seminaryum nauczycielskie (w Kazanłyku), jest szkoła wojskowa, jest i uniwersytet (w Sofii). Spółek handlowych, wytwórczych, filantropijnych i artystycznych nie zliczyć. Finanse, pomimo stosunkowo olbrzymich wydatków na wojsko, dobrze utrzymane i uzbrojone, stoją doskonale, dług państwa nie wielki, administracya uczciwa i porządna. Dość rzucić okiem na Sofię, która od lat kilku ma wygląd zachodnio-europejski, ażeby módz powiedziéć, że od roku 1878 nie zmarnowano tu ani jednéj chwili, ani jednego szeląga.

Energia, rzeźkość, stanowczość, z jaką Bulgarya zadała kłam pesymistycznym wróżbom z lat 1877—79, widoczniéj jeszcze występują w literaturze. Obraz piśmiennictwa narodu z epoki bezpośrednio poprzedzającéj powstanie 1876 r. przeraża nicością swéj treści i skamienieniem swych kształtów zarodkowych, niemowlęcych. W latach od 1820 do 1840, zaliczonych do najpłodniejszych i najbardziéj ożywczych u wszystkich ludów słowiańskich, kiedy na widowni umysłowéj zajaśniały imiona Wuka Karadzicza u Serbów, Szafarzyka, Czelakowskiego, Kollara u Czechów, Puszkina, Lermontowa u Rosyan, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego u Polaków, zjawił się, co prawda, i u Bułgarów odnowiciel, w osobie węgierskiego rusina Jerzego Hucy (um. w r. 1839), który pod przybraném nazwiskiem Wenelina stał się „pierwszym sprawcą odrodzenia bułgarskiego w wieku XIX". Ale sile i rozciągłości tego ruchu najlepsze świadectwo wystawia ten fakt, że do r. 1840 cała literatura bułgarska składała się z czterdziestu książek. Po wojnie krymskiéj strumyk wezbrał do wysokości 800 dzieł, ale jakich! Drukowane to było we wszelkich możliwych alfabetach i pod pieczą najniemożliwszych nawet mecenasów oświaty narodowéj: w Wiedniu, Belgradzie, Atenach, Bukareszcie, Odesie, Konstantynopolu... Co do wewnętrznéj wartości tych skarbów, zależała ona wyłącznie od daty i miejsca pochodzenia tak foliału jak i ulotnego świstka. Zamiejscowe, nieupoważnione, zawierały wyłącznie frazesy rewolucyjne, wezwania do oporu, zachęty do odparcia gwałtu gwałtem, tudzież pożądane zawsze nowiny o bliskim upadku i rozkładzie barbarzyńskiéj potęgi wroga; miejscowe, w obieg puszczone, mówiły albo o sprawach kościelnych, albo też—zgoła o niczém. Dziś, bez przesady rzec można, że „daleko sięgające" zamiary cywilizatorów nadbosforskich, spełniły się co do słowa, literalnie,—nie wpierw jednakże, aż wszelki ślad ich łask i mądrości zniknął, zatarł się wśród kwiecistych, wspaniale od przyrody uposażonych pobrzeży Jantry i Marycy. Na mocno osadzonych po-

dwalinach oświaty ludowéj, wzniósł się gmach wykształcenia narodowego, z którém do miary stanąćby nie sromało się żadne szkolnictwo stare, odwieczną tradycyą podparte i uwieńczone. Pod gorącém tchnieniem żądz, nadziei i swobód długo tłumionych, sponiewieranych, kilkuwiekowy odłóg umysłowości bulgarskiéj pokrył się od pierwszéj orki roślinnością tak bujną, różnorodną, jak gdyby na nią umiejętnie i z nieustającém wysileniem pracowały dziesiątki pokoleń. Literatura bulgarska najświeższéj doby, starannie ale doraźnie wypielęgnowana w tych inspektach pedagogicznych, sama przez to stała się może zanadto dydaktyczna, praktycznemi dążnościami przesiąknięta, ale taki jéj kierunek zdeterminowało położenie narodu, który, wygrawszy na loteryi życia największą stawkę, przedewszystkiém radzić sobie musiał z tém, ażeby otrząsnąć się z nędzy materyalnéj, oskrobać się ze skorup niedoli i nieudolności zewnętrznéj, pierwotnéj, fizycznéj. W ciągu niezliczonego szeregu lat Bulgar żył wyłącznie swoim domem—to była jedyna twierdza jego narodowości; nadzwyczaj mocne związki rodzinne, przy wielkiéj czystości obyczajów, ocaliły go od zagłady, ale zarazem opancerzyły łuskami takiego socyologicznego upośledzenia i zacofania, że zamknięty w téj zbroi niewolnik, stracił w końcu wszelką sposobność, a stąd i wszelką zdolność do karnéj akcyi zbiorowéj, do obywatelskiego obracania się w grupach i masach. Wytworzyć w Bulgarze zcalający ów kit towarzyskości, dorobić jednostkom niezbędne owe zmysły uspołecznionego istnienia—problemat ten jaskrawo zabarwił wszystkie działy współczesnego piśmiennictwa bulgarskiego: poezyę, dramat, romans, estetykę, krytykę, dziejopisarstwo — do geologii i astronomii włącznie.

W jakim stopniu powodzenie uwieńczyło jednomyślne te zabiegi celniejszych pisarzy zmartwychpowstałego narodu? — rozstrzygnięcie pytania spoczywa dotąd w ręku historyka, który obdarzy nas kiedyś nareszcie obrazem ogólnego ruchu umysłowości Słowian naddunajskich od r. 1844, na któréj to dacie Mickiewicz zamknął przedwcześnie swoje prelekcye paryskie; dziś, ciągle jeszcze pocieszać się tylko trzeba słowami wieszcza: ludy te mieszkają za daleko od nas — „na innym planecie"... Z odległości takiéj, naturalnie, dolatują do nas jedynie zjawiska najdobitniéj odskakujące od poziomu, ubocznie tylko przyczyniające się do charakterystyki powszednich trosk i widoków ludzi zamieszkałych na planecie „bratnim". Iwan Wazow, jako najznakomitszy dotąd poeta i powieściopisarz bulgarski i jego dwutomowy utwór „Pod jarzmem" *(Pod igo-to)*, spolszczony świeżo przez panią Helenę Sopodźkową, a od lat już kilku uważany przez Bulgarów za ich narodową epopeę w prozie, — nie wiele téż zapewne

nastręczy uwag, ułatwiających nam odpowiedź, czém jest bieżąca literatura bulgarska w rysach swych znamiennych, zasadniczych, wyraz całości zaznaczających. Bo i tę również osobliwość, najgłębiéj zresztą słowiańską, zaznaczyć trzeba, że epopea Wazowa dopiéro wtedy w Bulgaryi ogłoszona została za „narodową", a jéj autor otrzymał miano „jednego z pierwszorzędnych żyjących mistrzów słowiańskich", kiedy Anglicy po angielsku, Niemcy po niemiecku „Pod jarzmem" odczytali. Słuszność dodać każe, że Pypin już w r. 1880, niebawem po ukazaniu się celniejszych utworów poetyckich Wazowa, *Tągi-tie na Bałgaria* (Bukareszt, 1877) i *Izbawlenie* (Bukareszt, 1878), dał się słyszéć z prognostykiem, że „jest to—jak się zdaje — największy z młodych wieszczów" (t. II, str. 1122). Wszakże, na widownię publiczną wystąpił on znacznie wcześniéj. Urodzony w r. 1850-ym w Sopocie, u podnóża Staréj Planiny, jednym z najbardziéj malowniczych zakątków południowéj Bulgaryi, otrzymał wykształcenie miejscowe, stosunkowo znaczne, gdyż ojciec jego, kupiec z zawodu, nie szczędził kosztów nawet na gimnazyum. Ale dusza młodociana nie rada pochylała się ku kantorkowi ojcowskiemu; nieporozumienie rodzinne, jakie się stąd wywiązało, pchnęło uwieńczonego już na ławach szkolnych śpiewaka „Sosny" (przypominającéj nieco naszą „Kalinę") w wir życia dobrowolnie — tułaczego, wpierw nim skosztował gorzkiego chleba przymusowéj po r. 1876 wędrówki pośród obcych łanów. W robotach przygotowujących powstanie kwietniowe wziął udział żywy — i to się następnie najwyraźniéj odbiło w powieści „Pod jarzmem", drgającéj wszędzie tętnem osobistych doświadczeń autora. Nie żałował ni pióra, ni natchnienia; te z jego utworów, które się przebiły przez mur czasopism bulgarskich, zginęły prawdopodobnie na zawsze dla potomności; inne, obrawszy drogę publikacyi ustnéj, gminnéj, dochowały się po dziśdzień, doczekały chwil szczęśliwych, kiedy ich melodye kapele wojskowe wygrywają na placach przedratuszowych w Sofii i Filipopolu... Spiskując na wygnaniu, po upadku ruchawki r. 1876-go, z późniejszym prezydentem ministrów Stefanem Stambułowem, Wazow dzielił też następnie i tryumfy swego przyjaciela, gdy zwycięskie wojska rosyjskie sowicie pomściły srogą, nieludzką represyę rokoszu kwietniowego. Powołany na prezesa sądu okręgowego w Berkowicy, daléj na urząd prokuratorski w Widdyniu, poeta porzucił wkrótce służbę rządową i jako przewodniczący odnowionego w Filipopolu towarzystwa literackiego i redaktor jego organu „Nauka", poświęcił się niepodzielnie umiłowanemu zawodowi pisarskiemu. Większéj, niż w dniach klęsk ojczystych dzielności i rzutkości, z siebie wydobyć nie zdołał, ale talent jego zmężniał, zrównoważył się, wyszkolił na do-

brych wzorach zagranicznych, głównie francuskich, i dał narodowi kilka rzeczy cennych, świetnych, dobrze przyjętych nawet na zawalonem bibułą targowisku zagranicznem, jak np. powieści i nowele: „Nie oddawna", „Kątek w Staréj Planinie", „Czyczowcy", — lub zbiorki utworów rymowanych: „Pieśń o zapomnianych", „Pola i góry", „Italia", „W królestwie wieszczek" i t. p.

„Pod jarzmem" podoba się. Tłómacz polski próbował w przedmowie wyświetlić, na czém mianowicie polegają zalety dzieła; największéj z nich jednak, nie przewidzianéj przez estetykę w żadnym poszczególnym dziale, nie rozwinął należycie. Zasadza się ona na tém, że na czytelniku wykształceńszym, przesyconym sztucznemi dzisiejszemi wyrobami romansowemi, niewysłowiona prostota opisu i dokładność wysłowienia Wazowa wywierają to samo wrażenie, co kubek źródlanéj wody — na podróżnym w omdleniu lub na biesiadniku po przepiciu się. Siedzi rodzina bulgarska przy wieczerzy. Zupełnie zbyteczna jest tu rycina; najwyborniéj widzi się bez niéj kto mianowicie siedzi, jak siedzi, na czém siedzi, co jé, z czego jé, czém jé i czy mu jadło w smak idzie lub w niesmak. To nie pisane — to wyrąbane. Rozmowa: ojciec zapytuje syna, o czém dziś mówił nauczyciel w szkole. — „O wojnie z powodu dziedzictwa hiszpańskiego tronu..." „Dajże im pokój, tym Hiszpanom, — ot, opowiédz raczéj o tém, jak Bonaparte bił Prusaków"... — i malec tnie, że aż kark trzeszczy, a we łbie skry się sypią. Nagle, w głębi dziedzińca wszczął się hałas dziwny. Z dachu spadło z trzaskiem kilka cegieł, przestraszone kury zaczęły gdakać i trzepocąc skrzydłami rozbiegły się dokoła. Służąca, która właśnie zbiérała naczynia od wieczerzy, wrzasnęła przeraźliwie: hajducy! hajducy! W całym dworze powstał zamęt straszliwy. Kobiéty wybiegły z domu, dzieci ukryły się w kątach i stały jak oniemiałe, gospodarz wlepił chmurny wzrok w głąb dziedzińca, skąd dolatywała wrzawa. Po krótkim namyśle, poskoczywszy do swojéj izby, wypadł bocznemi drzwiami przylegającemi do stajni, trzymając w ręku parę pistoletów... Co w stajni znalazł — nie wiadomo. Dość, że gdy po niejakim czasie, który w domu wydał się długim jak wieczność, powrócił do izby, miał twarz całkiem spokojną, choć szedł szybko, jakby coś jeszcze było do zrobienia. Żonę i matkę zastał na wpół obumarłe z trwogi. Ujrzawszy go żywym i zdrowym, kobiéty wydały radosny okrzyk i schwyciły go za ręce, jak gdyby się bały, żeby znowu nie wyszedł. Gospodarz głosem równym najuroczyściéj je zapewnił, że nic na dziedzińcu nie znalazł. Prawdopodobnie kot lub pies przebiegł po dachu — dodał — a ta głupowata Pena (służąca) niepotrzebnie taki popłoch sprawiła... Nie kłamał. Na dziedzińcu istot-

nie nie było żywéj duszy, ale w stajni — zbieg był... Krył się przed pogonią. Swój zresztą, Iwanczo, syn dawnego dobrego znajomego, Manoła Kralicza. Umknął z turmy. Turcy już za nim, ledwie że ich nie widać...

Nie znaczy to bynajmniéj, aby autorowi obcemi były głębsze tajemnice nowoczesnéj sztuki pisarskiéj i nieprzebrane zasoby jéj postaciowań i uwydatniań. Ale wszystko przychodzić u niego musi we właściwym czasie i na właściwém miejscu, a przytém najzgodniéj z odwieczną regułą wszelkiego logicznego nauczania, że rzeczy bardziéj złożone objaśniać należy z pomocą mniéj złożonych i do wielkości nieznanych trafiać za pośrednictwem drobiazgów znanych. Najpierw wypada nam szczegółowo zbadać, kim jest naprawdę ów zbieg Iwanczo i czy nim jest rzeczywiście. Syn Manoła Kralicza! — to łatwo wymówić: z Kraliczem nie widziało się wszak Bóg wié jak dawno, a oto właśnie wisus już drapnął ze stajni i jak się domyślać należy, akurat w chwili, gdy oddział żandarmeryi konnéj do wrót pałaszami załomotał. W nocy, powiadają, bito we wsi na trwogę, słyszano strzały — raz, drugi, trzeci, psy z za płotów ujadały i wyły jak wściekle, na domiar zaś awantury, wiher zerwał się około północka szalony po dniu upalnym jak piekło... Skazaniec wywinął się tym razem pościgowi, dzięki zdwojonym ciemnościom nocy i zbliżającéj się nawałnicy. Biegł teraz coraz daléj i daléj, nie wiedząc dokąd; nogi uginały się pod nim ze znużenia, co chwila zdawało mu się, że padnie, by już nie wstać. Olśniewająca błyskawica naraz mrok rozdarła i ujrzał, że się znajduje za miastem; nikt za nim nie gonił. Runął wówczas pod najbliższe rozłożyste drzewo, aby choć trochę odpocząć. Wiatr rwący od strony gór, gwałtownie targał gałęziami, świst jego zléwał się ze szmerem liści i z głuchym odgłosem dalekiego grzmotu. Burza pędziła szybko, grom zahuczał nad samą głową uciekieniera, echem się rozlał w niezmierzonéj przestrzeni. Wobec nadciągającéj ulewy, młodzian puścił się w dalszą drogę, aby znaléść jakiekolwiek pewniejsze schronienie. Drzewa dokoła niego szumiały żałośnie, wysokie krzewy uginały się ku ziemi pod silnemi prądami powietrza, trawy i burzany kołysały się i szły jak fale wodne, przyroda, wstrząśniona do głębi, jęczała płaczliwie; tu i owdzie spadły pierwsze bujne krople dészczu, tętniąc na opoczystym gruncie jak kule...

Zawiązujący się wśród takich niepokojów atmosferycznych dramat, miałżeby być romansem w zwyczajném, pospolitém słowa znaczeniu? Wazow ustrzegł się dziwacznéj i nawet śmiesznéj maniery stowarzyszania (wtórującego lub kontrastowego) chórów niebieskich z powszedniemi i zazwyczaj marnemi objawami indywidualnych ludz-

kich bólów, zachwytów, cierpień, uniesień. Wié on, że nietylko niezbędny, istotny, lecz żaden widomy związek nie zachodzi między chybkiemi przypadłościami losów jednostek, a biegiem gwiazd i chmur. Maryonetka ludzka raz na słońcu płacze, drugi raz na śniegu skacze, tu obumiéra od przesytu na przednówku, owdzie rozmnaża się i panoszy od głodu pod jesień, — tam skwierczy, gdzieindziéj śpiéwa czy to w zimie, czy w lecie i t. d. Inaczéj podobno dzieje się na szerszą skalę, w dziedzinie zdarzeń dziejowych, w przelewnych i sypkich przeobrażeniach mas, gdzie owo uwzajemnienie człowieczego bytu ze środowiskiem przyrodzoném wyraźniéj spostrzegać się daje, jakkolwiek po licznych w naszych czasach omówieniach doktryny Herdera i Buckle'a, większe znaczenie zaczynamy przypisywać wpływom otoczeń drugorzędnych, pochodnych—antropologicznych, psychologicznych, historyozoficznych (dziedziczności, tradycyi, krzyżowaniu się ras, stosunkom politycznym, ekonomicznym etc.), niżli klimatowi, topografii i t. p. Autor „Pod jarzmem" za wielką rolę odegrał w gronie reformatorów i moralnych przywódców młodéj swéj społeczności, ażeby nie zapragnął dać jéj i na tym także terenie kilku lekcyi poglądowych, które jednakże--dodajmy to na jego pochwałę—bardzo szczęśliwie powiązały się z opisowością i obrazowością okolic, wypadków, przejść powstania kwietniowego, co w powieści historycznéj jest niewątpliwie na swojém miejscu. Góry, wąwozy, lasy, głuche zakątki bałkańskie, ich zadymki, śnieżyce, roztopy, spiekoty, ich flora i fauna, najdrobniejsze osobliwości i warunki ich geografii, statystyki i ekonomiki zaludnienia—toż to niemal cały determinizm, cała anatomia wykreślna ruchawki, cała racyonalna mechanika jéj zwrotów odpornych i zaczepnych. W obliczu niezmierzonéj téj matni przyczyn, powodów i niespodzianek twardych jak skała, nieubłaganych jak brak chleba wśród pustyni, nieuniknionych jak ostatni ładunek w ostępie osaczonym, — osobnik, choćby tak genialnym był jak Napoleon i tak zuchwałym, jak ten Iwanczo Kralicz, wracający z ucieczki i ukrycia do publicznéj działalności pod przybraném mianem i kostyumem Ognianowa, z konieczności schodzi na plan dalszy. Indywidualne jego zachcianki lub obliczenia, pomysły lub przekonania, — cóż te drzazgi obchodzić mogą ów huragan namiętności, który stopniowo zakradać się zaczyna do wszystkich głów i ogarniać najodleglejsze, najmniéj światu znane zaścianki i polanki bulgarskie, kędy zbieg nasz, szukając chwilowego przytułku i ocalenia, zatrzymuje się mniéj więcéj świadomie? Zasłonięta wzgórzem chata nad huczącym potokiem, gdzie mieszka młynarz z czternastoletnią swą córeczką w „krótkiéj czerwonéj spódniczce, o czarnych oczach z długiemi rzęsami" i gdzie zaczajony Kralicz-Ognianow,

w obronie ich czci i życia, głównie zaś we własnéj obronie, mimowolnie niemal zabija Emiksisza-Pehliwana, „najdzikszego, najokrutniejszego zbója tureckiego, którego imię napełniało trwogą powiat cały" (I, 22); stary monaster na rozległéj równinie, zasypanéj olbrzymiemi głazami i ocienionéj gąszczem odwiecznéj dąbrowy, gdzie mieszka młody dyakon Wincenty, wierzący w swą strzelbę tyleż przynajmniéj, co i w zastępy archanielskie śpieszące na odsiecz — i gdzie o świcie z zorzami rozhowor wiedzie stary maniak, jąkajło Munczo, który dopiéro ostatni, po skończoném powstaniu, zawiśnie na szubienicy tureckiéj (II, 278); jakaś zatłuszczona broszurka, „niewielkiéj wartości, nastrzępiona banalnemi frazesami patryotycznemi, z błędną ortografią, rozpaczliwemi okrzykami i obelgami na Turków, która smutnym stanem swych kartek zbrukanych i prawie na strzępy się rozpadających, wymownie o sobie świadczy, iż przeszła przez setki rąk i tysiące dusz napełniła płomiennym pokarmem" (I, 88); jakieś proroctwo ciemne, zagadkowe, niewiedziéć skąd pochodzące, a przecież najdowodniéj, bo z imienia „Turcyi" z liczebnego znaczenia liter tego wy razu wykazujące, że państwo otomańskie nieodmiennie rozpaść się musi w r. 1876, wreszcie jakiś okrąglak dębowy, nasuwający się w stanowczéj chwili pod rękę, z którego dymisyonowany kapral wyciosać potrafi kształt armatki, przypominającéj jak dwie krople wody działa Kruppa z ilustrowanéj książki o wojnie 1870 r. (II, 97, 99), — alboż kwestye takie nie są stokroć donioślejsze od egotycznych pytań: jaka tam gdzieś sosna tęskniéj zaszumi i jakie dziewczę rzewniéj zapłacze nad mogiłą wodza, bohatéra?

Ale indywidualizm wcześniéj lub późniéj weźmie górę — w miłości. Miłość jest niewiędnącém kwieciem dusz ludzkich. Praw swych i przywilejów nie traci ona nigdy, czy się gaje kołyszą od pieśni słowiczych, czy wśród piorunów drżą lądów posady. Pieszczotliwego jéj głosu nie głuszy nawet wojna, która, kto wié, czy nie dla miłości właśnie kuje swe groty i swe żagwie rozpala... Do powieści Wazowa psychologia ta niewieścia wchodzi głównie pod postacią Radki, narzeczonéj Kralicza-Ognianowa, która umrzéć ma od kuli nieprzyjacielskiéj, pod okiem oblubieńca, przy nim, w ostatniéj scenie dramatu, zamykającéj opowiadanie.

Radka, było to wysokie, wysmukłe, ładne dziéwczę, z jasném, naiwném, niemal dziecięcém wejrzeniem i milutką twarzyczką, któréj białość śnieżną podnosił jeszcze bardziéj obowiązkowy strój czarny. Siérotą będąc od dzieciństwa, wychowała się ona pod pieczą przełożonéj monasteru żeńskiego w Sopocie, złośliwéj, oszczerstwami żyjącéj Hadży Roboamy; kazano jéj następnie, gdy podrosła, zostać „posłuszni-

cą” czyli nowicyuszką, wreszcie powierzono jéj dozorowanie pierwszéj klasy w szkółce żeńskiéj przy monasterze, z pensyą tysiąca piastrów rocznie. „Smutny jest los dziewcząt sierot! — powiada autor. Wcześnie pozbawione ojcowskiéj opieki i macierzyńskiéj tkliwości, rzucone na łaskę lub niełaskę obcych, rosną one i dojrzéwają, nie spotykając nigdy wśród obojętnych dla siebie osób życzliwego uśmiechu lub przyjaznego słowa, któreby ich tęskną duszę rozgrzało. Są to blade, nędznie w zimnym lochu zamiérające kwiaty, pozbawione koloru i aromatu, chybaby traf szczęśliwy wspaniałomyślnie rzucił na nie ożywczą smugę świateł... Ach, wówczas jakże się rozsłaniają cudownie!” Światłem dla Radki było przybycie do Sopotu Ognianowa, któremu współtowarzysze i współwyznawcy—celem upozorowania jego zjawienia się i zabezpieczenia pobytu — wyjednali jakąś posadę w szkółce. Kilka wytrawnie przez autora odmalowanych scen z życia klasztornego i bakałarskiego, zręczne ugrupowanie rozmaitych stronnictw — białych, czerwonych — zdrożnie i występnie wetujących wzajemne swe urazy na neutralném polu wychowania dziatwy, służą do zobrazowania warunków, w jakich się zbliżyły ku sobie dwie bratnie dusze. Wyrosłszy wśród duszącéj i zgniłéj atmosfery zakonnéj, pod opryskliwém i despotyczném kierownictwem plotkarki Roboamy,—Radka rzuciła się ku Ognianowowi niby ćma ku świécy, przylgnęła doń niby balsam do rany. Istna dalibóg zmowa, istne nieszczęście w czasach, kiedy samo dotknięcie do ust ukochanéj równa się zbrodni stanu, jest niemal zdradą ojczyzny. Małoż człek i bez tego ma roboty około chłopów, węglarzy, flisaków, po hutach, kuźniach, cegielniach?... Ale kiedy nie skutkowały ani udawane gniewy, ani szczerze powzięte zamiary obojętnego usunięcia się i umycia rąk od fatalnych następstw najlżejszéj bodaj z Radką poufałości koleżeńskiéj, Ognianów wziął się na sposoby. „Jest, widzisz pani, rzecz taka—ozwie się do niéj dnia pewnego prawie surowo--żyjemy w okolicznościach całkowicie wyjątkowych. Nikt za nic ręczyć nie może. Dziś tu, jutro tam. Nie rozporządzamy sobą, nie należymy do siebie. Nie sposób wytrzymać dłużéj. Kraj wymaga poświęceń, dużo poświęceń. Kraj potrzebuje obrońców—licznych, zahartowanych, dzielnych obrońców. .” Dziewczyna siedziała nieruchomie. Ogarnęła tylko Ognianowa wzrokiem jasnym, przejrzystym — i milczała. Mówił za nią, uśmiéch jéj cichy, błędnie dokoła warg obiegający. „Obrońców?... dzielnych, zahartowanych?... ależ właśnie, ależ właśnie...” Bo i prawda. Któż, jeżeli nie kobiéta da ich krajowi? kto, jeżeli nie ona wraz z paciérzem wpoi w nich poczucie honoru i obowiązku? kto czujnością matczyną pierś im uzbroi na niedolę, na niesnaski, na krzywdy istnienia? .. Ognianow się żachnął. Wstał, okręcił się po

pokoju i wybiegł, trzasnąwszy za sobą drzwiami. Ale, tak czy inaczéj, trzeba było z tém skończyć. Im wcześniéj i radykalniéj, tém lepiéj. Nie ma rady, wypadnie wprost rzeczy nazwać po imieniu, nic w bawełnę nie obwijać... I skorzystawszy z najbliższéj sposobności, rzekł o ile mógł szorstko: „Proszę pani, nie mam prawa okrywać się dłużéj półcieniem. Zniewalasz mię do wyznania... Niech że raz na zawsze wiadomém będzie, że jestem..." Radka podniosła oczy. „Tak jest, niech pani sobie wybije z głowy — znikły dla mnie nadziei promienie—jestem galernik, tułacz, zbrodniarz"... Ciemna chmura okryła jéj czoło... „Kajdaniarz, fałszerz, zbój, morderca"... Drgnął. Wydało się mu naraz, że w téj chmurze, nad szeroko rozwartemi źrenicami ubóstwianéj dziewczyny, dojrzał błyskawicę, kreślącą najwyraźniéj, najdobitniéj roziskrzone słowa: „Chwałaż Tobie, o wielki Boże!.. A więc, po co zwlekać? Uciekajmy! czémrychléj uciekajmy w kąt jaki zapadły, w otchłań bezdenną, pod ziemię bodaj, byle tylko jak najdaléj, byle tylko jak najgłębiéj"... — „Nie łudź się, pani, to się na nic nie przyda, to nie pospolite jakieś przestępstwo, dla którego może być kiedyś łaska, przebaczenie... Czy wiész pani, ilu Turków zgładziłem ze świata... i jakich? Najpierw, głośnego Emeksisza Pehliwana, niechcący,—późniéj, w zasadzce w kilku, czterech... Co pani jest?... z czego tu być zadowolonym?... Sądzisz może że na tém koniec?—Napadliśmy niedawno na konwój z piętnastu zaptiów"... Radka jak szalona skoczyła na szyję Ognianowa. Oczywiście, — co tu i gadać długo! Im mniéj będzie tureckiego tego tałałajstwa na ziemi, tém więcéj niemowlęta będą mieć chleba, tém przestronniejsze łany pług oświaty zaorze, tém spokojniéj odetchnie pracownik w winnicy Pańskiéj (I, 73, 86, 232 i inne).

Sielanki z istoty swéj nie są trwałe. Jak w mglistą noc świętojańską gorejące stosy sobótki zaledwie tu i owdzie niklemi odblaskami muskają bliższe i wynioślejsze wzgórz stoki, drzew wierzchołki, domostw szczyty, tak i erotyzm Wazowa filigranowemi nitkami swych złoceń wije się jedynie po przez wydatniejsze momenty obrazu, którego głębie nie przestają nurzać się w cieniach gęstych,—niekiedy ponurych, grottgerowskich. Historyozoficzny pogląd autora na wypadki kwietniowe zdradza się z cierpieniem jakiémś wewnętrznėm, tajoném, w którém czuć trawiącą gorycz upokorzenia — nie tyle może z powodu niezmiernych strat przegranéj—zatartych późniejszym tryumfem — ile właśnie z powodu owego tryumfu, niezapracowanego, odniesionego nie o własnéj sile... „W ciągu dni kilku powstanie wszędzie zostało przytłumione. Walka zakończyła się okropnie, zamieniwszy się w trwogę bezmyślną. Dzieje dają nam przykłady walk również świętych a nie-

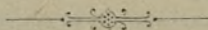
szczęśliwych, ale okrytych nie tak tragiczną niesławą. Powstanie kwietniowe było dziecięciem poczętém pod wpływem upojenia najognistszą miłością i uduszoném przez matkę z trwogi w chwili powicia... Nieszczęsna ta rewolucya nie miała nawet swéj historyi, gdyż trwała tak krótko, jak ogień ze słomy. Złote nadzieje, wiara głęboka, olbrzymia siła moralna i zapał, cały kapitał osiągnięty z kilkowiekowego cierpienia wszystko to zmarnowało się w dniu jednym, — w noc jedną!... Straszne przebudzenie! A ilu męczenników! ile ofiar! ile śmierci i upadków!... Tak, bezwątpienia -- ale i bohaterstwa trochę, i jakiego bohaterstwa!.. (II, 211—212).

W szczegółowych rzutach półświateł na powyższe tło powieściowe, godną zastanowienia jest męzka, przed niczém nie cofająca się odwaga, z jaką Wazow karci organiczne wady charakteru narodowego i niektóre cięższe zboczenia niedojrzałości politycznéj. Nie szczędzi on razów ani krańcowym zachowawcom bulgarskim, którzy woleliby „raczéj zgnić niż się bić”, ani niecierpliwym postępowcom, którzy wywiesili hasło: „trzeba natychmiast umrzéć, żeby się kiedyś wyswobodzić.” Wstrętną jest dlań zarówno zaciętość pierwszych w godzeniu się na najbardziéj upadlające wymagania zwycięzców, jak i zagorzała, w środkach nieprzebierająca, nożem skrytobójczym, kradzieżą wdowiego grosza, najbezczelniejszym nawet podstępem nie pogardzająca nienawiść obcego panowania. Najdotkliwiéj boli go—jak się zdaje — nieoględność, nieroztropność, zarozumiałość, pyszałkostwo narodu, który rozbudziwszy w sobie ducha do pewnéj wysokości, nie umiał, nie chciał, nie zdążył powstrzymać się na nich, by zejść w porę na niziny, by zlać na nie dobrodziejstwa błogiego ocknięcia się z drzémki śmiertelnéj. „Wiosna wcześniéj niż zwykle rozwinęła się w całéj pełni i zamieniła Tracyę w prześliczny rajski ogród; pola zasadzone różami kwitły nadzwyczaj obficie, niwy obiecywały bogate plony, a zżąć ich nie sądzono było nikomu... W dni kilka — co rzadko się zdarza na świecie — tajemnie wzrósł naród o całe stulecie” (II, 109). Gdyby w stanowczéj téj dobie opamiętano się naraz, powiedziano sobie: basta! Ale cóż, historya nie zna, znać nie chce żadnego „gdyby”, pomimo, że w danym wypadku przypuszczenie tak blizko graniczyło, zlewało się niemal z aktualnością realną, dotykalnie możliwą, wobec bierności władz tureckich, które częścią straciły głowę, częścią nadrabiały swą niezaradność lekceważeniem „hałasów zajęczych,” częścią zaś najszczerzéj po wschodniemu spuszczały się na Allacha. Miłe, ujmujące też czyni wrażenie zimna krew autora, jego ludzkość i wyrozumiałość w traktowaniu wczorajszych zaklętych wrogów, zepchniętych dziś na stanowisko mniéj więcéj przyzwoitych sąsiadów.

I. T. H.

FRANCUZI I ANGLICY.

Porównanie.



Są wyrazy tak utarte, tak powszednie, że się ich istotne znaczenie gubi i zaciéra, jak się zaciéra na zdawkowéj, w ciągłym obiegu będącéj monecie, znamię mennicy. W ich rzędzie wymienić można wyrazy: Zachód, cywilizacya zachodnia i t. d. Nie ma wątpliwości, iż obejmują one pojęcie dwóch społeczeństw, dwóch państw górujących na zachodnim stoku Europy—Francyi i Anglii. Ale gdy się je sprowadza do jednego mianownika, spuszcza się zazwyczaj z uwagi, że są to czynniki nie tylko odmiennéj, lecz pod wielu względami nawet wręcz przeciwnéj sobie natury. I przewidziéć téż łatwo, że się stąd wysnuwają wnioski całkiem fałszywe albo przynajmniéj niedokładne.

Fizyologia atoli organizmów zbiorowych, tak samo jak pojedyńczych, czyni postępy, dzięki zastosowaniu metody porównawczéj. O świecie zachodnim nabierze się jasnego pojęcia wtedy dopiéro, gdy w każdéj sferze ustroju towarzyskiego, pod względem zwyczajów, obyczajów, trybu życia, i t. d. odróżni się Francuzów od Anglików i jednych drugim przeciwstawi. Prawda że postęp czasu, wspólność bytu i interesów znoszą coraz bardziéj i niweczą dawniejsze różnice plemienne pomiędzy narodami i niwelują je w jednym powszechnym prądzie cywilizacyjnym. Ale jednolitość ta ślizga się nie raz tylko na powierzchni. Zstąpiwszy do głębokich warstw wewnętrznych, wnet

spostrzeżemy, że położenie geograficzne, przebieg historyczny, tradycye, religia, instytucye publiczne, ustawy, prawa, moralność, piśmiennictwo, sztuka, wyrobiły u sąsiadujących z sobą społeczności odmienne środowiska zbiorowe, że inny jest ich duchowy horyzont, inne ideały, inne *criterium* moralne i inna akcya prywatna i publiczna.

Jeżeli dla nas, postronnych, różnice pomiędzy dwoma społeczeństwami Zachodu mniéj są namacalne aniżeli ich gatunkowa jednolitość, to inaczéj rzecz się ma we własném ich wzajemném na siebie zapatrywaniu. Są oni świadomi przedewszystkiém tamtych. Ten wąski kanał, co dwa kraje dzieli, mógłby być tysiącomilowym oceanem a nie powiększyłoby to istniejącego pomiędzy niemi rozróżnienia. Przez trzy wieki, od Filipa-Augusta, Anglicy byli dziedzicznym wrogiem, najezdnikiem i zdobywcą Francyi. Nawet gdy ta wielowiekowa walka straciła na energii, nie zaginęła jéj pamięć. Dziś oba narody mogą zawrzéć z sobą przymierza polityczne: nie może to miéć wpływu na ich ustrój wewnętrzny. Francuz i Anglik tak mało są jeden do drugiego podobni, że możnaby ich uważać za mieszkańców dwóch różnych planet. Podróżują, przebywają całemi latami jedni u drugich, tłumaczą swe książki, zawierają indywidualne przyjaźni, ale pomimo tego dobrze wiedzą, że dzielą ich całe światy.

Ażeby wewnętrzną ich naturę zrozumiéć, nie ma tedy lepszego sposobu, jak posłuchać co Francuzi mówią o Anglikach, a Anglicy o Francuzach. Wydając sąd o sąsiadach, wydają jednocześnie o sobie samych, robią malowidło, o którego podobieństwie do oryginału nie może być najmniejszego wątpienia.

Źródeł do takiego studyum jest nieprzebrana obfitość, szczególnie ze strony angielskiéj. Nawet w oddalonych czasach Anglicy studyowali Francyę i Francuzów skrupulatnie i mniéj nimi pogardzali aniżeli innymi cudzoziemcami. Duch kosmopolityczny, który umieją pogodzić z wygórowaném poczuciem swéj własnéj wartości, pozwolił im wniknąć w jądro natury Francuzów. Nie tylko wykształcone warstwy społeczeństwa angielskiego są doskonale, gruntownie i wszechstronnie poinformowane o wszystkich objawach życia francuskiego, ale nawet nieraz w szerokich, podkładowych warstwach napotkać można taką znajomość. Trzeba też przyznać, że krańcowa centralizacya francuska,ześrodkowanie życia narodowego w jego stolicy, Paryżu, czyni obserwacyę łatwiejszą, jeżeli nie zawsze sprawiedliwą.

Ze strony Francuzów mniéj było pohopu do poznajomienia się z Anglikami. Naprzód stawała temu na przeszkodzie zarozumiałość i pycha. Uważając się za „najpierwszy z narodów" lekceważyli resztę świata. Następnie, za dobrze było im na swojéj własnéj grzędzie, ażeby

lubili podróżować, osiedlać się za granicą. Nieznajomość języka i literatury przyczyniała się także do ujemnych rezultatów. Z wyjątkiem Monteskiusza, ani jeden z przewodnich umysłów francuskich dawniejszych czasów nie rozumiał Anglików. Ci nawet, którzy, jak Voltaire, obdarzeni byli wyjątkową bystrością spostrzegawczą, mogli gościć i przebywać w Anglii a nie zdawać sobie jasno sprawy z ich cywilizacyi.

Dziś rzeczy się zmieniły radykalnie. Jeżeli „Historya literatury angielskiéj" Hipolita Taine'a dała sygnał do rozbudzenia we Francyi interesu do umysłowéj twórczości sąsiedniego społeczeństwa, to przełomową chwilą był rok 1871 i katastrofa wojny niemieckiéj. W świetle jéj tragicznem ujrzeli dopiéro Francuzi niewynagrodzoną szkodę, jaką im przyniosło pogardliwe lekceważenie obcych narodów; zrzuciwszy pychę z serca zaczęli badać naprzód Niemców, potém Anglików. Trzeba przyznać, że dokonali pod tym względem cudów. Nie ma pola działalności angielskiéj, któraby nie stała się we współczesnéj Francyi przedmiotem badań i dociekań. Ze Szkoły Nauk Politycznych p. Emila Boutmy wyszły już całe pokolenia publicystów, ekonomistów, którzy studyują organizm publiczny Wielkiéj Brytanii. W dziedzinie literatury, sztuki i t. d. na tuziny liczyć się już dają prace oryginalne nad angielską twórczością umysłową. Są pomiędzy niemi takie, jak te, co wychodzą z pod pióra p. Juliana J. Jusserand, które w Anglii, w krótkim przeciągu czasu stały się klasycznemi. Opinie i sądy Francuzów o Anglikach wyjaśniają się, prostują a coraz rzadszemi stają, te potworne niedorzeczności, które przed jaką ćwiercią wieku jeszcze wygłaszane tam bywały.

Ale nie chodzi nam wyłącznie o wiedzę, o piśmiennictwo, o sztukę. Na tém polu, i w téj sferze, że tak powiemy abstrakcyjnéj i idealnéj, istniała i dawniéj już znajomość, byli ludzie dobréj woli i dobréj wiary, którzy zapuszczali sondę i notowali każdy symptom wybitniejszy. Lecz można znać przeciętnie piśmiennictwo jakiego narodu a o nim samym nie posiadać wyobrażenia. „*Wer den Dichter will verstehen, Muss in Dichters Lande gehen*" powiedział słusznie poeta. Tego niedostawało Francuzom. Nie żyjąc wśród Anglików, stroniąc od nich, nie rozumieli ich zwyczajów, ich trybu życia, ich sposobu myślenia. Dopiéro obecnie łuska spadać im z oczów zaczyna. Gdy coraz szersze kręgi społeczności francuskiéj będą przebywać wśród środowiska i otoczenia angielskiego, posiądą tę samą znajomość ich natury i bytu, jaką często posiadają o nich Anglicy. Sprawozdania doraźne dziennikarzy i reporterów, studya nad rozmaitemi stronami społeczeństwa takie, jakie wychodzą raz po raz z pod pióra pisarzy jak: Daryl, Filon,

Mourcy, Mile, Brada i wielu innych, przyczyniają się wielce do wtajemniczenia Francuzów w niezrozumiały dla nich uprzednio świat brytański. Ciekawość co do téj obyczajowéj strony jest widocznie rozbudzona już na dobre. Jako przykład przytoczyć można bajeczne powodzenie, jakie znalazły książki Pawła Blouet, piszącego pod pseudonymem Max'a O'Rella. *John Bull et son Ile* doczekał się już 61-go wydania, *Les Illes de John Bull* 52-go, a dwa późniejsze, *Les chers Voisins!* i *La Maison John Bull et C-o* 22-go i 10-go. Dalecy jesteśmy od pisania się wszędzie i zawsze na sąd wydany o Anglikach przez tego pisarza. Brakuje mu w wysokim stopniu gruntowniejszego wykształcenia, a tam gdzie się znajduje wobec głębszego jakiego zagadnienia, nieraz wywija się konceptem. Ale pomimo téj powierzchowności jego monografii, z pośród których, używając francuskiego wyrażenia, *il faut en prendre et en laisser*, są cennym nabytkiem dla téj porównawczéj fizyologii społecznéj, która jedynie doprowadzić jest w stanie do zbliżenia narodów, do ujednostajnienia ich poziomu i wytworzenia pomiędzy niemi solidarności umysłowéj i moralnéj, więcéj jeszcze aniżeli materyalnéj.

Porównywając w dalszym ciągu niniejszéj pracy Francuzów z Anglikami, nieraz przyjdzie nam powoływać się na sąd Maxa O'Rella właśnie dla tego, że jest on wyrazem przeciętnéj opinii Francuza, co wyrwawszy się z wielu śmiesznych a ciasnych uprzedzeń, jakie kołaczą się jeszcze u jego rodaków, nie wynarodowił się i jest niezaprzeczenie żywą gałązką co z pnia francuskiego wystrzeliła. Możnaby ze strony angielskiéj przeciwstawić jego pracom tuziny książek, ale nie łatwo by znaleść pomiędzy niemi bezstronne. W każdym razie nie można jako ich wzór i typ wymienić najpoczytniejszych w chwili obecnéj, a są niemi wspomnienia kapitana D. A. Bingham i szkice p. Alberta Vandano [1]. Można się dziwić, że dziennikarz angielski, od wielu lat osiadły w Paryżu, może pisać takie banialuki i ze swych przelotnych efemeryd wybierać tak niedokładne, przestarzałe i płytkie szkice do grubéj i o trwałe miejsce pretendującéj książki. Za najlepszą, najgruntowniejszą pracę zajmującego nas tutaj działu, uważać jeszcze należy książkę z przed lat siedmiu, któréj autorem jest p. Filip Gilbert Hamerton [2]. Artysta malarz z zawodu, przemieszkiwał on przez wiele lat nie w Paryżu tylko ale i na prowincyi we Francyi, zapoznał się gruntownie z jéj życiem domowém a posiadając umysł bystry, pióro

---

[1]) French Men and grand Manners—Od chapten and sketches, London, Chapman, 1895.

[2]) French and English. A comparision. London. Macmillan. 1889

łatwe, uposażony, co główna, w obiektywną bezstronność, nie ubiegając się o popularność u swoich przez satyrę na obce społeczeństwo, autor ten w wyżéj wymienionéj pracy i wielu innych przedstawił z godną szacunku powagą i obustronną sympatyą obraz dwóch społeczeństw zarówno na punktach gdzie się stykają, jak na tych gdzie się rozchodzą. Nie podobna obrać sobie lepszego odeń przewodnika, tém bardziéj że jest systematyczniejszy w metodzie pisania od większéj części swych rodaków.

Ażeby zrozumiéć człowieka trzeba zacząć od dziecka, od jego wychowania. Już od pierwszych jego lat inaczéj kierują niém rodzice we Francyi a w Anglii. We Francyi jest dziecię pieszczochem, a niebawem tyranem domu. Matka jest jego piastunką, jakby go chciała wynagrodzić za to, że mu swego mléka nie dawała. Od najmłodszych lat dziecko we Francyi siada do stołu z rodzicami, spotkać je można w salonie mieszające się do rozmowy dorosłych, jego uwagi, spostrzeżenia mają znaczenie. Wyrabia to wprawdzie zazwyczaj pomiędzy matką a synami ten ścisły związek, to przywiązanie nieograniczone, które jest przedmiotem podziwu Anglików, ale rozpieszcza nieraz naturę chłopców, pozbawia ich męzkiego hartu i energii. Pozostawanie dzieci wśród grona starszych wyzuwa je także z dziecinnéj naiwności i prostoty i daje wcześnie narowy późniejszego wieku, sceptycyzm, ironię, prozaiczne zapatrywania.

W Anglii matka daje zwykle pierś swemu dziecięciu, ale następnie oddaje go w ręce piastunki. Ta ostatnia zajmuje się liczną czeredą dzieci, zwykłą w rodzinach angielskich. Dzieci mają swoje sypialnie, a salon i szkoła, oraz pokój jadalny, mieści się w *nursery*. Ten pokój jest sferą, w któréj spokojnie wzrasta i rozwija się dziatwa. Tylko przy drugiém śniadaniu — *lunch*, który jest obiadem dla dzieci, zasiadają one z matką do stołu; ojca widują tylko w przelocie, albo gdy potrzeba jego dyscyplinarnéj interwencyi. Nikomu w Anglii na myśl nie przychodzi wprowadzać dzieci do salonu, gdzie rodzice i goście się znajdują. Pod dozorem piastunek, a potém bon i guwernantki wzrastają w cielesnym rygorze, hartowani przez zimne kąpiele, gry na świeżém powietrzu. Dzieci przestają z dziećmi: zachowuje to im długo młodocianą świéżość umysłu i charakteru. Nic rozkoszniejszego, jak widok dziatwy angielskiéj w klasach średnich: świéże, wesołe, hałaśliwe, ale nie zepsute, znające rygor i uszanowanie dla starszych, wzrastają jak kwiaty, co z czasem w owoc przerodzić się mają. Nie ma tu owéj cieplarnianéj sztuczności i przesadnéj troskliwości, jaka panuje we Francyi.

Umysłowo dzieci francuskie daleko wcześniéj zaczynają pracować. W Anglii rozwijają ich organizm fizyczny i hart, naukę zostawiają szkole. Pod jednym względem w pierwszém wychowaniu zachodzi jaskrawa różnica. Od lat najmłodszych codzień niańka, a potém nauczycielka czyta angielskim dzieciom rozdział Biblii: stąd pochodzi ich gruntowna znajomość Pisma ś-go, któréj ślady napotkać się dają przez cały ciąg życia w cytatach i napomknieniach. Nie mogą Anglicy zrozumiéć owéj nieświadomości francuskiéj pod tym względem: Francuskie dziecko zna *Histoire Sainte* z powiastek i anegdot dla nich przygotowanych; Anglicy karmią się dzień po dniu w *nursery*, w szkole, w zawodowém życiu następném tekstem Biblii.

Zaraz od pierwszych lat uwidocznia się odmienny ideał, przewodniczący rodzinom w wychowaniu młodego pokolenia. We Francyi ideał jest estetyczny, artystyczny, a wytworność form, sposób prowadzenia rozmowy, wysławiania się nigdy z uwagi nie schodzi. W Anglii ideał jest moralny i idzie o wyrobienie w młodzieńcu hartu duchowego, wstrętu do kłamstwa, niezależności charakteru. Francuz jest gadatliwy, szczebioce jak szczygieł, wypowiada swe uczucia i zapatrywania; Anglik jest zamknięty w sobie, tłumi swe wrażenia, uczuć swych nie pokazuje na zewnątrz, a nie przywykły do rozmowy czuje mniéj do niéj pociągu. Anglicy czują pogardliwą litość dla Francuzów, co płaczą, co objawiają swe uczucia bez żadnych zastrzeżeń; ściśnięcie ręki jest u nich wystarczarczającym znakiem sympatyi. Nikt w Anglii nie wymienia całusów: uchodzi to tylko kochankom zaręczonym; u innych jest nieprzyzwoitością i rodzice z dziećmi nawet, gdy już wychodzą po za progi *nursery*, ograniczają się do *shakehand*.

Ten rygor, w którym trzymana jest manifestacya zewnętrzna uczuć, oddziaływa na stosunki rodzinne. We Francyi są one utrzymywane i przestrzegane. Zgromadzenia peryodyczne rozstrzelonych członków rodziny, wizyty noworoczne, regularna wymiana listów, daje Francuzowi poczucie związków rodzinnych. Daleko mniejsze jest ono w Anglii. Rozproszeni po koloniach bracia i siostry stają się zupełnie dla siebie obcymi i nie widzą potrzeby najmniejszéj troszczenia się o dalszych członków rodziny. Nawet gdy mieszkają pod jednym dachem, trzymają się od siebie zdala. Wybór przyjaciół jest dowolny, ale rodzina jest obowiązkową: znajdują tedy, że w razie gdy obowiązek ten ciąży, nie ma powodu brać go na siebie. Piszący nie może zapomniéć zdziwienia, jakie w nim wywołało, w początku jego pobytu w Anglii, stronienie od siebie członków rodziny, w któréj panowała harmonia i zgoda: syn na ślub swój nie zaprosił własnéj swéj matki, mieszkającéj w téj saméj dzielnicy i z pomiędzy swych braci i sióstr wybrał

jednych, a pominął drugich. Nie dziwi to w Anglii nikogo, gdzie nie zadają sobie troski o wyrabianie uczuciowéj strony życia.

Byłoby niesłuszném wnioskować stąd o oschłości serca u Anglików. Ciepło wewnętrzne nie manifestuje się tyle w słowach, ale w czynach spotkać je można na każdym kroku. Solidarność członków społeczeństwa i ewangeliczne miłosierdzie jest rozwinięte wysoce i obejmuje cały naród w jedną, gęstą sieć pomocniczych instytucyi. W etacie domowym każdéj, nawet względnie tylko zamożnéj rodziny, jest oddzielna rubryka na subskrypcye publiczne i wsparcia; około każdéj bogatszéj grupuje się w promieniu uboższa klientela. Nie zamykają się Anglicy w zimném, abstrakcyjném, że tak powiemy, przesłaniu swéj rocznéj subskrypcyi na szpital, dom przytułku, ochronkę, czytelnię i t. d , ale sami działają, sami przykładają rękę do filantropijnego dzieła. Troska o dobrobyt bliźnich nie ogranicza się do materyalnéj sfery, ale rozciąga się do uprzyjemnienia życia nieszczęśliwych i upośledzonych. W szpitalach urządzane są regularnie koncerty, odczyty, zabawy dla rozrywki chorych, starców, kalek; dla szkółek elementarnych organizowane bywają wycieczki wiejskie, przejażdżki, dla panien sklepowych, dla wszystkich oficyalistów, pomocników, dla robotników, czeladników, dla służby urządzane są kluby, miejsca do towarzyskich zebrań, zabawy i rozrywki. Wprawdzie narodowe bogactwo, wyższe w Anglii, aniżeli w innych krajach, jest w stanie umożebnić tego rodzaju zakłady i organizacye, ale rezultatem systematycznego i wszechstronnego działania w tym kierunku, było zbliżenie się klas jednych do drugich, przeniknięcie się pieczą o zrobienie im życia znośniejszém i przyjemniejszém. Nie może być wątpienia, że stało się ono dla warstw majątkowo upośledzonych daleko łatwiejszém i barwniejszém w Anglii, aniżeli we Francyi.

Uwagi powyższe zastosować się także mogą do służby domowéj. Jest to, jak wiadomo, czynnik pierwszorzędny familijnego bytu i niesłusznie zostawiany odłogiem przez spostrzegaczy społecznych. W Anglii, gdzie bogactwo jest większe i ostentacya większa, więcéj służby jest w domach prywatnych, aniżeli we Francyi. Wygląd jéj jest także inny i daleko lepszy. Każdy świéżo przybywający ze stałego lądu dziwi się owéj świeżéj sukni płóciennéj i czépeczkowi, które służące noszą rano, w popołudniowych godzinach wszystkie zmieniają te suknie na czarną, przystrojoną w muślinowe, białe, ozdobne fartuszki i takież ubranie na głowie. Służba kobiéca wygląda w niezamożnych nawet rodzinach nietylko przyzwoicie, ale wytwornie, i różni się całkiem od owéj brudnéj, niechlujnéj i spoufalonéj b o n y francuskiéj. Łatwo zrozumiéć można ujemny charakter tych ostatnich, gdy się wié, że

w ciasnych mieszkaniach francuskich, służące są w ciągłém zetknięciu się z rodziną, w któréj służą, a że własne ich pokoje na ostatniém piętrze kamienicy są teatrem rozwiązłego życia i wszelkiego rodzaju nadużyć. Inaczéj w Anglii. Służba ma ściśle zakréślone sobie obowiązki, ale traktowana jest przyzwoicie. W osobnym pokoju, obok kuchni, w suterenach jest ich jadalnia i salon z kobiercami, kwiatami, rycinami, biblioteką. Tam w godzinach po za obowiązkowych te istoty ludzkie używają poczucia swéj ludzkości. I w Anglii są głośne skargi na złą służbę, ale gdy się ją porówna do francuskiéj, trzeba przyznać, że stoi na wyższym szczeblu uspołecznienia. W domach bogatych w Anglii jest więcéj służby stosunkowo: trzymana jest nietylko dla swéj użyteczności, jak we Fracyi, ale do ostentacyi, dla pompy, o którą Anglikom bardzo idzie.

Wkroczyliśmy tu w dziedzinę domowego komfortu. I wyraz, i rzecz jest *par excellence* angielska. Nie potrzeba przypominać, że w skromnych nawet domach angielskich jest on rozwinięty i posunięty do stopnia, o jakim nie marzą znajdujący się na równéj stopie towarzyskiéj i majątkowéj, Francuzi. Uczynić dom swój zdrowym, wygodnym, zaopatrzonym we wszystkie potrzeby, jest w Anglii niezodzownym warunkiem bytu rodzinnego. Pierwszym warunkiem jest hygiena. Dbając o nią, Anglicy przekładają oddzielne domy dla każdéj rodziny, aniżeli apartamenta w kamienicach-koszarach: domy w Londynie, z ogródkiem, łazienką, kuchnią w suterenach, pokojami bawialnemi, jadalnią, biblioteką i odpowiednią liczbą pokojów sypialnych są mimo tego o połowę tańsze, aniżeli ciasne i nie wygodne apartamenta paryskie. Zauważyć należy, że w każdym domu angielskim jest co najmniéj jeden pokój gościnny, rzecz nie znana i nie odpowiadająca pojęciom francuskim. Kanalizacya jest przedmiotem nietylko municypalnego dozoru, ale ciągłą troską mieszkańców. Woda jest dostarczana bez kontroli i najmniejszego ograniczenia do każdego domu. Oprócz łazienki, która i w najpodrzędniejszych domkach istnieje, rury doprowadzają wodę ciepłą i zimną do pokojów sypialnych i gabinetów toaletowych: zimny *tub* jest instytucyą, któréj rasa zawdzięcza swą czerstwość i wygląd fizyczny. Ponieważ idzie Anglikom o jaknajwiększą ilość świéżego powietrza, zatém nietylko zimą nawet okna na roścież są przez kilka godzin otwierane, ale w pokojach sypialnych nie ma żadnych niepotrzebnych mebli i ozdób. U Francuzów pokój sypialny jest często rodzajem salonu, do którego wchodzą obce osoby, sama myśl ta wydaje się Anglikom nieprzyzwoitością i można gościć długo i poufale, w jakim domu nieraz, a nie przestąpić nigdy progu pokojów sypialnych rodziny.

Po dbałości i pieczy o zdrowie, komfort angielski polega na wygodzie, oszczędzaniu czasu i fatygi. Służba jest punktualna, cicha i szybka; meble wygodne, kobierce grube, biblioteki niskie, dostępne, światło gazowe lub elektryczne pod ręką. Zastawa stołowa posiada ulepszenia, specyalizacyę, że tak powiemy, o której Francuzi nie mają pojęcia. Tak jak nikt nie siada, do stołu, na którego białym obrusie nie byłoby świeżych kwiatów, błyszczącego srebra, przejrzystych kryształów, kolorowéj porcelany, tak żaden Anglik nie przypuszcza, żeby można było kłaść gorące potrawy na zimne talérze, albo nie zmieniać noża i widelca do każdéj potrawy. Dla Anglika obiad nie jest tylko funkcyą fizyczną, ale ceremonią towarzyską. Nie może on zrozumiéć Francuza, co jé na ceracie zamiast na obrusie, któremu nie chodzi o wykwintną zastawę stołu i który pozwala członkom rodziny zasiąść do obiadu w szlafroku, albo rannéj sukni. W Anglii dzień w dzień, czy są goście, czy ich nie ma, państwo domu i wszyscy domownicy przebierają się do obiadu. Pod względem gastronomicznym, mimo olbrzymich postępów, jakie uczynili Anglicy, zostają oni daleko po za Francuzami i codzienny obiad ich zostawia wiele do życzenia. Ale jest on centralnym punktem i uwieńczeniem dnia. Zajęcia zawodowe męża, a gospodarskie lub macierzyńskie żony, ustępują miejsca towarzyskiemu obcowaniu, które przybrane jest w najwytworniejsze formy. Nie podobna nie przyznać, że takie obyczaje, które przeszły w krew Anglików, uczyniły ich średnią klasę daleko bardziéj wyrafinowaną, aniżeli na stałym lądzie. Mieszkańcy Francyi pojąć nie mogą, dlaczego Anglicy utaić nie są wstanie swojéj dla nich pogardy; zagadka to przecież niezbyt trudna. Gdy Anglik spostrzega, iż Francuzi np. nie biorą rano zimnéj kąpieli, że nie przebierają się do obiadu, że zachowują przy obiedzie formy, które w jego oczach uchodzą za nieprzyzwoite i grubiańskie i t. d. dochodzi on do wniosku, iż nie są gentlemanami, to znaczy, że nie są dobrze wychowanymi ludźmi.

Smak artystyczny i ozdoby dekoracyjne stanowią ostatni szczebel komfortu. Nie ma wątpienia, że pod tym względem Francuzi prym trzymają. Synowie południa mają smak dobry, przekazany sobie drogą atawizmu może od Greków jeszcze, i posiadają zmysł plastyczny form i barw wysoce wykształcony. Wprawdzie pomiędzy Paryżem a Francyą istnieje różnica ogromna, ale bądź co bądź Anglicy są upośledzeni pod tym względem. Są nieraz w ich domach sprzęty, ozdoby, fraszki i cacka straszne, potworne, a obok jakiego obrazu wielkiego mistrza, obok jakiego egzotycznego wyrobu, wysoce ciekawego, mieszczą się przedmioty i graciki szpetne. Nie ma harmonii w układzie, nie ma myśli artystycznéj, a panuje zwykle chaotyczne przeładowanie.

Jest to prawda, ale prawda raczéj wczorajsza, aniżeli dzisiejsza. Pod względem estetycznego wykształcenia, Anglicy uczynili w ostatniéj ćwierci wieku olbrzymie, nieprawdopodobne postępy. Otworzyły się im oczy na wiele form i objawów piękna, które dawniéj były im niezrozumiałe. Pracują nad wyrobieniem u siebie oryginalnego stylu. Za renesansem Elżbiety i odżyciem nowo-gotycyzmu w budownictwie, który zastąpił sztywny i nieodpowiadający klimatymatycznym warunkom klasycyzm, poszło przeprowadzenie tego samego stylu w sprzętach i ozdobach. Wyśmiewano i wyszydzano estetyzm, będący odroślą pre-rafaelizmu i nie ulega wątpliwości, że jego przesada i jednostajność stały się nużącemi. Ale przyczyniły się do wytworzenia w angielskich domach atmosfery artystycznéj, któréj tam przedtém brakło.

Atoli charakter i cechy wybitne domowości nie polegają wyłącznie na sprzętach, na służbie, na organizacyi trybu codziennego, daleko więcéj ujawniają się w ożywiającym ją duchu. Cześć, jaką Anglik otacza swój *home*, jest ugruntowana na całym jego poglądzie na życie. Oddając się gorliwie swym zawodowym zajęciom i sprawom publicznym, które go trzymają po za domem, pragnie on, gdy doń powraca znaleźć tam wypoczynek, wygodę, rozrywkę, przyjemności. Dom Anglika jest, jak narodowy aksyomat opiewa, jego fortecą: może się w nim zamknąć, używać wszelkiéj swobody w jego ścianach, być panem i władzcą. Pierwszym do tego warunkiem jest nie przypuszczać doń pierwszego lepszego znajomego. Dla tego téż trzymają w urzędowém oddaleniu wszystkich, których nie znają gruntownie. Anglik przyjmuje nieraz i ugaszcza swoich fachowych kolegów, klientów i znajomych w swoim klubie albo restauracyach, ale na myśl mu nie przyjdzie zaprosić ich do siebie, albo nawet dać im adres swego prywatnego mieszkania. Trzeba posiadać tytuły, ażeby się doń przedostać, ale gdy się tam raz wstęp pozyskało, podwoje są na roścież otwarte. Gościnność Anglików jest szeroką, szczerą, wylaną, pełną naturalności. Gość czuje się pod dachem tym, jak u siebie, czuje, że nie zawadza nikomu i że nikt nie myśli ograniczać jego swobody indywidualnéj pod pretekstem przesadnéj uprzejmości. Zaproszenie na obiad jest nieuniknioném, gdy się jest poleconym lub przedstawionym przez wspólnego znajomego; do pozamiejskich domów jest się zaproszonym zazwyczaj na dni parę. Francuski sposób zapraszania gości na poufały wieczór, ograniczając się do uraczenia ich szklanką wody z cukrem, nie znajduje naśladowców w Anglii i nie odpowiada ich bardziéj materyalnemu pojęciu gościnności. Tołstoj zauważył, że im bardziéj społeczeństwo jest barbarzyńskie, tém bardziéj

z ideą towarzyskiego zebrania łączy się idea jadła i napitku. Trzebaby tedy przyznać, że Anglicy są jeszcze zagrzężli w barbarzyństwie, bo wydaje im się koniecznėm nakarmić i napoić tych, co do nich w odwiedziny przybywają. W salonie francuskim rozmowa idzie żywiéj jest bardziéj błyszcząca i urozmaicona, muzyka i śpiew doskonalsze; Anglicy nie posiadają ani daru, ani łatwości rozmowy, a obowiązkowe nieledwie popisywanie się z muzycznemi zdolnościami jest nieraz męczarnią dla wykształconego pod tym względem przychodnia. Znając swe niedostatki towarzyskie, wynagradzają je przynajmniéj Anglicy szczodrobliwą gościnnością.

Trzeba na tėm miejscu zauważyć, że na dnie téj manifestacyi odmiennych obyczajów narodowych, leżą także odmienne stosunki ekonomiczne i inne pojęcie gospodarstwa indywidualnego. Anglik jest bogatszy i szczodrobliwy, Francuz jest uboższy, ale nawet, gdy nim nie jest, jest zawsze oszczędny, a nieraz skąpy, brudno, ohydnie skąpy. Inaczéj organizują swe życie. Obaj pracują skrzętnie. Gdy są w możności ufundowania rodziny i domowości, inaczéj zaspakajają codzienne potrzeby. Anglik zabezpiecza swe życie na korzyść żony, daje kosztowne i wszechstronne wykształcenie dzieciom, ale nie troszczy się o kapitalizowanie swych dochodów. Wydaje je ochotnie i w ciągu całego swego życia żyje dostatnio, wygodnie, przyjemnie. Po śmierci jego, wdowa może zazwyczaj utrzymać się w tėm samėm środowisku towarzyskiėm dzięki ubezpieczeniu; dzieci wzrastają w przekonaniu, że nie otrzymają posągów i że każde z nich winno zdobyć sobie stanowisko w społeczeństwie. Zdawna nagromadzona zamożność w klasie średniéj ułatwia wprawdzie wielce taki tryb życia, ale jest widocznėm, że egzystencya domowa jest uprzyjemniona i że można otwiérać na roścież podwoje swego domu, skąd są zazwyczaj wygnane troski i kłopoty materyalne.

Inaczéj postępuje sobie klasa średnia — jedyna, którą się tutaj zajmujemy — we Francyi. Umiarkowany, nieraz szczupły dochód swój zawodowy, Francuz dzieli i wydając jedną jego cząstkę, drugą oszczędza, kapitalizuje, ażeby sobie zapewnić spokojną i bezpieczną starość i ażeby wyposażyć córki, które inaczéj zamąż by nie wyszły, i dać materyalną podstawę synom, bez któréj także nie zdołają sobie usłać gniazda. Oszczędza więc Francuz całe życie, biedzi się, odmawia sobie wygód i przyjemności, zasklepia się jak żółw w swéj skorupie, ścieśnia dobrowolnie i systematycznie swój horyzont. Gość nie jest w takich domach, gdzie każdy szeląg ma swe przeznaczenie, pożądanym, bo pociąga za sobą wydatek nadzwyczajny. Ściślejsze są stosunki rodzinne, gdyż się przed swoimi nie ma potrzeby ukrywać,

ale stosunki towarzyskie sprowadzają się do najszczuplejszych, nieuniknionych tylko rozmiarów. Ponieważ jednak potrzeby i instynkty towarzyskie są u Francuzów silniejsze, aniżeli u innych narodów, ponieważ próżność jest sprężyną zawsze czynną w ich zbiorowym i indywidualnym organizmie, więc wynagradzają, a raczéj okupują sobie ciągłe i systematyczne wysiłki wiązania końca z końcem przez wydawanie wyjątkowych przyjęć i recepcyi. Czém one są, jakie pociągają za sobą kłopoty, niewygody, do jakiego stopnia dezorganizują skromne gospodarstwa rodzin francuskich, to opisał Taine w przedziwny sposób satyrycznem piórem Graindorge'a.

Jeżeli pod względem materyalnym *home* angielski jest nieposzlakowany i przewyższa bardzo wszystko, co pod tym względem znaléść można na stałym lądzie wogóle, nawet i we Francyi, to przesadzonemi znacznie wydają się nam pochwały, oddane angielskiemu życiu rodzinnemu często przez tych, którzy znają je nader powierzchownie. Z głębokiém przekonaniem wypowiadamy przekonanie, że stoi ono wyżéj we Francyi, a pochodzi to z wyższości duchowéj i uczuciowéj kobiéty francuskiéj nad angielską. Przekonanie to zadziwi tych, którzy, znając kobiéty francuskie z Paryżanek, a Paryżanki z typów spotykanych około północy na bulwarach, dopełniają swe osobiste wrażenia typami wziętemi z powieści i teatru, oddających się bez najmniejszego wyjątku cudzołóstwu i lekceważących węzły rodzinne. Na szczęście, dla Francyi, rzeczywistość jest zupełnie inna. Nie potrzeba podnosić praktycznego zmysłu kobiéty francuskiéj: jest ona doskonałą gospodynią i potrafi szczupłemi funduszami dać swéj rodzinie dobrobyt, do którego Anglicy dochodzą przy wydatkach daleko znaczniejszych; interesuje się ona fachowém zatrudnieniem swego męża, bierze udział w jego interesach, prowadzi jego buchalteryę i kasowość, gdy ma męża kupcem i jest wogóle jego pomocnicą i wspólniczką w najszerszém słowa tego znaczeniu; w Anglii zaś żona zazwyczaj nie wié jakie są interesa męża, nie miesza się do nich, do biura jego nie uczęszcza i ogranicza się do żądania regularnego wypłacania jéj tygodniowéj sumy na utrzymanie domu. Daleko większa zażyłość, wzajemna ufność, zespolenie akcyi istnieje pomiędzy mężem a żoną we Francyi, a ów indywidualizm, który stanowi zasadniczy rys charakteru i istoty angielskiéj nie abdykuje u nich swych praw nawet w małżeństwie.

Bardziéj jeszcze różnica pomiędzy kobietą francuską a angielską pokazuje się w stosunku matki do dzieci. Ci którzy sądzą, że francuska tylko o strojach i zabawach myśli, wykazują najzupełniejszą nieznajomość francuskiego życia rodzinnego. Matka jest tam niewolnicą dzieci, ich piastunką, dozorczynią, nauczycielką. Z osobistego

doświadczenia przypomina sobie piszący, matkę francuskę, ubraną w suknię balową, poprawiającą w ostatniéj chwili ćwiczenia syna, napisane na dzień następny do liceum. Kto żył we Francyi, ten musiał widziéć nie raz, ale sto, matki prowadzące swe córki z jednego kursu na drugi, towarzyszące im bez przerwy, nie spuszczające ich z oka. Jest to umożliwione skutkiem mniejszéj zazwyczaj ilości dzieci, a konieczne ze względu na oszczędność i większe oglądanie się na wydatki. W Anglii matka nie troszczy się tyle o swą dziatwę. Wié, że im nic nie brakuje w ich *nursery* i zdaje pieczę naprzód na piastunkę, potém na bonę i guwernantkę. Tylko przy obiedzie dzieci, który jest jéj *lunch*'em prezyduje i widzi dłużéj swe dzieci, przez resztę dnia rozwijają się one po za jéj bezpośrednim nadzorem i wpływem. Gdy podrosną, natychmiast synowie, tak samo jak córki, przesiedleni są do szkół i rodzice widują ich tylko w porach wakacyjnych.

Wynikiem tak odmiennéj organizacyi rodzinnéj, są inne stosunki dzieci do rodziców. We Francyi wyradzają one serdeczność, poufałość, mającą jako ujemną stronę, brak rygoru i karności, w Anglii odosobnienie, dochodzące często, jak to już wyżéj powiedziano, do zniweczenia jedności rodzinnéj. Młody Anglik nie ma tego bezwzględnego uwielbienia dla swojéj matki, które u Francuza jest uczuciem normalném, a ojca swego nazywa w potocznym języku: *Governor*, t. j. zwierzchnikiem. Owa dziatwa a następnie młodzież, wychowując się jak na to ich temperamenta pozwalają, dobierają sobie przyjaciół nieraz nieznanych rodzicom. Młoda panienka angielska udaje się w odwiedziny do domów, gdzie jéj rodzice nie są zapraszani, sama chodzi na kursa, lekcye, do kościołów, muzeów, na gry i spacery. Nie dziwi to nikogo i istotnie na żadne niebezpieczeństwo jéj to nie wystawia. Wyrabia to w niéj wcześnie indywidualność ale naturalnie kosztem rodzinnego węzła. Ów czujny dozór macierzyński francuski, tulący swe dziewcze pod skrzydła matki i zamieniający rygor klasztorny, nie odpowiada pojęciom angielskim, tak samo jak nie odpowiada im wybór narzeczonego przez rodziców. Młodzież angielska płci obojéj wié, że sama przygotowuje sobie przyszłość i wybiera też sobie sama towarzysza życia. Przychodzi im to tém łatwiéj, że nie żądają od rodziców posagu i że same zdobywają sobie niezależność. Stosunki te zmieniają się stopniowo w obu krajach, to prawda, ale przeciętnie są jeszcze takie w klasie średniéj. Wśród arystokracyi angielskiéj małżeństwo z konwenansów, polujące na tytuł lub fortunę, było zawsze powszechne i przenika widocznie do klas mniéj uprzywilejowanych.

Jeżeli kobiéta w stosunku rodzinnym zajmuje w Anglii mniéj doniosłą rolę, mniéj wpływową aniżeli we Francyi i jeżeli w następstwie

tego życie rodzinne nie posiada owego ciepła i wylania, którego wysławiać nie przestawają obserwatorowie z drugiéj ręki, to natomiast jest więcéj obywatelką i ma szerszy horyzont umysłowy. Nie będąc tak zasklepioną w gospodarstwie domowém i w swych obowiązkach macierzyńskich, ma ona więcéj czasu do czytania, do kształcenia się i do działania w téj lub owéj sferze przez się obranéj. Kobiety angielskie biorą żywy udział w politycznym rozwoju swego narodu, są członkami wielkich lig i federacyi zachowawczych lub liberalnych, a w miejscowości, którą zamieszkują, zajmują się sprawami municypalnemi, kościelnemi, szkolnemi, instytucyami dobroczynnemi i t. d. Nie tylko że w epokach wyborczych rozwijają żywą działalność, nie wahają się przemawiać z platform publicznych, zbierać głosy, oddawać się propagandzie idei stronnictwa któremu służą, ale w zwykłych, spokojnych czasach, biorą do serca rozwój instytucyi. Są one już znaczniéj i lepiéj przygotowane do odgrywania roli czynnéj w polityce niż jéj siostry stałego lądu. Kobieta jest w Anglii istotnie wyemancypowana, posiada swą indywidualność i przestała być echem swego męża. Posiada ona także wogóle jaką specyalność, jaką gałąź literatury, nauki lub sztuki, którą się interesuje, któréj postępy śledzi. Wielka liczba starych panien zapełnia w ten sposób próżne godziny swego życia, ale nie tylko one okazują poważny nastrój ducha. Jest on znamienną cechą współczesnéj kobiéty angielskiéj. Nie posiada ona tego daru rozmowy, który pozwolił Francusce stworzyć salony skrzące się dowcipem i umysłowym polorem, nie jest taką mistrzynią w korespondencyi, ale posiada gruntowne zalety, często obszerne wiadomości i towarzystwo jéj dla tych, co się do niej zbliżyć potrafią i przebiją opory zewnętrznéj sztywności, nabiéra istotnéj wartości.

Od umysłowéj strony do moralnéj przejście jest łatwe, ale do traktowania o wiele trudniejsze, gdyż synteza jest tam prawie niemożliwą, a sfera moralna jest przedewszystkiém indywidualną. Istnieje wprawdzie moralność społeczna, ogólna, ale jest najeżona tylu wyjątkami i tylu zastrzeżeniami, że zuchwalcem byłby ten, kto by się poważył wyciągnąć z niéj wyrok potępiający lub usprawiedliwiający hurtem, nie powiemy całe społeczeństwo ale tę choćby lub owę jego klasę. Szukając punktów wspólnych albo odmiennych pomiędzy dwoma narodami Zachodu, lepiéj będzie w dziedzinie moralnéj wystrzegać się wszelkiego uogalniania a przeciwstawiać jednę po drugiéj zasady lub i sposób gruntowania na nich życia.

A naprzód religia. Nie podobna orzec, które z dwóch społeczeństw jest bardziéj religijne, ale trzeba się ograniczyć do wykazania stosunku w jakim się znajdują do swych kościołów i jak zachowują

formy religijne. W Anglii kościół jest instytucyą narodową i społeczeństwo zapatruje się nań jako na jedną z form bytu państwowego. O dogmaty kościelne, wyjątkowe tylko osobistości się troszczą; dla ogółu społeczeństwa kościół anglikański jest wyrazem prawd spirytualnych, w które jeżeli nie koniecznie wierzyć to przynajmniéj przestrzegać potrzeba. Krytycy obconarodowi naigrawają się z hipokryzyi angielskiéj, która nakazuje uczęszczać regularnie raz przynajmniéj co niedziela na nabożeństwo do kościoła, zachowywać się tam z pozorną przykładnością a w gruncie być obojętnym, a często nawet nieprzyjaźnie dla kościoła usposobionym agnostykiem, ba, ateuszem. Dalecy jesteśmy od stawania w obronie téj hipokryzyi, któréj istnienia nie zaprzeczamy w wielu razach. Ale jest w niéj coś więcéj nad przestrzegania *decorum*, coś więcéj nad dążenie do zachowania *respectability*— jest to poczucie narodowego, wspólnego organizmu. Skoro się jest Anglikiem, skoro się korzysta z instytucyi krajowych, ma się moralny obowiązek zaświadczenia swojéj solidarności z kościołem państwowym, tradycyjnie reprezentującym całokształt spirytualistyczny. Znika fanatyzm purytański, ale kościół anglikański nie stracił jeszcze swego waloru w oczach większości narodu. Klasy wyższe identyfikują się z nim jako reprezentującym interesa zachowawcze, klasy niższe spoglądają nań jako na jałmużnika i opiekuna materyalnego. Nie powiadamy, ażeby było w tym zewnętrznym szacunku okazywanym kościołowi państwowemu wiele zapału i entuzyazmu, ale jest w nim coś więcéj nad utylitaryzm prozaiczny: jest powtarzamy poczucie narodowości. Szerzenie się sekt w łonie anglikańskiego kościoła z jednéj strony, a z drugiéj silne i coraz widoczniejsze prądy ku katolicyzmowi, wpłyną prawdopodobnie w przyszłości na zmianę tego usposobienia. Obecnie uważane jest za towarzyski obowiązek dobrze wychowanych ludzi zachowywać wobec kościoła państwowego co najmniéj chłodną neutralność i poddawać się jego formalizmowi. Jeżeli w intelektualnie wyemancypowanym świecie londyńskim agnostycyzm wywalczył sobie prawa obywatelstwa, to nawet tam obserwowane są ceremonie kościelne: na prowincyi nie podobna się od nich uchylić pod grozą utraty położenia towarzyskiego.

Francya katolicka ma inny temperament religijny. Nie przestała się uważać za starszą córkę kościoła, i kościoła uniwersalnego, wszechświatowego. Wiara manifestuje się tam nie tylko w niezliczonéj liczbie instytucyi, stowarzyszeń i korporacyi zależących od kościoła ale i w przykładach indywidualnego entuzyazmu. Z drugiéj strony brak węzła obowiązkowego pomiędzy kościołem a państwem wyswobodził z zależności od pierwszego wszystkich tych, co nie mają już

wiary. Gorliwość uczestników kościoła i burzliwa nieprzyjaźń jego przeciwników dają religijnemu życiu Francyi życie wewnętrzne i ferwor, które w Anglii są daleko mniéj uwydatnione.

Teoretycznie nie ma różnicy pomiędzy Francuzami a Anglikami w ich zapatrywaniu się na zasady moralności i jednakowo wysławiają prawdę, sprawiedliwość, czystość, wstrzemięźliwość, odwagę, i t. d., ale w praktyce każdego społeczeństwa wnet się pokazuje, że ich zapatrywania, ich skłonności są nieraz odmienne. Za daleko by nas zaprowadziło rozszerzać się nad niemi wszyskiemi po szczególe. Główne jednak rysy podnieść nie zawadzi.

Pierwszą zasadą, jaka wpajana bywa w Anglika, jest cześć dla prawdy. Słynny pedagog, dr. Arnold z Rugby, przebaczał wszystkie przestępstwa i grzechy swych wychowańców, ale był nieubłaganym dla kłamstwa. Zgroza, jaką samo podejrzenie o kłamstwo wywołuje w Angliku, jest w oczach Francuza nacechowana przesadą. Nie ma większéj obelgi w Anglii jak nazwać kogo kłamcą. Z pojęciem niezależności osobistéj, godności człowieczéj, łączy się cześć dla prawdy, wyjawienie swych opinii, przyznanie się do popełnionéj winy lub omyłki. Jest tchórzem w ich oczach ten, co prawdę wykręca lub zaslania. Następstwem tego jest wyrobienie w Angliku odwagi cywilnéj, któréj Francuzowi do tak wysokiego stopnia brakuje, jest ugruntowanie prywatnéj uczciwości, jest nakoniec daleko powszechniejsze zerwanie z konwencyonalizmem, z utartemi sądami i zapatrywaniami. Piszący obawia się, aby na tym punkcie nie był posądzony o stronność względem Anglików. Czytelnicy lepiéj obznajmieni ze społeczeństwem francuskiém muszą przyznać, że rzadkie są u niego objawy odwagi cywilnéj. Burzliwi, rewolucyjni Francuzi w życiu publiczném, są w domowém powstrzymywani obawą śmieszności, od wszelkiego wyróżniania się od otaczającego ich środowiska i nie ośmielają się manifestować swéj niezależności od swego stronnictwa, swych przywódzców. Najznakomitsze osobistości wśród narodu zostały skruszone, sparaliżowane we Francyi w swéj zbawczéj dla ogółu działalności, dla tego po prostu, że ludzie uczciwi i rozumni nie odważyli się stanąć po ich stronie i z nimi się solidaryzować. Z drugiéj strony są tam ludzie, którymi każdy indywidualnie pogardza, ale przeciw którym nikt jawnie i otwarcie wystąpić się nie poważa. Co do uczciwości osobistéj jako praktycznego zastosowania zasady prawdy, to Anglicy wyrazili ją w aksyomacie dobrze znanym: *honesty is the best policy*. W świecie kupieckim, handlowym i przemysłowym ta uczciwość zdobyła Anglikom stanowisko niezwalczone. Co do niezależności prywatnych opinii, zerwania z konwencyonalizmem, są one w Anglii cechą umysłową i pod-

stawą życia. Francuz powtarza oklepanki, ogólniki o ludziach i pisarzach takie, jakie mu były przekazane, i raz ustanowionéj klasyfikacyi nie zmienia. Anglik nie dba o to, czy go uważać będą za nieuka lub profana, i gdy się na sąd istniejący nie zgadza, kruszy przeciwko niemu kopie. Ośmiela się porywać z motyką na słońce, ośmiela się myśléć oryginalnie. Nie potrzeba przypominać, że Anglia jest krajem oryginałów. John Stuart Mill widział w ich liczbie świadectwo, że społeczeństwo jest na wskroś przeniknięte zasadą swobody.

Sprawiedliwość, ten kwiat sumienia — jak powiedział poeta — manifestuje się w społecznym bycie, przedewszystkiém w bezstronności i tolerancyi, w przyznaniu słuszności nawet swym przeciwnikom. Takie jéj pojęcie nie pozwala przypuszczać, ażeby mogła ona istniéć w krwi i sokach współczesnych społeczeństw. Królowanie sprawiedliwości będzie znamieniem cywilizacyi wyższéj aniżeli naszéj, dzisiejszéj, spaczonéj i zakłóconéj upartą walką i szermierką indywidualnych interesów jednych z drugimi. Trzeba jednak przyznać, że w życiu publiczném częściéj spotykać można poczucie sprawiedliwości w Anglii, gdzie swobody polityczne oddawna ugruntowane i rozwinięte zbliżyły do siebie rywalów, przeciwników. Kiedy Francuzi gorący, zapamiętali, wrażliwi, mieszają zwykle swoich antagonistów z błotem, spotwarzają ich i przedstawiają jako potwory moralne, chłodniejsi Anglicy usiłują nawet w przeciwniku odróżnić dobre strony od ujemnych, nie przypisują różnicy opinii ohydnych motywów prywaty i umieją uszanować człowieka, gdy ten na szacunek zasługuje.

Kwestya czystości, płciowéj moralności, związków nieprawych, cudzołóstwa i prostytucyi jest zbyt wielkiéj wagi i zbyt głęboko dotyka całéj istoty społecznego ustroju, ażeby ją się miało traktować tutaj pobieżnie. Właściwsze jéj miejsce będzie w drugiéj części naszéj pracy.

(Dok. nast.) *N. T.*



JÓZEF MAKOWEJ.

Dzionek jesienny, słotny. Smugi deszczu zwilżyły ziemię, słońce ukryte w chmurach, od lasku wiatr przynosi coraz nowe zeschłe listki. Ściernisko spasione, już nawet drobny, czerwony maczek, ani żółta gorczyczka nie pstrzą jego obszaru. Trawa zżółkniała, kilka badyli suchych sterczy u miedzy, wdali kobiéty z płachtami zarzuconemi na głowę kopią kartofle. Dészcz znowu jął kropić, drobny, przenikliwy, zimny.

Smutno wkoło, aż płakać chce się, dlaczego? Że wszystko zamiéra? Cisza, nawet wróbel nie zaświegoce, a od kartoflisk głosu nie słychać. Lecz od czasu do czasu jakiś okrzyk przecina powietrze, okrzyk dobywający się z silnych piersi, męskich i mocnych, jakby okrzyk oracza.

Tak, to oracz za dąbrową nawoływa na swe konie. Potrzeba okrążyć lasek, by go zobaczyć zupełnie. Wysoki, w siermiędze, stąpa obok chudoby, niewrażliwy na dészcz, niepogodę. Para koni z wysiłkiem ciągnie pług, co chwila tężeją ich biodra, wypręża się szyja, z sierści para idzie. Lemiesz ostry, jak nóż, kroi glebę, odwalają się czarne skiby. Pług zwolna posuwa się linią prostą, prościutką, u końca zagonu oracz i zaprząg stają na chwilę, potém obrót w stronę przeciwną i daléj orka. Znowu wysiłki koni, stąpanie oracza. Dészcz siecze, zimno przenika, lecz praca trwa. Cóż, że chłodno, że słotno, że nieprzyjemnie. Potrzeba grunt gotować pod ziarno, w bruzdę zasiew rzucać. Przyjdzie nareszcie wiosna, owieje ozimine skrzydełkami wiatru, napoi

dészczykiem i strzeli zieleń w górę, kłos się na niéj zawiąże, nowe ziarnko urodzi.

Do téj niwy jesienią i do tego oracza wydają mi się podobnemi niektóre piśmiennictwa i ci, co nad niemi pracują. Trudzą się w słotę, ziębną, na poły skostniałą ręką sieją zboże. Ale grzeje ich wiara w przyszłość, ociepla nadzieja wiosny. Dążą śmiało, krok za krokiem, naprzód.

Poeta rusiński, którego wiersze pełne uczucia i talentu są istotnie podobne do ziaren, skąd zazieleni się nie jedno źdźbło pszenicy, Józef Makowej, jest człowiekiem dobiegającym prawie trzydziestki. Pierwsze jego poezye, przekłady z Owidyusza i Heinego drukowane były ośm lat temu, każdy rok następny przynosił coś nowego. Ale w warunkach jego piśmiennictwa niemal dziesięć lat potrzeba było czekać, aby ukazał się wreszcie zbiorek utworów. I to zbiorek nieduży, stotrzydzieści stron szesnastki.

I.

Koniec téj niwie, koniec
Będziemy splatać wieniec.
Zwiążemy żyto w snopy
Złożymy zboże w kopy.
Pójdziem do gospodyni
Damy wianeczek ninie

Przyjmij wianeczek z żyta
Z niwy, co gradem zbita
Malutka była niwa,
Malutkie z niéj téż żniwa.
Da Bóg w rok przyszły urodzi,
Brak wszelki wynagrodzi.

Czy można serdeczniéj przemówić do czytelnika, bo pierwszą to z „dumek i obrazków", otwiérających książeczkę, przytoczyłem w dosłownym przekładzie. I czy nie podbija go zupełnie podobny „zaśpiew"? Ile tu bezpretensyonalności, zarazem ile wdzięku. Poeta wniknął w pieśń ludową, ot, zda się, widzisz tę gromadkę dziewcząt wiejskich w wianuszkach i wstążkach barwnych, w białych koszulach i czystych kolorowych spódniczkach, niosącą wianek gospodyni, rozśpiéwaną i wesołą po skończonéj pracy. Pieśń jéj odbija się o wybielone chatki włościańskie, o drzewa przydrożne, leci aż ku progom domu, kędy zdążają...

Malutka niwa, nieduże żniwo, ale bogate.

Część liryczna, zajmująca jedną trzecią „Poezyi", posiada wiele różnorodności. „*Semper idem*" i „Drużki" są cyklami w rodzaju Heinego: „Angieliki", „Hortenzyi", „Dyany" i in. Nie posiadają ani cynizmu, ani ciętości piewcy niemieckiego, są swojskie, ale w ugrupowaniu objawiają wiele podobieństwa. Oderwane wierszyki liryczne dają przebieg całéj historyi miłosnéj, w „*Semper idem*" zakończonéj dumaniami na temat bliskiego ślubu kochanki z innym, w „Druhnie",

przypomnieniem sobie starosty, który w pierwszy dzień poznania się obojga, gdy byli na weselu znajomego drużbą i druchną, pił ich zdrowie, życząc sobie za rok być na ich godach. „Dzielny mówca, biegły w swataniu, będę wnet do niego miał prośbę...”

Chociaż z innemi utworami lirycznemi pieśni miłosne Makoweja nie wytrzymują porównania, jednak w „Druchnie”, od „*Semper idem*” o wiele doskonalszéj, znajdują się miłe utworki. „Do mojéj chatki samotnéj — głosi jedna piosnka — zaleciała z pola pszczółka, uderzyła w okno skrzydełkami i głośno zabrzęczała. Brzęczy malutka, przypomina mi wiosnę, niesie myśli daleko w zielone pole i dąbrowę. To słowo, któreś mi raz powiedziała, tak bardzo rozweseliło me serce. Dźwięczy mi teraz wszędzie, gdzie stąpię, mile, rozkosznie. Niesie me myśli daleko w przyszłość i widzę gościnną, cichą chatkę, w niéj zadowolonego męża z lubą, szczęśliwą towarzyszką.”

Jeden z następnych wierszyków jeszcze piękniejszy. Jak dzisiaj, widzę czereśnie w sadach, odziane biało, jak na ślub we kwiaty. Ty chodzisz lekko po pulchnych grzędach, kwiatuszki trzymasz w malutkich rękach i sadzisz je rzędami. Wietrzyk zbytecznik cicho nadleciał, po białych trześni gałązkach wionął, i dészczem kwiecia ciebie pokropił, ścieżynę całą z sadu do domu, listkami wonnemi usiał.

Mój wietrze, czemu sypałeś jéj kwiaty, czy i tobie ona tak miła? Ja radbym ukwiecić jéj wszystkie dróżki, gdzie tylko stąpią jéj drobne nóżki, aby po kwiatach wciąż chodziła.

Do lekkiego wpływu Heinego, który w „*Semper idem*” nawet w poszczególnych wierszach nieco przebija się, i potroszę kilka miejsc poematu „Nowicyusz” barwi, dodałbym zależność od wierszowanych „Galicyjskich obrazków” Iwana Franki w utworku „Widać lipy rozkwitłe”. Gdzie lipy kwitną, żyła niegdyś rodzina włościańska. Lecz pająk lichwy wyssał z niéj soki, matka zmarła w niedoli, ojciec w świat poszedł, dzieci dobrzy ludzie rozebrali. Teraz tam żydziaki igrają, a stary żyd cieniem się rozkoszuje. Obrazek serdeczny, jednak wykonanie dość bezbarwne. Nie żeby autorowi brak było w tym kierunku talentu, ale zanadto w pierwszéj swéj młodości (data utworu 1886 r.) zapatrzył się na lichy wzór. Jak Iwan Franko, zestawił chłodno przy sobie fakty i żadnego prawie uczucia w nie nie tchnął.

W poemacie „Moloch” ukrycie przez króla córki i oddanie zamiast niéj na ofiarę strasznemu bogu fenickiemu niewolnicy, przypomina mi zbytnio „Salambo” Flauberta, gdzie jeden z sufetów kartagińskich w podobnym wypadku kryje syna i miasto niego wysyła na spalenie młodego niewolnika. Na tém ograniczają się reminiscencye, jakie mogłem zauważyć w utworach Makoweja. Jeśli idzie o zaznaczenie

wpływów, znawcy poezyi ludowéj odrazu zauważyli w pieśni wstępnéj wżycie się w formę liryki gminnéj, w pierwszym z dwóch przytoczonych wierszy miłosnych zrozumienie paralelizmu, cechującego śpiewy ludowe. Poeta z ludu, daje najpierw obraz z przyrody, rozwija go i wypełnia, potém następuje część właściwie liryczna, mogąca w znacznym stopniu być podstawioną w szczegóły obrazu poprzedzającego. Istotnie tyle skarbów zawiera poezya ludowa, a tak mało poetów ku nim pochylało się, że zwrócenie w ich stronę wzroku przez młodego piewcę należy zaliczyć do objawów jaknajsympatyczniejszych.

Jako student uniwersytetu, Makowej odbył jednoroczną służbę wojskową i w wyczerpującém a smutném życiu koszar, znalazł nowe źródło twórczości. Trzydzieści kilka lat temu, to samo życie natchnęło gienialnego poetę Jerzego Fed'kowicza do szeregu arcydzieł uczucia. W tym względzie obrazek Makoweja, przedstawiający śmierć rekruta w dalekiém mieście, nie dorównywa porywającym utworom Jerzego. Ale młody poeta zaprawia najczęściéj motywy wojskowe kroplą satyry. Wznosił się niegdyś klasztor, w nim mnisi pełni bojaźni bożéj z grzechem walczyli. Teraz świéce nie płoną w ich celkach, pył okleił ściany, klasztor przemieniony został na arsenał, a izdebki wypełniły skrzynie. W skrzyniach proch, kule armatnie, naboje. „Tym znakiem zdobędziesz świat, nie krzyżem na proporcu..." Przegląd wojska odbywa się, dziesięć tysięcy różnobarwnie odzianych żołnierzy zaległo plac. Widzowie lornetują armię. Panieneczko—zwraca się poeta do jednéj z ciekawych — przyjechałaś na nas popatrzéć, wiédz, że niczém twoje czary wobec naszéj armaty. Widzisz tę górę wielką? zniesiemy ją w dół, te pola zdepcemy w godzinę. Owo wielkie miasto w jednym dniu zrujnujemy. A widzisz tam pastuszka w dali? My go nie nakarmimy...

Albo: włościanin patrzy przez okno na ucztę oficerów. Przed chwilą krowę sprzedał, by podatek zapłacić. Lecz o Boże, ci tam rozbawieni w jednéj minucie może z szampanem tę krowę puścili.

Najudatniejszym w téj grupie jest satyryczny wiersz: „Hugo Schwert von Feuerstein". Hugo Schwert von Feuerstein, rycerz z rodu Räuberhain, któż to, kto to tak się zwie? To porucznik młody! We wszystkich kalendarzach znajdziesz jego ród, stary jak świat. Pra-pra-pra-pra-pradziad był w Palestynie z krzyżowcami, potomek jego setkę dam podbił. Co za elegancki rycerz, jak dzielnie tańce prowadzi. Z paniami jaki szarmancki, a jak dumnie stąpa. Kontredanse, kotyliony, wyścigi, jego żywioł. Odzież, włosy pachną, na ręku bransoletka, a gdy wyjdzie wszystka moneta — przyjdzie żyd i będzie nowa. Hugo Schwert jak chart wychudły, ma ucho nadcięte — w pojedynku

o damę, któréj mimo to nie dostał. „O, wielki Hugonie Schwercie, straciłeś wtedy kredyt i postanowiłeś nagle zginąć, by nie żyć w biedzie (pobudki miłości). Gdy rewolwer obejrzałeś i naboje założyłeś, jak Herakles stanąłeś niepewny i—sprzedałeś go żydom.”

Jednak środek ciężkości liryki naszego poety leży w historyi stosunku jego duszy do życia i do bytu. Dziesięć utworków kreślących ją stanowi najpiękniejszą grupę w książeczce. Dziesięć lat przesuwa się przed nami, jedne poezye sięgają roku 1885-go, drugie pochodzą z roku 1894-go, na wszystkich wyryta pieczęć prawdy, istotnego odczucia, rzeczywistości. Nigdzie indziéj talent nie skrystalizował się piękniéj.

One téż najlepiéj służą do wyrobienia sobie pojęcia o temperamencie poety. Jest on spokojny, odporny na wrażenia przykre, zdrowy. Nie rozstrojony, ani pełen smutku. Lekko skłonny do ironii. Dlatego nie lśni w poezyi erotycznéj, dlatego także odczuwa mocno widoki przyrody, w których rozléwa się spokój. Niestety, czas i ten mur wyszczerbia...

Czy nie jest to piękny obraz ciszy wiejskiéj, czy nie wnika ona w duszę naszą, gdy czytamy wierszyk najwcześniejszy w zbiorku, z roku 1885-go.

Wokoło, wkoło szerokie pole, niziutko chylą się żyta, nigdzie nikogo wkrąg, spokój jak w grobie, samotność.

Nad polem, na błękitném sklepieniu, wieknisty świecznik lśni wciąż, wspaniała cisza w przyrodzie, tylko dzwonów głos niesie wietrzyk.

W téj świątyni, Stwórco, ja z szacunkiem, z żytami głowę pochylę i pieśnią razem z skowronkiem, Twe imię uwielbię.

Wiersz z r. 1887-go:

„Nademną liście wszędzie zielone, słońce w cień leśny pada promieniami, dokoła drzewa rozłożyste, osłonięte w dole gęsto krzewami. Zefir cichy, ledwie słyszysz, jak dyszé, w cieniu kwiaty pochylają główki, ptaszek frunie, liśćmi zakołysze, gdzieś daleko skowronki dzwonią. Sójka czasem krzyknie niespokojna, dziki gołąb grucha na dębie, w świetle muszki igrają rojem, roznosząc ciche, miłe dźwięki. Między krzakami w cieniu, przy potoczku wijącym się zwolna po trawach, siedzę, myśląc i rozkoszując się samotnością. Jak niepostrzeżenie mijają chwile wśród twéj zieleni, o dąbrowo! Czuję, jak duch mój rośnie w siły, jak tu ożywa. Strony ojczyste, wspaniałe, nie zastąpi was żadna obczyzna, świat mię wabi na téj murawie i przyszłość dla mnie ponętna. Duch mój podwójnie do życia ochoczy, spokojem,

który wchłaniam teraz, rozweselę ciężkie godziny; tak brylant świeci wśród nocy blaskiem słońca nabranym we dnie."

Zagadnienia życiowe nie niepokoją go, goryczy nie zakosztował. Do losu zwraca się z prośbą: „nie chciałbym znać przykrych chwil, jeśli na ziemi prócz piekła jest raj; dajesz poznać dolo świat codzień, dajże go użyć choć raz!" Duszy sprawiedliwego, który żyje w raju, wkłada w usta prośbę o puszczenie go do piekieł, aby na chwilę przynajmniéj doznał cierpienia. A kiedy żali się na dolegliwości społeczne, to w sposób humorystyczny. Bodajże ciebie (1886) pani matko Ewo za twą ciekawość. Po co ruszałaś jablko w raju, kiedy tak dobrze było żyć. A teraz patrz: jak ty i twój Adam, my wszyscy ciekawi tego, czego nam zabraniają dotykać. Jeszcze wam nic się nie stało, ziemia cała w koło była waszą, nam za ciekawość na tym świecie czasem kącika nie można znaleść.

Tylko w takim nastroju mógł powstać wiersz podobny do kwiatu, wyroslego w ustroniu: „W drogę, w drogę". W ustroniu, gdyż człowiek, który zetknął się z życiem, tego optymizmu nie objawi.

W drogę, w drogę, idę ma dolo, czy po kwiatach pójdę, czy ciernie pokole, czy pewnie tam zajdę, czy szczęście tam znajdę, idę gdzie ujrzałem cel.

Nie wrócę się z drogi, choć dręczy mię trwoga, czy istotnie ku szczęściu prowadzi ta droga; czy warto męczarni, rozpaczy i boju, to szczęście, którego ja czekam.

Gdy znajdę już ciebie, gdy zrównam się z celem, o wszystkich cierpieniach zapomnę za chwile spokoju. Przeżywszy te chwile, na wieki w mogile, rad cicho spocznę.

Naraz urywa się dział spowiedzi, od roku 1888 do 1893 nie wprowadza nas w wewnętrzne swe życie poeta. W części epicznéj, jak przekonamy się, znalazło ono wyraz. Rok zaś 1893 i 4-ty, to hale, z odmienną już niż poprzednie, florą.

„Ludzi, ludzi mi dajcie, chcę rozweselić się, chcę widziéć, że świat szczęśliwy. Dziś dwie godziny (określenie ilościowe razi nieco) rozmyślałem nad tém, po co żyjemy na świecie, czemu tak boimy się chwili śmierci. Czy żyć mamy dla próby, czy dla drobniutkich tych uciech i trosk, czy téż, aby groby wypełniać? Nie mogłem odpowiedziéć na zagadki, z izby wyszedłem, bo smutno mi tam, jak w trumnie. Hej w świat, tam porzucę smutek, spotkam wesołych ludzi i zapomnę o celu życia...

Rok 1894 daje utworek jeszcze dojrzalszy.

W pogoni za prawdą wieczną, dopędzasz proroka w rozpaczy. On stanął nad złowrogą przepaścią i mówi ci smutno: nie wiem.

I za szczęściem ziemskiém się błąkając, pytasz o drogę do raju. Podróżny konając szepnie ci cicho: szukałem, nie znam.

I w przestworza wieczności dziwnéj wyślesz myśl by poszukała kwiatu. Wraca wnet bez gałązki oliwnéj i konając mówi: nie wiem.

Więc bezsilny, rozbity nirwaną, czujesz tylko tęsknotę bezbrzeżną. Czyż istotnie niczém jak *fata morgana* nie są drogi do prawdy i raju?

Przypomnijmy sobie „W drogę".

Pośród takich myśli wyrastasz na odludka, cofasz się ku samotności, coś dzielić cię zaczyna, i bardzo od ludzi. I ta faza znalazła wyraz w wierszach Makoweja.

II.

Z przytoczonych wyjątków można wywnioskować, że Makowéj jest to talent obiecujący wiele. Forma jego przedstawia niekiedy drobne usterki: użycie blisko siebie dwóch tych samych słów, wtrącenie wyrazu beztreściowego dla utrzymania rytmu, lecz od tego niewątpliwie uwolni się. Natomiast z treści, ze sposobu przedstawienia wygląda umysł niezawisły i samodzielny — zadatek najwięcéj rokujący.

Z biegiem czasu społeczeństwa tak się zmieniają, że skoro pewna jednostka, zwłaszcza w literaturze, wyodrębni się, dzięki danéj ilości cech, od innych, napewno można powiedziéć, że i do pokrewnych sobie osób z przeszłości nie zupełnie będzie podobna. Tak i Makowej. Różni się on od rówieśników i od dawniejszych poetów. Prawdziwie jego własnością w teraźniejszém pokoleniu pieweczém jest s z c z e r y smutek. Przebija się on w ostatnich wierszach lirycznych i w epice. Ależ smutek stanowi cechę rusińskiéj poezyi ludowéj, utworów Szewczenki i Fed'kowicza, wierszy Marcyana i Włodzimierza Szaszkiewiczów Tak, tylko że u każdego wskutek innych warunków życiowych innego nabrał odcienia. Szewczenkę zaprzątało położenie polityczne i niedola ludu, Fed'kowicza życie żołnierskie, Szaszkiewiczów bóle zwane osobistemi, chociaż i poprzednie tę samą nazwę nosić winny. Makowej dojrzawszy, stał się przedstawicielem jednostek dręczonych problematami, znużonych przedwcześnie życiem, spowinowaconych z Płoszowskim.

Nim przejdziemy do „Nowicyusza" i „Misyonarza", rzućmy okiem na trzy inne poemaciki opowiadające. „Czartowska skała" ani „Dziecko" nie przedstawiają nic wybitniejszego. Pierwszéj motywem niewierność dziewczyny, drugiéj choroba kilkoletniéj Halusi na błoni-

cę. „Moloch” stanowi jedyną bodaj próbę kruszenia kopii w obronie myśli liberalnych. W Balbeku dżuma szerzy postrach, by ją usunąć uchwalają kapłani ofiarę Molochowi. Ginie w rozżarzonéj paszczy bożka zastęp dziewcząt, lecz choroba nie znika. Kochanek jednéj ze spalonych, Hiram, który już podczas mordowania ofiar założył czynny protest zabiciem z łuku kilku kaplanów, podburza po tygodniu mieszkańców miasta i wspólnie obalają żelazny bałwan. Z saméj treści widać tendencyjność, to téż główną część poematu stanowią dwa (chłodne) przemówienia Hirama, jedno przeciw królom (jak wspomniałem król ukrył swą córkę), drugie przeciw bogom. Strona uczuciowa słabo uwzględniona.

Otóż i jesteśmy u najwybitniejszéj grupy. Wiersz „Misyonarz” i poemat „Nowicyusz” są istotnie spokrewnione. W obudwóch ludzie zmęczeni, i tu i tam nastrój przygnębiony, a to przygnębienie i zmęczenie są takie, że *veto* które wciąż chcą rzucać w oblicze swéj doli, nigdy głośnym nie zabrzmi okrzykiem.

Już więźnik pomodlił się z minaretu, do Allacha i proroka Mahometa, i księżyc już wyjrzał z za chmur, kiedy od chorego chrześcianina, wracał powolnym krokiem staruszek bezsilny, zgarbiony misyonarz. Wracał samotny z darami świętemi, pustemi ulicami kamiennemi.

Nie wesołe myśli, jak stado kruków, obsiadły teraz jego duszę. Bez rodziny, na dalekiéj obczyźnie, samotny niby palma w pustyni, kończył ciężki żywot. I śmierć okrutna już szła z kosą za jego posępną starością.

Mój dobry Boże, myślał, gdzie to ja wyrosłem, gdzie żyłem szczęśliwie chłopięciem, a gdzie wypadło umierać! Na północy wiek dziecinny, najszczęśliwszy, reszta życia w skwarach Arabii. I nikt po mnie tu nie zapłacze.

Stąpa siwy, w tém słyszy: ktoś tak ciężko łka i jęczy, że aż ulice od smutnych ech drżą. Nie jeden jakiś człowiek, ale cała rodzina, po kim, gdzie?

To po ojcu dzieci i żona po mężu wylewały łzy, najęte płaczki łączyły głosy swe do ich głosów, nawet pies podwórzowy zadarłszy pysk wył przeciągle.

Ach, jak w téj chwili życzył sobie misyonarz śmierci, tych łez które zrosiły ciało Araba, tego płaczu głośnego. Zdawało mu się, że lekko umiérać, kiedy miało się kogo w życiu kochać i samemu znajdowało się miłość u ludzi. Kiedy czuje się, że się nie ginie bez śladu, jak pył unoszony przez wiatr pustyni.

Na chwilę zamilkł tęskny płacz i starca doleciala pobożna pieśń Muzułmanina, stróża nocnego. „O, żywy królu, co wszystkie myśli

znasz, który nie śpisz nigdy i nie umierasz, o panie nasz odwieczny, cześć Tobie."

Misyonarz okryty cieniem stał w tém samém miejscu i zastanawiał się chwilę, czy nie pokrzepić pociechą chrześciańską rodzinę zmarłego. Ale śpiéw słyszany osłabił w niem siłę wiary. „Czyż raj ich nie pocieszy ich w potrzebie, czyż im tam gorzéj, niż nam w naszém niebie?"

„Nie wesołe myśli obsiadły umysł, jak kruki czarne kracząc. Zmąciły spokój duszy starca pobożnego, który samotny w dalekiéj obczyźnie, niby palma na suchéj pustyni, kończył żywot. I smutniejszy jeszcze z darami świętemi wracał pustemi ulicami kamiennemi."

Smutne myśli trafiają tu na rolę wyrobioną, istniejącą. Są jak duży ciemno fioletowy ametyst zawieszony na żałobnéj sukni. Nie wesoło wogóle w duszy misyonarza, chwile jak dzisiejsza były snać u niego i będą jeszcze. Uraza do życia, strata ufności w siebie, nawet wiary religijnéj, która tyle sił musiała dodawać pracującemu nad jéj krzewieniem, co za smutny i bolesny stan.

Jak zaś wyrabiają się podobne nastroje, co stwarza i użyźnia tego rodzaju podścieliska pokazuje „Nowicyusz." Tu bohater zaczyna od śmiałego wstąpienia w życie, kończy zaś fazą „Misyonarza".

Była raz mieszczanka, uboga wdowa
I syna miała Iwana.
Jedyny synalek, i tego oddała,
Do szkół by się uczył na pana.

Ciężko było rozłączać się matce z dzieckiem, niechętnie może zmieniała stan syna . Ale dała go do szkół, by lepszéj doli, niż ona doznał.

Mijają dwa lata, uczy się Iwaś, poszły na naukę dwie niwy. Mija rok trzeci i czwarty, oboje jak syn, tak i matka szczęśliwi.

Wdowa sprzedaje zboże i bydło, od ust ujmuje strawy, by pomódz synowi. Synek idzie naprzód i naprzód, za kilka lat pociechę rodzicielce przyniesie. Ale piątego roku nie miała już co posyłać. Została jéj tylko jedna niwka i ściany staréj chaty, a tymczasem Iwaś coraz smutniejsze przysyłał wieści. „Nie umiał sobie rady dawać w świecie, żołądek zaś pokarmu domagał się." Nareszcie zimą zaziębił się i ciężko zachorował. Przyjechała matula. I tak płakała biedna, że aż serce mu więdło z bólu, krwawiło się młode, gdy patrzył jak zmizerniała i zgarbiła się, a z pracy ręce popękały.

I wstawszy z łoża znikł. Bo „zobaczył przyszłość i przeląkł się zajrzawszy w oczy niedoli." Darmo matka jeździła i pytała się po okolicy, wieści o Iwasiu nie dochodziły.

I rzewnie płakała uboga wdowa,
Oj synu, rodzony mój synu.

I gdzieś ty się podział, i któż mi cię zabrał,
Któż ciebie, pociechę jedyną.

Czegoś ty się przeląkł najdroższy, czemu nie wróciłeś raczéj do domu. Bylibyśmy razem cierpieli i w biédzie żyli, po co było iść między obcych?

W tém posłyszała od pątników, że Iwaś w Pięknym Łęgu w klasztorze. Zdziwiła się, milczała cały dzień, pod wieczór pomodliwszy się związała węzełek i ruszyła w drogę.

W miasteczku podgórskiém Pięknym Łęgu, klasztor był stary, na dachu brzózka rosła, a mury stulecia szczerniły. Wysokie lipy podnosiły się nad nie, okalając wieżę z zegarem wydzwaniającym godziny mnichom. Obok zaś mieszkania ciągnął się ogród. Las prawie, stare sosny rozlewały tam zapach, ich stopy mył srebrzysty, szemrzący potoczek. Miła ustroń z słowikami w lecie, zimą poważna, otoczona szmerem sennych, otulonych śniegiem drzew.

Gromadka młodzieńców nie związanych jeszcze ślubami przechadzała się nieraz po tym lesie, wtajemnicząc się w przepisy kościelne, ucząc życia samotnego. I Iwaś należał do niéj i nie czuł się źle. Przyszedłem do was, mówił spowiednikowi, dobrze mi tu, chociaż nie mam swobody. Ale cóż mi po niéj, na swobodzie chce się wygód, a tych nigdy nie miałem. Zawsze nędza, zawsze biéda, w jéj więzach rzucałem się, jak ptaszek w klatce. Były i porywy u mnie, pałały nawet jasnym płomieniem, lecz niedola polała je wodą i dymiły się już tylko przy końcu. Po tém wszystkiém pomyślałem sobie, że kto biédny i nieszczęsny, ten nim zawsze zostanie. Jeśli nawet dobije się pozornie czegoś, będzie w istocie niewolnikiem bogatszych, wyrobnikiem we fraku...

Gdy zaś spowiednik myśli w nim budzące się życzliwie powitał, oddał się im zupełnie i począł żyć spokojnie, trybem roślinnym. Do matki bał się pisać, aby przybywszy nie usiłowała wyprowadzić go między ludzi.

W kościele modlitwa, pobożni mnisi wywodzą przy ołtarzu tak czule, że łzy cisną się do oczu. Lud klęczy, bije się w piersi i całuje posadzkę, w ławeczce jakaś panienka siedzi i modli się z książki. Pośród tłumów kobiéta stara, zgarbiona wzdycha, zasyła prośby do Boga, to znowu milczy roztkliwiona śpiewem. W chórze śpiewaków słyszy jeden głos taki miły, taki pełny i zasłuchana weń zapomina o modłach i żal ciężki napełnia jéj pierś.

Długo trwa msza, kobiecina zabiera się ku wyjściu. Siada na schodach kamiennych prowadzących z świątyni i czeka. Otóż koniec. Wychodzą mnisi w czarnych sutannach, posępni, okryci kapturami, za

nimi panienka i ludzie. I widzi panna: staruszka patrzy wszystkim mnichom w oczy, szuka kogoś i nie może znaleść. Naraz jak podskoczy, jak chwyci jednego za szatę, jak pocznie płakać i śmiać się przez łzy, aż wszyscy stanęli i dreszcz każdgo przebiegł.

A matka nie zważając na ludzi wołała: Iwasiu synku mój, znalazłam cię! Tyś porzucił mię, zapomniał o mnie staruszcze. Czekaj, niech ci się przyjrzę, nie uciekaj, ja przecież matka rodzona. I jak ty się zmieniłeś, spoważniałeś!..., ale nie dobrze ci w tym kapturze. Poczekaj niech cię pocałuję, sokole mój złoty!

Syn zaczerwienił się i począł prosić matkę, by go puściła. Sam przeor przystąpił do niéj tłómacząc, że syn jéj wnet skończy próbę i będzie świątobliwym „ojcem". Lecz te słowa mało przemawiały do serca nieszczęsnéj, poszła za Iwasiem do parlatoryum i po chwili wyszła smutna, jak przybyła, z zaczerwienionemi oczyma.

Panience spłynęły dwie jasne łzy po twarzy, gdy patrzyła na tę scenę. A kiedy wkrótce spostrzegła znowu kobiecinę, podeszła do niéj i spytała skąd jest. Opowiedziała jéj biédna swe dzieje, dwadzieścia mil pieszo szła na podobne przywitanie. Nie chciała wracać, „niech dom mi się zapadnie, póki syn mój w tych murach, nie ustąpię z pod nich."

Zbliżyły się do plebanii, dziewczyna zaprosiła podróżną do siebie. Była córką księdza miejscowego, sierotą bez matki, zarządzającą domem. Kilka chwil rozmowy i razem z ojcem oboje uradzili, że staruszka zostanie u nich na służbie.

Jasna nocka, miesiączek blady zagląda do celi, słowik śpiéwa w zaroślach, drugi w klatce przypiętéj do muru. I wietrzyk lekki i zapach wchodzą przez otwarte okno do Iwasia. Czemu on nie może zasnąć, choć inni sąsiedzi śpią oddawna. Obraca się z boku na bok, zegar dwunastą wydzwonił, już ranek blisko, kilka jaskółek zaświegotało. On wciąż widzi matkę swą patrzącą mu w oczy, spłakaną, smutną, panienkę, któréj łzy padają ze źrenic i ludzi w koło.

Odtąd myśli jego, jak bluszcz około kolumny, owinęły się około dwóch tych osób. Matka odwiédza go, opowiada mu o dobréj Oli. Porywy niejasne budzą się w młodzieńcu, jego dusza jak ziemia na wiosnę rozmarza i pulchnieje. Pada w nią kilka nasionek, lecz czy zakiełkują i czy się zazielenią?

W kilka dni po pierwszém widzeniu się z matką przechadza się po ogrodzie. Słowik śpiéwa w klatce, dali mu jeść, jednak taki smutny. Może ma inne jeszcze życzenia, może za wolnością tęskni? Czy nie wypuścić by go? O, tak. Wszak to brak serca więzić kogoś, by słyszeć jego pieśni. Pieśń, jeśli ma cieszyć ludzi, niech będzie bez

więzów, niech z wolnych piersi płynie, niehamowana jak fala morska... I cicho podchodzi do klatki, otwiéra drzwiczki, słowik nie wierzy swemu wzrokowi, zeskakuje trwożnie na spód, ogląda się, potém zatrzepotał skrzydełkami i już na drzewie...

„Iwaś zaś podszedł powoli do domu, ale głęboko się zamyślił. Słowika puścił na wolność, a sam został w niewoli."

Położył się spać i we śnie zdaje mu się, chodzi po lesie, wesoły, szczęśliwy, prowadząc pod rękę dziewczynę. Ona śpiéwa i patrzy mu w oczy. Potém pyta się: czemu tak surowo sądzisz świat, przecieżeś ty młody, żyj, starcem—nie będziesz mógł życia używać. Patrz, czy ziemia nie piękna, nie hoża, czemu zamykasz się w ponuréj jaskini?

On odpowiada, że świat zawody gotuje, za chwilę szczęścia trzeba latami cierpiéć, biéda tylko i ciężka praca odwiedzają na nim człowieka. Lecz dziewczyna całuje go, tuli głowę do jego piersi, a on milczy, potém sam ją uścisnął i w oczy jéj spojrzał...

Tkanka snu rozdarła się, wzrok zbudzonego otoczyła ciemność. W celi było cicho i samotnie.

Przecież brakło mu energii, by zbliżyć do siebie dwa ostrza nożyc i przeciąć niemi sznurek, którym uwiązał nogę do pustelni.

Więdła matusia, chyliła głowę, jak georginia, która przekwitła i z któréj za każdém poruszeniem wiatru, kilka listków na ziemię spada. Co stało się z jéj synem? Nie skutkowały namowy, ani prośby, trwał w zamiarze i zraniona w uczuciu kobiéta postanowiła wrócić do domu.

Jeszcze ostatniego środka chwyciła się Ola. W dzień odpustu zaprosił ojciec na jéj żądanie wraz z innymi mnichami i Iwasia. Staruszka leżała chora w ogrodzie, syn skierował kroki ku niéj. W tém u wejścia do altany, gdzie spoczywała, spostrzegł córkę księdza. Matka pańska śpi, rzekła, a ja korzystam z tego by pomówić z panem chwilę.

I poczęła go nakłaniać, aby uległ woli rodzicielki, aby staruszce poświęcił się, nie klasztorowi. Dobra to matka i warto żyć dla niéj. O, gdyby moja matusia żyła.

W nadmiarze żalu objęła Iwana, jak rodzona siostrzyczka i zapłakała.

Nowicyusz osłupiał. Myśli mu poplątały się, gdy wnet potém witał matkę w obecności Oli, nie śmiał na nią spojrzéć. Jéj obraz oddawna leżał na dnie jego duszy.

Pochylił się ku bezsilnéj ręce matki, począł ją całować, potém przerwał nagle, chwycił się za głowę obiema rękami i znowu przypadłszy do staruszki jął gorzko płakać i wołać: mamo, mamo, mamo! Wdo-

wa podniosła się z swego łoża, objęła go jak dziecko i szeptała coś cicho. Nie płynęły jéj łzy, tylko w piersiach klekotało, zakaszlała się, puściła go z objęć i opadła na poduszkę. Wzrok błąkał się wkoło, nareszcie rzekła spokojnie:

„Synu, żegnaj mi! Już nie sprzeciwię się twemu pobożnemu żądaniu. Gdy przyjdę nieco do sił, wstanę i wrócę do domu."

Lecz kiedy odszedł, przycisnęła panienkę do siebie, wsparła się na jéj łonie i płakała bez przerwy.

Na tém koniec. Jak ptaszyna, którą widok jastrzębia tak przestraszy, że chociaż drapieżnik nie dostrzegł jéj i dawno już w inną stronę poleciał, ona siedzi na gałązce pół martwa, wola Iwasia była sparaliżowana widmem ciężkiéj przyszłości. Nie wystąpił z klasztoru. Matka zgasła wnet w staréj chatce, tego samego dnia, kiedy miasteczko rozbrzmiewało dźwiękami kapeli grającéj na ślubie Oli z narzeczonym, przeor wręczył Iwasiowi telegram o zgonie matki.

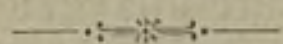
Stanowczo poemat „Nowicyusz" należy do rzeczy najlepszych, jakie posiada literatura rusińska. Jak trzeźwo i zarazem sympatycznie są przedstawione postaci dwóch kobiét. Ile wdzięku i uczucia w Oli. Typ Iwasia nie idealizowany, może wielu rysów wolałby był autor nie wprowadzać w jego charakter, ale chciał zawrzéć w swym bohatérze liczne spostrzeżenia czynione na sobie i na innych. Nasze czasy sprzyjają takim łamaniom się woli, wśród obecnych warunków muszą wyrastać podobne jednostki.

Nadewszystkiém zaś góruje ta matka, ta biédna matka, któréj życie wydziéra osłodę starości, pociechę dni ostatnich. Dla swego serca i swych cierpień godna stanąć w peristylu, w którym stoją „Najemnica" i „Katarzyna" Szewczenki.

Włodzimierz Bugiel.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



Jules Payot. „De la croyance“. Paris Alcan 1896.

„Przyszłość należy do ludzi wiary — nie wiary teoretycznéj i abstrakcyjnéj, lecz żywéj, młodéj, zawsze gotowéj do czynu i poświęcenia się”.

Pod tém hasłem rozpoczyna autor studyum swoje, powstając przeciwko jednostronności panującego dziś intelektualizmu. „Przywracamy, mówi autor, inteligencyi jéj właściwe miejsce: nie jest nam dana na to by poznawać, lecz by oświetlać czyny.” Myśliciele nowocześni, powiada on, zapatrzeni w jednę stronę doktryny Kartezyusza nie uwzględnili doniosłości jego „Traktatu o namiętnościach”, a całe wychowanie współczesne ogranicza się do wykształcenia umysłu, pomijając (z niewielkim wyjątkiem seminaryów katolickich) zupełnie wychowanie woli — przedmiot opracowany przez tegoż autora w osobném dziele [1].

„Czas jest, powiada on, uwieńczyć nasz systemat wykształcenia wychowaniem dobrze zrozumianém woli i wiary, a wynik naszéj pracy ten, że wychowanie wiary jest możliwe. Można używając środków odpowiednich wyrobić w sobie, a tém bardziéj w dzieciach przekonania *(des croyances)*, moralne siły.

„Wyzwolenie się z brutalnych suggestyi ustawicznie buntowniczéj zwierzęcości, posunięcie do najwyższéj skrupulatności poszanowa-

[1] Payot, „Education de la volonté.“

nia dla osoby bliźniego; przesiąknięcie tak głębokie myśli naszéj poczuciem solidarności społecznéj, aby postępowanie nasze zostało całkowicie przekształcone; przejęcie się poszanowaniem należném dla pracy a wreszcie postanowienie stanowcze a w prostocie serca podjęte współpracownictwa z wolą boską, objawiającą się coraz wyraźniéj tym, którzy za nią idą — takie są istotne dogmata w téj religii, któréj nauczaniu rzeczpospolita powinna poświęcić siły swoje pod grozą rozbicia się w walce bezwstydnéj o interesa materyalne i o zbytek?

Takie są szlachetne pobudki autora do poświęcenia się badaniom nad wytwarzaniem się wierzeń i przekonań; a oto na jakiém rozumowaniu opiéra on wiarę w płodność dla życia tych prac teoretycznych. „Potrójny upadek: pozytywizmu, metafizyki i dogmatów przekonały o niemożliwości oparcia obowiązku na pewności bezwzględnéj.”

„Oczywista rzecz wszakże, iż wszelkie postępowanie moralne lub niemoralne przypuszcza wybór metafizyczny, twierdzenie lub przeczenie, przekraczające granice doświadczenia i sięgające w dziedzinę niepoznawalnego. Ulises, gdyby był w posiadaniu najsubtelniejszych wywodów naszéj metafizyki, nie zdołał by przekonać dowodnie towarzyszów swoich zmienionych w wieprze, że nie mają słuszności przekładając swoje nowe położenie nad dawne; moralność polega na wyborze rozumnym między hypotezami dotyczącemi znaczenia życia ludzkiego, *lecz gdy raz wybór został zrobiony, mamy władzę przekształcenia go* na przekonanie nieprzezwyciężonéj siły.”

„Do wszystkich tych, którzy dbają o jutro, należy szerzenie słowem, piórem, przykładem swego życia a w razie konieczności aktami energii zasad życia moralnego bardzo czystego. Potrzeba, aby każdy w swoim zakresie, w miarę sił swoich; bez gorączki i nienawiści, ze spokojem, który przystoi tym, co pracują nad dziełem wiecznémi, umiał stłumić wszelkie objawy egoizmu, dumy, gniewliwości i zmysłowości zwierzęcia pierwotnego, zobaczymy jak — wobec téj nowego rodzaju inkwizycyi—wytworzą się pojęcia moralne, które przekształcą obecny ustrój społeczny. Przyszłość należy do ludzi wiary—nie wiary teoretycznéj i abstrakcyjnéj, lecz wiary żywéj, młodéj zawsze, gotowéj do czynu i ofiary z siebie.”

Wykazawszy w rozdziale wstępnym, że „pewność jest tylko gatunkiem rodzaju—prawdopodobieństwa,” autor snuje daléj na podstawach psycho-fizyologii współczesnéj, pewną oryginalną teoryę poznania redukującą się do tego, że całe nasze poznanie jest niejako haftem, utworzonym przez nasze wrażenia wzrokowe, słuchowe, dotykowe i t. d. na osnowie wrażeń muskularnych, stale obecnych i koniecznych dla nas, a stanowiących podstawę mocną i trwałą pojęcia

przedmiotowości... Całe poznanie, zaczynając od wrażeń elementarnych a kończąc na najrozleglejszych hypotezach naukowych, jest tylko pewném zorganizowaniem (przy pomocy klas, t. j. idei abstrakcyjnych) stosunków stałych pomiędzy danemi zmysłowemi a muskularnemi.

„Wyobrażenie to nie jest ani prawdziwe ani błędne samo przez się: prawda lub błąd powstają dopiéro wtedy, gdy twierdzę, że moje wyobrażenie odpowiada rzeczywistości. Ale ta rzeczywistość, jakeśmy widzieli, umyka w miarę tego jak ją gonimy: wszelkie ujęcie jest już zubożeniem rzeczywistości i stanowi część idei ogólnéj. Do najelementarniejszych wrażeń naszych wchodzi spora doza wnioskowań a nasz świat zewnętrzny utworzony jest z naszych wyobrażeń." (Str. 110).

Część druga i trzecia poświęcone są istocie wiary i jéj mechanizmowi. Wyjaśnia w nich autor zależność od wiary, od naszego postanowienia, możność oddziaływania na siebie i innych w znaczeniu wytworzenia pewnych wierzeń oraz rozmaite wpływy na nie: wychowania, otoczenia, powagi, prześladownictwa. Wnioski praktyczne ztąd: obowiązek dla społeczeństwa wychowania tych wierzeń w swoich członkach a zwłaszcza zaszczepienie ich w młodém pokoleniu.

„Czas już zorganizować przy pomocy wszystkich tych środków, które psychologia daje w ręce wychowawców, wychowanie publiczne, oparte na silnéj kulturze moralnéj; jest to dla demokracyi kwestyą życia i śmierci. Przeobrażenia w ośrodku ekonomicznym zostaną bezowocne i obfite w zawody, jeśli ich nie poprzedzi lub nie będzie im towarzyszyć energiczna reforma moralna."

„Ponieważ zaś potęga nasza tworzenia wierzeń jest prawie bezgraniczna, gdy je popiéra świadomość etyczna, sądzimy, iż wychowanie stanie się główną czynnością państwa i najwyższym przedmiotem ambicyi jednostek W ten sposób jedynie demokracya będzie w stanie wznieść się stopniowo, według pewnego sławnego orzeczenia, do wysokości „stronnictwa religijnego." *W. M. Kozłowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Tadeusz Miciński.* **Nauczycielka**. Nowela odznaczona drugą nagrodą na konkursie literackim. Kraków, 1896, str. 87. — Zubożała panna musiała się zająć nauczycielstwem. Z początku szum, hałas oszałamia ją,.. denerwuje. W dzienniku zapisuje objawy tego stanu słowami afektowanemi nieco: „Nie mogę uwierzyć, żeby na dworze

panował jasny dzień wrześniowy! Zegar mojéj duszy pośpieszył się i wydzwania wichrem listopadowym żałobne pieśni, targa gałęźmi obnażonych drzew, szumi liśćmi — to moje zwiędłe pragnienia. Gotowabym się śmiać do rozpuku, gdybym miała przed sobą widzów i gdyby ci widze mnie obchodzili...“ Dramatyzuje tedy swe życie; przygnębia ją wspomnienie pierwszéj miłości; rozkochał ją Konrad i ożenił się z inną. Zapomnieć o nim nie może. A jedno zdarzenie na pensyi z uczennicą, która napisała, że dzieci nie mają za co kochać rodziców, nastroiło ją jeszcze pesymistyczniéj w zapatrywaniu się na stosunki rodzinne, na ustrój świata; buntownicze myśli zaczęły ją napastować. W tém Konrad przyjechał, skarżył się na to, że w związku z Halszką nie znalazł szczęścia, prosił Amelię o powrócenie mu uczucia, a gdy mu nauczycielka przypomniała zaciągnięte w zględem żony obowiązki, poszedłszy do hotelu postrzelił się z rewolweru. Dowiedziała się o tém Amelia z gazet i nie zważając na konwenanse, poszła go pielęgnować. Konrad wyzdrowiał, uczucia swoje najgorętsze zwracał do Amelii, sądząc, że skompromitowana, będzie powolną na jego zaklęcia; ale gdy nauczycielka zaproponowała rozwód, tłomaczył się obowiązkami. Amelia napisała do Halszki, która była jéj przyjaciółką, o wszystkiém szczerze, dodając, że byłoby nieszlachetnie, gdyby nie przebaczyła Konradowi. Halszka przyjechała, zrozumiała szlachetność przyjaciółki, była dla niéj jaknajserdeczniejszą: przebaczyła mężowi i odjechali w zgodzie. Nauczycielka wróciła na pensyę, czując zadowolenie z tego, co było jéj dziełem: miała kilka przejść bolesnych z powodu plotek, ale znalazła opiekunkę w przełożonéj, a szczerego przyjaciela w jednym z nauczycieli, bardzo gorzko zresztą usposobionym. Nabrała zamiłowania do zawodu nauczycielskiego; potrzeba oddziaływania na dusze młode i wrażliwe, kształcące się wśród niepomyślnych warunków, widok dobrego wyniku jéj postępowania z ową uczennicą, co o potrzebie wdzięczności dla rodziców wątpiła, podziałały na nią pokrzepiająco; uczuła się doświadczeńszą, a jednak młodszą (więcéj młodą, jak mówi autor z cudzoziemska), silniejszą, a mniéj złożoną; wiele z tego, co dawniéj odczuwała tylko, dziś rozumiała. Prawdopodobnie wyjdzie za owego zgorzkniałego,lecz szczerego i serdecznego nauczyciela. P. Miciński pierwszą, zdaje się, nowelę wydrukował; świadczy ona o pogłębieniu myśli i panowaniu nad mową; obserwacya jego i psychologia mniéj zadawalnia; przedmiot owego opowiadania wziął raczéj z wyobraźni niż z życia; niektóre w niém jego szczegóły były podpatrzone; największą téż wartość mają nie nikłe dosyć obrazki, lecz refleksye nad życiem i stosun-

kami ludzkiemi, stawianie sobie zawiłych zagadnień i zastanawianie się nad niemi.

NEKROLOGIA.

† **Kajetan Kraszewski**, najmłodszy brat Józefa Ignacego, urodzony 11 marca 1827 r. w Dołhem, odbył nauki gimnazyalne w Świsłoczy, poczém pod kierunkiem astronoma Jana Baranowskiego oddał się studyom fizyczno-matematycznym. Objąwszy dziedziczny majątek, Romanów na Podlasiu, zebrał tu znaczną bibliotekę, archiwum i galeryę portretów historycznych, i znacznym nakładem założył obserwatoryum astronomiczno-meteorologiczne, prowadził spostrzeżenia dotyczące stanu pogody, a wnioski na nich oparte ogłaszał w czasopismach. Na równi ze słynnym swym bratem miał wielkie zamiłowanie do sztuk pięknych, próbował sił w kompozycyi muzycznéj, rysunku i modelował portrety w medalionach. Na polu literackiém występował nie bez powodzenia, drukując płody swego pióra w „Bibliotece Warszawskiéj”, „Echu”, „Kłosach”, „Kronice Rodzinnéj”, „Kuryerze Warszawskim”, „Słowie”, „Świecie”, „Tygodniku ilustrowanym”, był nadto spółpracownikiem „Encyklopedyi” S. Orgelbranda. Osobno ogłoszone zostały następujące utwory Kajetana: „Koniuszyc brzeski” (1876), „Chełmiamianie” (1878), „Opowiadania mniejsze”, „*Votum*”, „Co się dzieje na księżycu”, „Białonóżka pana majora”, „Trzewiczek”, „Skarb stolnikowicza” (1879), „Od szkolnéj ławy” (1880), „Pod wyrokiem” (1883), „Bartochowski” (1889), „Z podań i szpargałów” (1892), „Tradycye koleżeńskie” (1893), „Urywki ze wspomnień nowogrodzkiego szlachcica” (t. r.), „Z dziejów naszéj rodziny” (1894), „Poturczeńcy” (1895) i „Pamiętnik kasztelanica” (1896). Do życiorysu autora „Maryi” ważnym jest przyczynkiem monografia K. Kraszewskiego p. t. „Generał Hauman i rodzina Malczewskich”, zasługuje téż na wzmiankę rzecz „O Szczerbcu”. Jedna z komedyi ś. p. Kajetana odznaczona była na konkursie lwowskim imienia Fredry. Pozostały jeszcze w rękopisach utwory wierszem i prozą, a między niemi dwa tomy pamiętników. Zmarł w majątku swym Kuplinie 1 lipca r. b., pochowany w Wisznicach, powiecie włodawskim.

† **Józef Rogosz**, urodzony 1844 r. w Baligrodzie w Sanockiém kształcił się w Stanisławowie, Lwowie i Bolonii. Już ze szkolnéj ławy przesyłał do pism lwowskich drobne utwory rymowane, a powróciwszy z Włoch oddał się publicystyce, do któréj go i temperament gorący i rodzaj talentu powoływały. Najprzód objął redakcyę „Dziennika Pol-

skiego"; w r. 1874 założył nowe pismo „Tydzień, które zdobyło sobie niezwykłą tam poczytność. W tymże czasie ogłosił poezye: „Olga", „Z pola i z obozu" oraz prace z dziedziny estetyki. W r. 1876—1878 ukazała się w druku powieść „Choroby Galicyi". Po przeniesieniu się na wieś, napisał Rogosz powieści: „Wojewodzic", „Pokuta", „Złamane serca", „Marzyciele", „Dla idei", „Ostatni karmazyn", „Ryszard Gozdawa", „Kalejdoskop", „Dzisiejsi bohaterowie", „Motory życia", „W śmiertelnych zapasach", „Strzaskane kolumny", „W ustroniu", „Ciche tragedye", „Na dziejowym przełomie", „Karyerowicz", „Grabarze" i wreszcie przerwany wskutek nagłego zgonu „Król borów i lasów". Prócz tych utworów beletrystycznych, ogłosił Rogosz „Wspomnienia z podróży na Wschód", „Wspomnienia z Włoch", „Wspomnienia pruskiego oficera" i t. d., oraz wielką ilość prac rozmaitéj treści, pomieszczonych w czasopismach. Zasługuje na szczególną wzmiankę studyum porównawcze o Matejce i Grotgerze. Czytelnicy „Ateneum" pamiętają bezwątpienia szereg zajmujących jego „Listów z Galicyi", drukowanych przed laty. Józef Rogosz zmarł nagle na anewryzm serca 25 lipca r. b. w Maryenbadzie.

† **Franciszek Dobrowolski**, publicysta i dyrektor teatru poznańskiego, po długiéj i ciężkiéj chorobie zakończył pracowity żywot w Poznaniu. /1830 - 1896/

† **Emeryk hrabia Czapski**, urodzony 5 listopada 1828 r. w Stańkowie, w gubernii Mińskiéj, studya uniwersyteckie odbywał w Moskwie, które ukończył ze stopniem magistra nauk przyrodniczych; poczém wstąpił do służby rządowéj, a opuścił ją w r. 1879 i osiadł w gnieździe rodzinném. Tu gorliwie gromadził piśmiennicze i artystyczne zabytki przeszłości. Ze szczególném zamiłowaniem oddawał się studyom numizmatycznym, których owocem był naprzód katalog rozumowany monet dawnéj Rusi z epoki wielkoksiążęcéj, rzecz pierwszorzędnéj powagi w téj dziedzinie badań, a następnie „*Catalogue de la collection des médailles et monnaies polonaises*", wielkie dzieło w czterech tomach, ozdobione mnóstwem pięknych rycin, które jest obecnie najdokładniejszym opisem naszych dawnych monet i medali. W ostatnich czasach zajęty był budową w Krakowie muzeum dla pomieszczenia swych bogatych zbiorów, które na użytek publiczny przeznaczył. Zgon przedwczesny w nocy z 22 na 23 lipca r. b. nie dozwolił mu oglądać ukończonéj budowy, a medal wybity na cześć jego, który zamierzano mu wręczyć na obchodzie uroczystym, złożono na trumnie zmarłego.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Iюля 1896 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. Ksiądz dr. *Józef Pelczar.* **Zarys dziejów kaznodziejstwa** w kościele katolickim. Część I: kaznodzieje greccy do IX w.; łacińscy do XVI wieku. Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1896. 8-vo, str. 147.
2. *Zofia Kowerska.* **Na służbie.** Powieść, 2 tomy. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 292 i 257.
3. **Dzieje powszechne ilustrowane.** Zeszyty 75 — 96 (str. 41—312). Wiedeń, nakł. Fr. Bondy. Warsz., w księg. G. Centnerszwera.
4. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach Korzeniowskiego, Koźmiana, Ostrowskiego i t. d. Lwów. nakł. Księgarni Polskiéj. skład gł. w Warsz. u Centnerszwera. Zesz. 61—64 (cena 30 kop.).
5. *Amand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia** powszechna ilustrowana. Przełożył *K. Jurkiewicz.* Warsz.. nakł. M. Orgelbranda, zeszyt 46 i 47, str. 385 — 432 (cena zeszytu kop. 25).
6. **Sprawozdanie 14-te** komitetu zarządzającego Kasą pomocy im. d-ra Mianowskiego za rok 1895. Warsz., 1896, 8-vo, str. 111.
7. *Włodzimierz Wysocki.* **Satyry i bajki.** Kijów i Odessa, nakł. księg. Bolesława Koreywy, 1894, str. 173.
8. *Plato v. Reussner.* Najlepsza metoda czyli **Samouczek** polsko-francuski. Zeszyty XLVI i XLVII.
9. *Stanisław Schneider.* Kilka szczegółów o **Prodykosie** i jego pesymizmie. Lwów, 1896, str. 10.
10. **Przebieg epidemii** cholery azyatyckiéj w Królestwie Polskiém w latach 1892. 93 i 94, przedstawił dr. *E. Sonnenberg.* Warsz., 1896, str. 16.
11. *Ksenofont.* **Wspomnienia o Sokratesie.** Przełożył z greckiego *E. Konopczyński* (wyd. z zapomogi Kasy im. d-ra J. Mianowskiego). Warsz., skład gł. w księg. E. Wendego, 1896, str. XXVI i 224.
12. **Encyklopedya rolnicza.** wyd. staraniem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, zesz. LIX (str. 415—544).
13. **Zdrowie.** Miesięcznik poświęcony hygienie publ., Nr. 128—130 (str. 141—320).
14. *Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.* Przyczynek do **badań antropologicznych** nad ludnością Królestwa Polskiego, str. 40 (odbitka ze „Zdrowia").
15. **Rozprawy** Akademii umiejętności. Wydział filologiczny, tom XXII. Kraków, 1895. str. 391.
16. **Czy mądrości i cnoty można nauczyć?** (Rozprawka z połowy w. V przed Chr.). Napisał *Stanisław Schneider.* Kraków, nakładem Akademii umiejętności. 1896. 8-vo, str. 30.
17. **Rachunki dworu** króla Władysława Jagiełły i kr. Jadwigi z lat 1388—1420. Wydał dr. *Fr. Piekosiński.* Krak.. nakł. Akademii umiej., 1896, str. VIII i 616.
18. *Wł. M. Kozłowski.* **Manfred**, hr. Henryk i Płoszowski, jako przedstawiciele trzech pokoleń XIX stulecia. Warsz., 1896, 8-vo, str. 74.
19. **Prawo górnicze** obowiązujące w Królestwie Polskiém, opracował *Mieczysław Koczanowicz* (Dzieło nagrodzone na konkursie). Warsz.. nakładem autora, 1896, 8-vo, str. 294.
20. **Cywilizacya pierwotna** przez *Edwarda B. Tylor'a.* Przekład *Z. A. Kowerskiéj*, ze wstępem i dodatkami *Jana Karłowicza.* Warsz., 1896, 8-vo, str. 202 (tom I, część 1).
21. *Franciszek Piekosiński.* Jeszcze słowo o **ustawodawstwie Wiślicko-Piotrkowskiém** króla Kazimierza Wielkiego. Krak.. nakł. Akademii umie., 1896. 8-vo, str. 83.
22. *Pierre d'Alheim.* **Moussorgski.** Paris, 1896, 8-vo, str. 74.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.